MOC MÓZGU

czyli

zawiska paranormalne rozszyfrowane



WSTEP

Zyjemy w czasach dziwnych, ale za to ciekawych. Bo z jednej strony sa to czasy zwycieskiego racjonalizmu, czego dowodem jest absolutna supremacja komputerów - komputerowej wiedzy i techniki, a z drugiej strony czasy rosnacej popularnosci wiedzy ezoterycznej, poszukiwania pozaracjonalnych doznan, ofensywy w skali światowej sekt religijnych i zainteresowania zjawiskami - które w jezyku dziennikarskim nosza nazwe - zjawisk paranormalnych.

A wiec - w skrócie - czasy czlowieka racjonalnego przezywajacego kryzys wiary we wlasny rozum!

Bo czymze innym mozna by okreslic brak wiary przecietnego czlowieka w to, ze "jajoglowy

specjalista" wsparty sila komputera - w wielu dziedzinach zycia nie potrafi nam pomóc? Czymze wiec jest poczucie, ze wobec tego musimy szukac pomocy w silach przez nauke malo jeszcze zbadanych - bioenergetyce, okultyzmie, telepatii i innych tajemnicach naszej egzystencji na ziemi?

Na tle licznej w tej sytuacji i znanej literatury powstajacej na pograniczu tego co "naukowe" i tego co "paranormalne" ksiazka Miroslawa Magoly stanowi przedziwny wyjatek!

Autor z jednej strony ma zasadnicze pretensje do świata nauki - jakie, pozostawiam przygodzie czytelniczej - a z drugiej strony stara sie zdecydowanie odciac od wszystkiego co wiaze sie z ezoteryzmem, choc pewnie przez ezoteryków przyjety bylby z otwartymi rekami. Miroslaw Magola obdarzony jest wyjatkowymi w skali światowej mozliwosciami okreslanymi powszechnie jako "paranormalne", a cala jego ksiazka przepelniona jest protestem przeciwko takiemu nazewnictwu. Zajmuje sie dzialalnoscia "nie z tej ziemi", a uwaza sie za skrajnego racjonaliste! Jest jednym z nielicznych na świecie ludzi, a upiera sie programowo przy swej absolutnej przecietności!

Kim jest Miroslaw Magola i co stanowi jego wyjątkowosc? Internet informuje, ze posiada wielkie osiągniecia w dziedzinie psychokinezy! To stworzone w Ameryce okreslenie znaczy, ze siła własnej psychiki potrafi działac skutecznie w świecie materii. Jeszcze bardziej upraszczajac to okreslenie powiemy, ze przedmioty martwe sa posłuszne jego woli! Moze, łamiac skutecznie siłe przyciagania ziemskiego, poruszac nimi w przestrzeni! Moze jednak o wiele wiecej - moze nawiazywac bezposredni kontakt z energetyczna struktura rzeczywistości, co pozwala mu na realizacje wlaściwie kazdego podjetego zadania - poza ciasnym gorsetem praw fizyki. I twierdzi, ze moga tego dokonywac niemal wszyscy ludzie! Jako uparty racjonalista poddaje sie chetnie kazdym testom! Stara sie nawet prowokowac takie badania.

Mozliwosci Miroslawa Magoly znane sa na obu półkulach najbardziej zazartym sceptykom w świecie naukowym. Nawet slynny James Randi, który wielka czesc swego zycia i ogromne pieniadze poświecil demaskowaniu zjawisk paranormalnych, nie przeczy autentycznosci jego mozliwości. Amerykanski James Randi Educational Foundation (J.R.E.F.) badal najdziwniejsze zdarzenia naszych czasów na calym swiecie - nawet w dawnym ZSRR. Pokazy autora niniejszej ksiazki obserwowali Dr. David Lewis, Prof. Abhaya N. Deva, Ph. D. Roland Charczuk, Prof. Dr. Dipl. Psych. Toni Forster, Prof. Alex Schneider M. Sc, Dr. U.E. Hasler, Nene von Muralt, M. D. Jakob Boesch, Prof. Dr. Konstatin Korotkov, Dr. Paola Giovetti, Rainer Holbe, Dr. Serge Kahili King, Prof. Dr. Erlendur Haraldsson, Prof. Peter Mulacz, Edgar Wunder, Jack Houck, Elda Hartley, Prof. Robert Ritch, Dr. Alexander Imich, M. D. Ph. D Barbara G. Koopman , by wymienic tylko najbardziej znanych. Najwybitniejszy specjalista amerykanski od zdjec kirlianowskich Dr. Dobruskin fotografowal dzialania Magoly. Najbardziej fachowy w świecie zjawisk paranormalnych periodyk o zasiegu światowym - Encounter - pisal o Magole zamieszczajac jego zdjecie na stronie tytulowej.

Równiez europejski swiat naukowy na czele z Dr. Dr.Walter v.Lacaudou z uniwersytetu we Freiburgu zwrócil uwage na jego niebywale mozliwosci. W styczniu 1997 zainteresowal sie Magola Dr. M. Karger z niemieckiego Max- Planck Institut w Monachium, a ostatnio Prof. Dr.Dr. Gerhard Ruhenstroth-Bauer z tego samego instytutu Max Planck Institut-Germany zaproponowal autorowi udział w jego projekcie.





Dr. Alexander Imich





Dr. Friedbert Karger





Prof. Dr. Konstatin Korotkov



Prof. Dr. Dr. Gerhard Ruhenstroth-Bauer

Niezwykle mozliwosci autora znane sa tez szerokiej publicznosci telewizyjnej. Wraz z Uri Gellerem, postacia w tej dziedzinie najbardziej na swiecie znana, brał udział w wielkich pokazach telewizyjnych poświeconych zjawiskom paranormalnym w brytyjskiej sieci ITV “Beyond Belief “ . Programy z udzialem Magoly nadaly tez SF1 i Telebasel "7 vor7" w szwajcari, luksemburska RTL i RTL2 , niemiecka PRO-7 i "Clever spezial" SAT.1 , "Unbelievable" Fuji TV w japoni , TV TF1 “ la soiree de letrange” w francji i “Stan Lee's Superhumans” na History Channel i Discovery Channel.

Mozna wiec powiedziec, ze osiagnal sukces. A jednak książka niniejsza wskazuje na to, ze jej autor nie ceni sobie zbytnio tych światowych osiagniec. Chodzi mu w zyciu o cos zupelnie innego! Dazy nie do slawy i pieniedzy - którymi zreszta nie gardzi, ale stara sie je inwestowac w badania naukowe - totez przyjmuje czasem propozycje schow bussinesu, na atrakcyjne i powazne pokazy. Swe zasadnicze cele ujawnia czytelnikowi. One wlasnie stanowia podstawowa oryginalnosc autora na swiatowej scenie szokujacych zjawisk.

Książka ta jest ewenementem z jeszcze jednego powodu! Nie tylko jest opisem tego co autor potrafi dokonac! Nie tylko zawiera wprowadzenie w ten świat zjawisk, wprowadzenie pozwalajace kazdemu z nas samodzielnie tam sie wedrzec! Jej najwazniejsza warstwa, to prezentacja tego wszystkiego, co Miroslaw Magola wie!

Z jego kontaktu z zasadnicza struktura energetycznej całosci istnienia wynikaja nie tylko szczególne umiejetnosci, przekraczajace znacznie znane mozliwosci czlowieka, ale wynika zen przede wszystkim specyficzna wiedza o swiecie i czlowieku! Specyficzny rodzaj filozofii, swiatopogladu!

I - o dziwo - jest to filozofia z gruntu europejska! Europejska i do przesady niekiedy racjonalistyczna, pozbawiona wszelkich wplywów mistycznych czy wlasnie ezoterycznych.

Czytelnik tego typu literatury przyzwyczajony jest na ogól do jakiegoś niecodziennego "sosu" w którym zawarte sa poszczególne informacje o świecie zjawisk nieprzecietnych. U Magoly jest zgoła inaczej! Jego książka poddana wrecz klasycznej dyscyplinie obszernej noweli w typie europejskim, jest socjologiczno-filozoficznym dialogiem współczesnych nam, normalnych ludzi z wielkiego miasta. Te intencje podkreslaja liczne fragmenty, w których autor z prawdziwa delikatnoscia i niekłamanym szacunkiem, ale jednak wyraznie i konsekwentnie dystansuje sie od dorobku medytacyjnych szkół wschodu, czy ich pochodnych zaadoptowanych przez euro-amerykanska kulture konca dwudziestego wieku. I ostatnia uwaga!

Zastanawiajace jest tez to, ze autor nie wstydzi sie filozofowac na tematy proste, codzienne, z pozoru banalne! Ta odwaga powoduje, ze jego ksiazka chwilami spełnia role odswiezajaca dla przecietnego człowieka. Udowadnia, ze refleksja nad codziennoscia moze przywracac jej urok, a przede wszystkim sens działania, bo - jak twierdzi - "człowiek ze swym mózgiem jest wybrancem..." - o czym czesto zapominamy.

ROZDZIAŁ I
SPOTKANIE NA MOSCIE.

Gdy po raz pierwszy znalazłem się poza tą granicą.....
Może to był przestrach?
Dziś już trudno mi sobie przypomnieć dokładnie jak to było.
Może zdziwienie? Oszołomienie?

W każdym razie byłem zaskoczony tym zdarzeniem i chyba nie było to wtedy przyjemne. Jak większość spraw, które nas zaskakują!
Przedtem śmiałem się z tych, co opowiadali, że takie rzeczy są możliwe. Bzdury - myślałem! Zdenerwowałem się.
Minęły lata.
Zgodziłem się na to. Potem nawet mnie to wciągnęło. Uznałem, że kryje się w tym tajemnica potrzebna człowiekowi. Trzeba to odkryć.
Ćwiczyłem!
Następował wyraźny rozwój moich możliwości. Zacząłem zastanawiać się czy to rzeczywiście są możliwości moje. A może one są wszystkich, może pożyczono mi je na jakiś czas?
W miarę gdy narastała radość z przekraczania tej granicy, narastało też we mnie poczucie jakiegoś obowiązku. Zacząłem rozumieć, że z wiedzą tą powinienem coś zrobić, że nie należy ona do mnie, że posiadłem ją dla innych.
Ludzi?
A może dla tej całości, którą zdarzało mi się poznawać, dostrzec, zrozumieć.
Co było moim obowiązkiem wobec całości nie wiedziałem. Nie wiedziałem też jak mogę oddać powierzoną mi świadomość, choć wiedziałem skąd ona pochodzi.
Z upływem dni narastało we mnie przekonanie, że skoro całość milczy jeszcze, skoro nie żąda ode mnie niczego konkretnego, bo nie pozwala poznać drogi komunikacji zwrotnej - wszak na razie to ja korzystam - to na pewno wiedza moja potrzebna jest człowiekowi, ludziom. I to nie w skarykaturowanej postaci popisu możliwości fizycznych z mej wiedzy wynikających! Jakiegoś cyrku, sensacji czy paranormalnego wydarzenia!
Teraz wiedziałem, że to co ludzie nazywają zjawiskami paranormalnymi, to coś zupełnie normalnego. Znałem to przecież, panowałem jakoby nad tym, mogłem to rozwijać, wzmacniać.
Nie było w tym nic nadprzyrodzonego.
To byłem ja i ja to robiłem. Więcej! Byłem pewny, że mogą to wszystko osiągnąć inni. Wiedziałem na czym to polega.
Paranormalne!
Nienawidzę tych, którzy robią z tego cyrk, popis, sensację. Może to przez nich tak mało bada się te zjawiska w sposób poważny? Może to właśnie sensacyjność zdarzeń odpycha je od nauki i powoduje, że nihil novi sub sole traktowane jest jak coś dziwacznego?
Dziwacznego?
Może dla nas, Europejczyków, którzy zapomnieli że sfera życia człowieka związana z tym co niecodzienne, inne, może z pozoru nielogiczne, w przeciętności naszych działań na ziemi i nie każdemu od razu dostępne - że ta właśnie sfera była i na naszym kontynencie bogata, intensywna, a nawet szanowana. Zanikła, bo ktoś kiedyś proklamował zwycięstwo uproszczonej logiki i nazwał to racjonalizmem, a przecież ja wiem, że przekraczanie granicy jest czymś na wskroś racjonalnym właśnie.
Jest tak konkretne i realne, jak dostrzeżenie rosnącego drzewa i płynącej rzeki!
A tymczasem wszechogarniający dziś Europę „racjonalizm” zachowuje się wobec tej realności tak, jakby widział rzekę która stoi nie płynie, a o drzewie myślał, że nie rośnie tylko trwa niezmiennie jak kamień.
Kamień?
Też przecież jest, więc żyje; on nie trwa martwo!
Martwo nie trwa nic!
Ja nie chcę powierzać mych odkryć „publice”. Nie warto!
To tak, jakby Kopernik, zamiast wysłać swój traktat papieżowi, który był wtedy ośrodkiem umysłowego świata Europy, zaczął obwozić swą wiedzę po zamtuzach, jarmarkach i cieszyć swymi opowieściami gawiedź spragnioną sensacji i opowieści o żelaznym wilku.
Chcę by na moim przykładzie poznano nie tylko jakąś odmienność, ale by zbadano na

czym ona polega, jakie zjawiskami przeze mnie ujawnianymi rządzą prawa fizyczne, biologiczne, biofizyczne - wszystkie, które zna dzisiejsza nauka. By stwierdzono przy mojej pomocy co, gdzie i jak jest w człowieku, skoro może to co ja mogę.
Bo przecież skoro ja mogę - mogą i inni.

* * *

Teraz idąc plątaniną ulic wielkiego miasta zapragnąłem opowiedzieć!
Chciałem nie tyle by mnie ktoś wysłuchał, ale by stał się współuczestnikiem mej radości... i tej części smutku, którą rodzi w człowieku skarb zakopany w ziemi. Skarb, który nikomu, nawet jemu nie służy.
Taki skarb uwiera tego który go zakopał!
Ciążyć zaczyna jak wyrzut sumienia, bo jest niczym innym jak marnotrawstwem.
Czemu nie służy, skoro jest? Komuś, czemuś, chociażby sobie!
Podziel się ze mną człowieku drugi. Odbierz to, co jest przecież we mnie nie dla mnie. Co jest dla ciebie, dla was, którzy chodzicie do cyrków, by tam oglądać prawdę zwolnioną z obowiązku przyjęcia jej. Pomyśl o tym, o czym nigdy nie pomyślałeś. Dostrzeż to czego jeszcze nie dostrzegłeś.
Zbliżał się świt.
Nie wiedziałem jak to zrobić.
Podejść do jednego z tych nocnych ptaków, którzy chwiejnym krokiem zmierzali ku pościeli pozostawiwszy resztę nocy tym, którzy przystani nie mają?
Absurd!
Ja nie jestem gadaczem, który musi mówić.
Ja chcę mówić, a to jest wielka różnica!
Musi więc być ze mną ktoś, kto chce słuchać.
Słuchać?
Przecież nie tylko! Bo w słowach nie zawrę tego co wiem.
Tam gdzie byłem nie ma słów, bo są niepotrzebne. Komunikacja jest bezpośrednia. A więc on nie tylko musi chcieć słuchać moich słów. Musi chcieć odkryć to co ja odkryłem.
Musi poszukiwać!
Dlaczego nie spotkałem dotąd nikogo, kto chciałby tego? Wiedziałbym o tym od razu.
Przecież jestem zwykłym człowiekiem i tylko dlatego mogę tę granicę przekraczać.
Gdybym nim nie był, byłoby to niemożliwe. Jestem takim samym człowiekiem jak wszyscy ci mijani co chwila.

* * *

Jak trudno przekroczyć granicę dzielącą jednego człowieka od drugiego. Może do tego też jest potrzebny przypadek? Przypadek szczęśliwy!
Skręciłem na most.
Po zachodniej stronie rzeki było jakby jaśniej.
Zabawne! A to przecież jest oczywiste! Narastające ze wschodu promienie słońca z nad horyzontu oświetlają brzeg zachodni. Wschodni pozostaje cieniem na tle jaśniejącego nieba, pomimo że jest bliżej słońca. Odzyska swój urok wieczorem, gdy zmęczony krąg miotający energię ku ziemi znajdzie się po przeciwnej stronie.
W pustce podrdzewiałych, metalowych przęseł zawieszonych nad wodą, oparty o balustradę człowiek patrzył w przesuwającą się powoli toń, czarną jeszcze, bo świt pozostawał nadal uwięziony cieniem nadbrzeżnych kamienic. Tylko latarnie odbijały się w rzece delikatnym szeregiem jasnożółtych punktów niespokojnie drgających na krótkich falach.
Człowiek rośnie gdy się do niego zbliżać.

To zwykłe zjawisko perspektywy. Z daleka jest mały, z bliska odzyskuje swe normalne wymiary.
Ale niekiedy zbliżanie się do człowieka jest inne od normalnych fizykalnych przemieszczeń w przestrzeni i związanych z tym skutków.
Znacie to?
No pewnie!
W uproszczeniu można powiedzieć że to dlatego, bo każdy człowiek jest inny.
To prawda!
Inaczej topnieje przestrzeń pomiędzy tobą a piękną dziewczyną, a inaczej gdy podchodzisz do bykowatego i nie wiedzieć z jakiego powodu zestresowanego policjanta, spoglądającego na ciebie spode łba. Jeszcze inaczej zbliżasz się do dziecka, które czegoś ważnego od ciebie oczekuje i ma nadzieję, że to otrzyma. Jeden pociąga, inny odpycha!
O.K.! Normalka!
Ale przecież zbliżanie się człowieka do człowieka może też mieć i jeszcze inny charakter. Może polegać na czymś, co porównać by można do nakładania się na siebie wzajemnie, lub przenikania, przechodzenia poprzez drugiego - w trakcie czego poznajesz jego myśli, stan ducha czy jakby jeszcze nazwać to, czym on w tej chwili jest - co jest w nim, kim on jest.
Toteż zbliżając się do tego człowieka na moście - a szedłem wolno, nie śpiesząc się - wiedziałem że jestem coraz bardziej w nim, że rozumiem co się z nim dzieje tam, w odległości jeszcze kilkudziesięciu metrów.
Był spokojny.
Trudno było jednak jakoś poskładać jego myśli. Miałem wrażenie, że sporządzone są z niesłychanie delikatnej pajęczyny, która rwała się, niemal zanikała pod wpływem zbliżania się do niej.
A więc on prawie nie myślał!
Energia jego mózgu używana była w tej chwili w minimalnym jedynie stopniu. Procesy przebiegały nadzwyczaj powoli, jakby leniwie, ale poruszając się w tej przestrzeni czułem jednak wyjątkowe możliwości tego odpoczywającego właśnie człowieka. Wiedziałem że siła drzemiąca w nim jest duża, potencjał rzadki. Coś mnie w nim pociągało.
W miarę gdy odległość nas dzieląca zmniejszała się, w miarę jak podchodziłem do niego bliżej, jego aktywność jęła się równie powoli zwiększać tak, jakby następowało pomiędzy nami zjawisko indukowania się wzajemnego. Nitki tej „pajęczynki” jego myśli stawały się coraz trwalsze i powoli można było odczytać ich treść, nawiązać z nim kontakt.
Wiedział że podchodzę do niego, słyszał me kroki, ale jeszcze nie odwracał głowy. Czułem jak zaczyna wzrastać w nim wahanie, jak poszukuje decyzji czy w ogóle mnie zauważyć czy też pozwolić mi przejść obok bez żadnej reakcji z jego strony. Zastanawiał się nad tym, gdyż tak jak moje zbliżanie się zakłócało w jakimś stopniu ten jego odpoczynek, tą wytworzoną spokojem otoczenia i chyba zmęczeniem ciała samotność, tak samo pomagało mu teraz w wyjściu z owego półsnu, czego w innej części swego odczuwania miał już trochę dosyć i zaczynał się nudzić. Czułem, że nie jest przyzwyczajony do biernego trwania. Do tak małej aktywności energetycznej jak ta, którą odnalazłem w nim w pierwszym momencie zbliżenia.
Ciągle jeszcze nie podjąwszy decyzji co do mojej osoby budził się jakoby, ożywał, poszczególne elementy jego coraz ciekawszej dla mnie osobowości stawały się aktywne. Okazywało się że jest ich więcej niż spodziewałem się w nim odnaleźć, niż było ich zwykle w innych ludziach.
Ale było w nim też coś jakby niedokończonego. Procesy nie miały stałego poziomu swego natężenia. Falowały łagodnie, i sprawiało to wrażenie, jakby ktoś za pomącą na przemian skracania i wydłużania cewki transformatora powoli gasił lub zapalał światło. Było to dla mnie zaskoczeniem, gdyż nie wyobrażałem sobie, że zjawisko takie w człowieku istnieje. Bowiem owo falowanie odczuwalne było w odniesieniu do całej jego osoby. Tak, jakby

coraz to cały obumierał, to znowu cały ożywał! I wtedy gdy ożywał czuło się coraz wyraźniej ten jego potencjał, o którym wspomniałem przed chwilą.
Wydawało się, że czai się w nim coś, jakby przygotowane do powstrzymywanej na razie, ale w każdej chwili mogącej nastąpić erupcji. Zaskakujące było też to, że poddany temu zjawisku, w całości swej wydawał się nadzwyczaj zjednoczony. Nie było w nim tego, co charakteryzuje zwykle człowieka, a mianowicie jakiegoś desynchronu procesów, które następując nie zgadzają się ze sobą, nie pasują jakby do siebie.
Zharmonizowanie siebie wewnętrznie jest rzeczą rzadką. Jest rzeczą trudną! Stanem, który zwykle osiąga się drogą żmudnych i cierpliwych ćwiczeń!
Niewielu jest ludzi, którzy możliwość taką posiadają rozwiniętą z natury
Był więc obdarzony tą zdolnością, czy tylko mi się tak wydawało?
Bo przecież z owym stanem całościowego zharmonizowania jego osoby kłóciło się to falowanie potencjału, które przecież zbliżając się do niego czułem coraz bardziej wyraźnie. Starałem się wniknąć w tą dziwność aktywniej, silniej, jakby przybliżyć się jeszcze bardziej do tego niepokojącego szczegółu. Nie było to proste, toteż kolejnym zdziwieniem napełnił mnie fakt, że zrozumienie zjawiska nastąpiło we mnie nagle, jakby pękła gwałtownie zasłona ukrywająca tę rzeczywistość przeze mnie poszukiwaną. W jednej chwili zrozumiałem na czym to polega. Teraz ja znalazłem się w stanie krańcowego podniecenia. Bo przecież zrozumiałem dzięki kontaktowi z tym człowiekiem jedną z zasadniczych dla mnie tajemnic.
Tak!
A więc to tak właśnie się dzieje? Na tym to polega?
Ogarnęła mnie niesamowita radość.
Nie wiedziałem jeszcze.... bo przecież czas jakoby zintensyfikował teraz swój przepływ.... chwile stały się krótkie i nie nadążałem ogarnąć wszystkich konsekwencji dokonanego przed chwilą odkrycia. Nie byłem jeszcze w stanie uporządkować mego świata, w którym pojawił się nowy, wspaniały element. Ale radość przepełniała mnie tym większa im bardziej czułem, że odkrycie to nie jest niczym ulotnym, że tkwi ono jak strzała w tarczy, że go nie utracę, że gdy tylko moja sieć uspokoi się, przestanie drgać pod wpływem gwałtownego przyjęcia czegoś „nowego” , to „nowe” usadowi się w niej na trwałe, że uzyska w niej stałe miejsce.
Zrozumiałem ponadto, że znalazłem go!
Ze znalazłem człowieka, którego szukam. Ze to właśnie z nim muszę rozmawiać.
Spowolniłem więc jeszcze moje kroki i pewnie było to czymś na kształt czającego się kota, który nie chce spłoszyć półsennego ptaka na którego poluje. Chciałem mieć czas, jak najwięcej czasu, by nie popełnić błędu, by nie stracić nadarzającej się okazji.
Ale zbliżenie w przestrzeni następowało przecież i gdy znalazłem się już w odległości kilkunastu, może nawet kilku metrów od niego, w kontakcie naszym powstał jakiś nowy element, który zrazu mnie zaniepokoił, bo jego rytm wydawał się rwany, nieporządny, jakiś nerwowy. Wymagało to z mej strony dodatkowego skupienia na tym człowieku, który działał na mnie teraz z siłą wcześniej mi nieznaną.
Ależ tak!
Wydało mi się, że już rozumiem o co to chodzi, ale chwilowa pewność ustąpiła wątpliwościom.
Czyżby?
Po sekundzie nie miałem wątpliwości!
On wdzierał się teraz we mnie podobnie, jak ja wdarłem się w niego przed kilkoma minutami. Próbował mieszać w moich myślach, przenikać je, porywać, nakładać się swą aktywnością na ich tok, treść, zawartość, stan.
Ale też zrozumiałem szybko, że to dzieje się bez jego kontroli. Ze rzadka siła jego pola magnetycznego nie jest przezeń opanowana, że nawet nie wie o niej - nie wie że ono istnieje, że działa.

Stąd owa nierytmiczność istniejącego bez kontroli kontaktu, zakłócenia, rwanie, bałagan. Ale już sam fakt posiadania przezeń tak intensywnego pola był dla mnie niesłychanie ważny. Wiedziałem, że „rozmowa” będzie możliwa, jeśli oczywiście pokonamy zwykłe pomiędzy obcymi sobie ludźmi bariery konwencji, kultury, leku przed drugim - jeśli do tej rozmowy będzie mogło dojść w sensie normalnej formy kontaktu.
Póki co szedłem dalej w jego kierunku.
Ciało jego trwało nadal w bezruchu jak przedtem, bez najmniejszej zmiany pozycji. Jego mięśnie były wciąż tak samo rozluźnione, jakby nie wiedział, że w pustej do niedawna przestrzeni mostu jest jeszcze ktoś poza nim, jakby mnie nie było, albo nie akceptował tego, jakby nadal był tu zupełnie sam ze swoimi na wpół uspokojonymi, na wpół uśpionymi myślami, ich cieniem, ich sygnałem zaledwie.
Chwilę zastanawiałem się czy podejść do niego najprościej na świecie i rozpocząć rozmowę o czymkolwiek, ale wydało mi się to jakieś głupie.
Łatwo powiedzieć - o czymkolwiek!
Byłem w tym momencie tak skupiony na nim i na sprawie, którą nosiłem w sobie po mieście od wczorajszego popołudnia, tyle było we mnie nadziei - że w końcu pozbędę się tego nieznośnego ciężaru mej samotności w wiedzy - że zdałem sobie sprawę iż takie ot, rozpoczęcie rozmowy o niczym nie wyjdzie mi dobrze. Wyjdzie na pewno nienaturalnie, nerwowo, byle jak!
Ogarnąwszy go z bliska wzrokiem uświadomiłem sobie, że mam przed sobą człowieka około trzydziestki, czyli sporo ode mnie młodszego. Ze jest przystojny.
Profil pochylonej poza balustradę, nad rzekę twarzy znamionował urodę przekraczającą przeciętność. Lekko falujące, ciemne włosy, teraz nieznacznie poruszane przez poranny powiew ciepłego jeszcze, południowego wiatru przysłaniały wspaniale wysklepione czoło nieco zanadto rozwiniętej w przedniej części czaszki. Nos rysował się klasyczną, wydatną krzywizną ponad mięsistymi, ale nie zanadto - wargami. Nie było w nich nic z przesadnej dla Europejczyka grubości właściwej południowcom. Miały swój północnoeuropejski krój, wydało mi się nawet, że ich rysunek jest może przesadnie graficzny, ostry, ale może wynikało to z kontrastu w mdławym świetle latarni pomieszanym z bladawym właśnie poblaskiem zarania, w którym to oświetleniu cera jego twarzy utraciła wiele z normalnej swej pewnie wyrazistości i przypominała rozwodnioną intensywność słabej kawy z mlekiem. Wargi natomiast, przyjmując jakby poświatę wynikającą z bliskości intensywnie wiśniowego pulowera, bo wilgotne niedawnym ich zaciskiem - kontrastowały nadmiernie. Całość podkreślała trochę zbyt wydatna, wypełniona dorodną szczęką broda, ciężka i dominująca swą niemal brutalnością w tej właściwie delikatnej reszcie twarzy. Dzięki temu twarz ta nie była twarzą amorkowatą, półdziewczęcą, miękką czy słabą, a przynajmniej takiego znamionującą człowieka. Wręcz odwrotnie! Wskazywała na te cechy osobowości, które ujęte w całość określają dziś zazwyczaj człowieka zdecydowanego, konkretnie patrzącego na otaczającą go rzeczywistość, może zbyt praktycznie do tej rzeczywistości nastawionego, wobec bliźnich trochę oschłego, czasem zbyt agresywnego w kontakcie osobistym, ale też potrafiącego być delikatnym, przesadnie wrażliwym i jakoś tam w sobie właściwy sposób łagodnym.
Przeciwieństwa?
Owszem!
Ale taki właśnie konglomerat przeciwstawnych sobie cech jest właściwy osobom o naprawdę nieograniczonych możliwościach, ale zrazu nieukształtowanej jeszcze do końca osobowości, która w przyszłości, rozwinąwszy się w określonych warunkach, może przechylić się w ostatecznej swej formie na każdą ze stron pozostających w zakresie możliwości takiego człowieka. Rozwijając swą delikatność i wrażliwość, może dojść niemal do szczytów rozumienia otaczającej go rzeczywistości - tak samo jak popadłszy w krąg zwyciężającej brutalności, gotów jest stać się agresorem szczególnie dotkliwym, bezkompromisowym, zawziętym i zdecydowanym w swym twardym postępowaniu.

Bo przecież posiadany przez niego zasób energii nie może pozostać bez skutku dla jego postępowania. Musi się przejawić w działaniu! W jej uwolnieniu ku zewnętrzności, ku ludziom, lub ku sprawom istotnym.
Całości dostrzeżonego przeze mnie obrazu dopełniały dłonie o długich, nawet można by powiedzieć - chudych palcach silnie splecionych teraz ze sobą w formę rąk złożonych do modlitwy, a raczej w trakcie jej, gdy nabiera ona charakteru szczególnie żarliwego. Jedynie te dłonie właśnie były w nim splecione napięciem i tylko one wskazywały na to, że wie o mojej obecności w pobliżu, że jest wobec niej aktywny, a nawet, że śledzi mnie niejako, każdy mój ruch, odległość w jakiej się znajduję. Ze stara się odgadnąć me intencje, przeniknąć moje zamiary wobec niego, przeniknąć mnie samego!
Nie mógł tego dokonać, mimo swych ku temu uzdolnień, gdyż energia posiadana przezeń nie była jeszcze wystarczająco opanowana. Mówiłem już o tym.
Toteż, by poznać mnie, a ściślej, dowiedzieć się chociaż jak wyglądam musiałby mnie obejrzeć, chociaż spojrzeć na mnie, rzucić okiem chociażby... ale uparcie nie robił tego trwając tam, tu przy balustradzie mostu z twarzą zwróconą ku wodzie.
Wobec przegiętej przez barierę pozycji ciała i przy podkurczonych, skrzyżowanych w kolanach nogach, wobec głowy opuszczonej pomiędzy ramiona i pochylonej w dół - trudno mi było ocenić jego wzrost. Ale na pewno nie był człowiekiem niskim i nie rachitycznej budowy. Pomyślałem sobie, że będzie miał około stuosiemdziesięciu centymetrów wzrostu i że jest przeciętnej, ale zdrowo zachowanej budowy ciała. Odnosiłem też wrażenie, że jest „fit” jak to modnie dziś określa się człowieka o normalnym zdrowiu i normalnych motorycznych możliwościach.
Na pierwszy rzut oka ubrany był trochę dziwnie.
Widać było od razu, że ubiór, który nosi nie jest mu obojętny, ale też nie stara się uczynić zeń czegoś podpadającego, wyróżniającego go od razu. Nie było to wszystko tanie - co miał na sobie - i nie było też dostępne w tuzinkowych supermarketach ubierających dziś znaczną większość mieszkańców zamożnych kontynentów. Nie był to też tak zwany Anzug, czyli garnitur, ale to niemieckie słowo lepiej oddaje charakter zaprojektowanego przez designera kompletu. Widać było, że poszczególne części garderoby dobierał sam, osobno je kupując. W sumie był to jednak jakiś dżinsowy strój z butami pochodzącymi z kolekcji projektowanej dla wyższego managementu silnych na rynku firm przemysłowych. Pod kurtką bliską formie marynarki nosił jaskrawo wiśniowy pulower kaszmirowy albo z grubego jedwabiu, tak samo jak buty przemieniający w całości kompozycji dżins w ubranie, a nie pozwalający mu pozostać na poziomie stroju roboczego.
Jak widzicie, wszystko to powodowało, że człowiek, którego miałem przed sobą, przecież nawet obok siebie, był urodziwy, nawet piękny.
Nie było to dla mnie ułatwieniem. On przecież wiedział o swej urodzie, a może nawet o swej wartości jako osoby. A i ja wiedziałem już też, że nie jest człowiekiem „prymitywnym”, jak to się teraz nazywa.
Uwierzcie mi - nie używam tego słowa w sensie pejoratywnym, oceniającym negatywnie kogokolwiek! Dla mnie nie ma ludzi gorszych lub lepszych, prymitywnych czy złożonych! Ale skoro już używacie tych słów, skoro się nimi na co dzień porozumiewacie - to też wybaczcie mi, że ich po was używam. Używam!
Bo chcę się z wami porozumieć!
Przecież nie będę odrzucał tych słów, bo nie zrozumiecie mnie.
Koniec końców postanowiłem, że na razie minę go.
Bałem się, że weźmie mnie za pedała.
Dziś trzeba na to uważać.
Normalny człowiek zaczynający rozmowę z drugim normalnym człowiekiem, rozmowę o niczym w blady świt na moście wielkiego miasta zwykle postrzegany jest jako ktoś, kto kogoś zaczepia. Chyba, że są to ludzie pomazani wspólnym nieszczęściem, upadkiem - ludzie, którzy już nie mogą być ani pedałami, ani niepedałami! Nieszczęśnicy, których

nieszczęście zbliża, uwalnia - może przywraca normalne człowieczeństwo, wyzwolone z konwencji, przyzwyczajeń, nie zawsze rozumianych, powstałych w wyniku jakichś zawirowań zbiorowego umysłu - przesądów?
Martwi mnie, gdy widzę jak komplikuje się dziś najnaturalniejszy kontakt człowieka z człowiekiem!
Przecież nade wszystko potrzebny!
Jak obkładany jest skomplikowanym lasem konwenansów, bez stosowania których każdy z nas może być uznany za „pedała, penera, masona, żyda”.
Ale żyję tu i teraz - teraz.
Gdy minąłem go, idąc jak dotąd powoli, w odległości nie całego metra - nie drgnął nawet. Ale gdy zauważył, że szedłem spokojnie dalej i kroki moje stawały się już coraz mniej słyszalne dla jego uszu, porzucił swą dotychczasową pozycję, a nawet postanowił przerwać panującą pomiędzy nami ciszę.
„Dzień dobry!” - usłyszałem teraz jego dźwięczny, ale mimo wszystko łagodny głos. Zwolniłem kroku, by po chwili zatrzymać się i powoli odwrócić się w jego stronę.
„Dzień dobry!” - odpowiedziałem.
Staliśmy tak na przeciw siebie na moście w odległości paru metrów, a oczy nasze ciekawie, choć jeszcze z pewnym trudem starały się przebić niewygodną poświatę poranka. Przerwałem świadomie zasadniczy kontakt, by pozostać w na pewno mu znanym, czyli codziennym, zwykłym kontakcie wynikającym wyłącznie z percepcji zmysłowej, bo uznałem, że na razie tak będzie lepiej dla niego, a w rezultacie dla nas, dla przyszłości naszej rozmowy. Bałem się bowiem, że gdy pozna, że wchodzę w jego myśli i wiedzą tą pozwalam sobie się posługiwać, może uciec ode mnie, przestraszyć się, bo przecież jeszcze nie wiedział, że potrafi właściwie zrobić to także.
On, po tym pierwszym odezwaniu się, jakby stracił pewność siebie, jakby zapomniał po co mnie zaczepił. Albo w ogóle zaczepił mnie bez uświadomionego sobie wcześniej powodu! Tylko dlatego, że oddalałem, się czemu świadczył dźwięk moich kroków. Bo przecież nie patrzył wtedy na mnie.
Teraz dopiero przyjrzał mi się ciekawie, mierząc wzrokiem mą stosunkowo drobną postać. Cisza trwała już dość długo, gdy w końcu zdecydowałem się przerwać ją, widząc że jest coraz bardziej speszony tą sytuacją.
„Cieszę się, że usłyszałem twoje pozdrowienie.”
Powiedziałem i po chwili dodałem.
„Ale wróciłbym pewnie, gdybyś pozwolił mi oddalić się jeszcze bardziej. Cieszę się, że cię spotkałem. Gdy wyruszałem do miasta, nie wiedziałem o tym, że dziś to się zdarzy.”
„ A ja wiedziałem!” - odparł bez żenady - „Tylko nie wiedziałem, że to ty będziesz tym, którego spotkam.”
„Skąd wiedziałeś?” - zapytałem szczerze ucieszony jego prostolinijnością.
„Bo ja wiem? Tak jakoś.” - odpowiedział.
„Czekałeś na to spotkanie?”
„Każdy czeka.”
Odparł, jakby zawiedziony moim pytaniem.
„Myślisz, że każdy?”
Chwilę się zastanowił i widać było, że stara się skupić na tej naszej rozmowie, a wypowiedziom swoim nadać w miarę precyzyjne znaczenie.
„Pewnie nie każdy! Masz rację.”
I jakby zakończył temat przerzucając piłeczkę na moją stronę pola.
„Ja też czekałem na to spotkanie.” - powiedziałem.
„Wiem!”
W jego głosie brzmiała taka pewność, że poczułem się nieco nieswojo.
„Skąd wiesz?”
Postanowiłem teraz nie popuszczać mu, skoro tyle w nim odwagi.

„Nie wiem jak to się stało, ale gdy zbliżałeś się tutaj, to zrozumiałem, że też nie szwendasz się po nocy po mieście bez celu.”
Chwilę się zawahał, ale szybko powrócił do przerwanej myśli.
„Ze szukasz człowieka, z którym mógłbyś pogadać...”
I znowu w skupieniu szukał tych właśnie słów, które trafiłyby w sedno, a znalazłszy dokończył.
„... bo masz do opowiedzenia nie byle jaką historię.”
Nie powiem! Zaskoczył mnie tym. Czyżby trafił przez przypadek, czy też przeniknął moje pole do tego stopnia, że wiedział o tym teraz? Na razie postanowiłem nie drążyć tej sprawy, i przyznałem mu po prostu rację.
„Słusznie! Mam ci sporo do opowiedzenia...„
„O.K.” - wszedł mi w zdanie, jakby chcąc skrócić rozmowę - „Trzeba tylko zastanowić się jak to urządzić. Przecież nie będziemy tu stać na tym moście cały czas. Fizycznie nie damy rady. Knajpa też się do tego nie nadaje...”
„Jasne, że trzeba to jakoś urządzić.!
„Masz pomysł?”
Zapytał, ciągle zmierzając jakby do końca spotkania.
Teraz widziałem to wyraźnie i zaniepokoiłem się tym trochę, jednak postanowiłem pozostawić mu inicjatywę, licząc na to, że tak będzie lepiej dla nas, skoro uważał, że tak jest dobrze dla niego.
„Nie mam. A ty?”
Zastanowił się chwilę po czym znowu zapytał.
„Jak myślisz? Ile potrzebujesz czasu, by mi to opowiedzieć?”
Teraz ja musiałem szybko podjąć zasadniczą decyzję, by nie stracić ani tej szansy, ani też go nie przestraszyć ogromem problemu.
„Sześć, siedem dni, jeśli wytrzymasz taką pracę. Przecież nie jesteś wyćwiczony.”
„Nie jestem!” - odpowiedział konkretnie - „Ale wytrzymam! Powiedzmy więc siedem. Zgoda?”
„Zgoda!” - odpowiedziałem - „Kiedy zaczynamy?”
„Jak to kiedy?”
Znowu w jego głosie dosłyszeć można było nutę zawodu, tak jakby spodziewał się, że więcej decyzji przyniosłem w sobie przychodząc na most.
„Jutro! Przyjdziesz tu gotowy do drogi. Tylko szkoda będzie tracić czasu na wymyślanie trasy. Pomyśl o tym wcześniej.”
Słońce wzeszło już na tyle wysoko i tyle było już pomiędzy nami jego promieni, że bez trudu dostrzegłem teraz szeroki uśmiech na jego twarzy i jakąś radość w oczach. Odwrócił się żwawo i ruszył w kierunku brzegu powoli zaludniającego się śródmieścia.
Po paru krokach odwrócił się znowu w moim kierunku i podniósł wysoko rękę w pozdrowieniu. Krzyknął!
„Jutro o dziewiątej rano! Tutaj! Wyruszamy na siedem dni!”
I obróciwszy się jeszcze raz wokół własnej osi dodał tak samo głośno.
„Cieszę się, że mnie wybrałeś i że będę mógł poznać tę twoją tajemnicę!”
A potem już nie zwracając uwagi na to czy usłyszę te ostatnie słowa krzyknął.
„Trzymaj się!”
I mój przyszły Rozmówca ruszył biegiem w kierunku splątanych uliczek, którymi niedawno przyszedłem na most.
Po chwili zniknął mi z oczu.

ROZDZIAŁ II - PIERWSZY DZIEN PODROZY.
CZŁOWIEK, WYBRANY PYŁ WSZECHSWIATA.

Noc spędzona na przemierzaniu setek znanych mi od dawna ulic, uliczek, zaułków i

placów naszego miasta, zakończona wreszcie spotkaniem mego Rozmówcy na moście, kosztowała mnie dużo. Od lat życie moje ma charakter solidnie uporządkowany, przebiega w dość jednostajnym, raczej spokojnym rytmie. Niemal zawsze o tych samych godzinach zasypiam, jem, piję swe dwie zwykle kawy, wstaję wcześnie, by rozpocząć kolejny dzień. Dla kogoś, kto wiele swej energii zużywa na poszukiwanie wrażeń, które niesie ze sobą roziskrzony świat końca dwudziestego wieku, kto kocha te iskierki rzeczywistości, owo dzieło pokoleń zawarte w przebogatych wytworach milionów ludzi, moje życie mogłoby wydawać się monotonne i pozbawione wrażeń.
Nie jest tak!
Bo nie tylko poznanie podstawowej struktury bytu, co jest ostatnio moją zasadniczą czynnością, potrafi wypełnić człowieka swą wspaniałą, wstrząsającą niepowtarzalnością. Świat można przecież pochłaniać, poznawać, przyswajać sobie w sposób spokojny, łagodnie rytmiczny. Bo to, co w naszym ludzkim języku, języku kultury w której dokonujemy swego człowieczego dzieła nazywamy czasem, a co zamyka w jakichś ramach nasze istnienie w danej nam właśnie teraz formie - ten czas nie jest rozciągliwy i zmieścić w nim można tylko określoną ilość zmysłowych kontaktów i umysłowych konstrukcji z tych kontaktów wynikających. Istotne jest jednak, by nie były one bezmyślnym oglądaniem, dotykaniem, słuchaniem, smakowaniem... by były, choćby tym dostępnym na takim poziomie - poznaniem, doświadczeniem, przeżyciem! By kontakt zmysłowy z odnajdywanym w naszej linearnej drodze przez naszą cząstkę bytu, też budował w nas coś istotnego, ważnego przecież dla wiedzy o tym chociażby wymiarze, poziomie, formie istnienia. Kultura ludzka jest wtedy tylko kulturą, gdy kontakt z jej przejawami buduje w nas coś, poprzez asocjację, połączenie wrażeń i powstającej z nich wiedzy - gdy ubogaca nas. Przygotowuje niejako do odnalezienia się w kontakcie z całością istnienia.
Dzieła kultury, to co stworzył geniusz ludzki w swej czasoprzestrzeni, co w tym samym obszarze objawiła nam, dała ze swych tworów natura, a co świadomość nasza zdołała z tego bogactwa zabsorbować, przetworzyć na nasz świat, na nasze znane nam zmysłowo i umysłowo otoczenie - to wszystko nie istnieje przecież tylko dla nas, dla człowieka. Wszystko ma swą niepowtarzalną funkcję w nieznanym nam jeszcze, ale harmonijnym, celowym i realnie istniejącym planie całości. I poznawanie tych wszystkich istnień jest także drogą do... jest poznawaniem na dostępnym każdemu poziomie tego planu, tej struktury - całości.
Patrzenie, słuchanie, dotykanie... bez poznania... jest więzieniem nieuczestnictwa!
To tak, jakby głodny i ślepy przechodził obok suto zastawionego stołu, bo go nie widzi, a nikt będący akurat w pobliżu mu tej bliskości pożądanej nie ujawnił. A głodny udaje się dalej w drogę do nikąd, skoro potrzebę swą musi ominąć!
Ale takie kalectwo, takie połączenie nieszczęścia jest zwykle nadmiernie drastyczną formą egzystencji.
Większość z nas jest sama sobie winna, że ruszając się - pozostaje ciągle w tym samym miejscu.
Skoro nasza forma istnienia jako ludzi jest pewnego rodzaju wybrańtwem, darem być może, albo uosobieniem (uczłowieczeniem) szansy, możliwości, powierzenia jakiegoś istotnego potencjału wobec całości, a chociażby jej bliskiej przestrzennie cząstki, to z wybrańtwa tego wynikają nie tylko przecież te szczególne możliwości, ale również dane nam jest korzystanie z nich, użycie dla własnego rozwoju! Kto tego nie czyni, kto biernie daje się przemieszczać mechanizmom wytworzonym przez kulturę, ten popełnia błąd zaniechania, który w niektórych systemach pojęciowych nazywa się grzechem, a nawet złem.
To smutna cecha dzisiejszego sposobu istnienia wielu ludzi.
To smutne, że wiele pracy włożył człowiek w to, by stworzyć sobie i innym jak najlepsze warunki do tego, by biernie przetrwać daną nam właśnie formę. By zwolnić nas niejako z

właściwego istnieniu obowiązku świadomego bycia wobec, aktywnego uczestnictwa w rozwoju tego co jest, a co przecież będzie zawsze, wiecznie.
Człowiek nie może wystąpić, wypisać się jak z klubu czy organizacji - nie może powiedzieć przecież - to mnie nie interesuje, to mnie nie dotyczy.
Mimo, że nie gonię nerwowo z wywieszonym jęzorem, nie wiruję w oszalałej karuzeli poszukiwań wrażeń, poznaję przecież przedmioty istnienia, jego przejawy, formy.
Podobnie do wielu innych ludzi przemierzam drogi naszej planety i odnajduję jej wspaniałości na wszystkich kontynentach.
Nie staram się jednak pochłonąć więcej niż mogę strawić. Staram się nie dopuszczać bezmyślnie do tego, by na mej wewnętrznej, myślowej „autostradzie" pozwalającej przenikać we mnie elementom poznania, następowały permanentne korki, zatory, by drożność jej ulegała co raz to zakłóceniu, a może wręcz likwidacji?
I nie przeszkadza mi to w miarowym rytmie spokojnej, a przecież również nieprzerwanej aktywności.
Jedną z form naszego działania jest posiadanie ciała, organizmu, owej właściwej nam „maszyny" do uzyskiwania kontaktu z rzeczywistością. Bez niej nie możemy istnieć jako ludzie i spełnienie naszej funkcji w planie całości istnienia nie jest możliwe.
Bez ciała musielibyśmy, licząc na to, że inna forma będzie dla nas lepsza.
A po co?
Przecież wystarczy cenić to ciało, ten organizm, tę maszynę - myślę, że jest to nawet pewnego rodzaju obowiązkiem - odpowiednio dbać o nią.
I choć choroba jest stanem równo wartym w całości doświadczenia, to nie ma żadnego powodu, by tego akurat doświadczenia poszukiwać samemu dla siebie!
Doświadczenie wynikające z posiadania zdrowego ciała jest nie tylko właściwe, ale daje szersze możliwości.
Mądrzy Grecy już w starożytności wiedzieli, że wartość zdrowia ciała ludzkiego nie jest jedynie związana z przyjemnością przeżywania istnienia, ale że jest - co wiele ważniejsze - przede wszystkim zwielokrotnieniem przejawów tego istnienia, wzmożeniem istotowej aktywności. Jest otwarciem możliwości bogatszego istnienia.
To prawda!
I stanowisko takie nic nie ujmuje istocie choroby, słabości, niemocy - jako doświadczenia ludzkiego i wkładu człowieka chorego w całość tego doświadczenia, w istnienie.

* * *

Noc zakończona spotkaniem na moście stanowiła spore zachwianie w mym normalnym rytmie. Niemniej widocznie była konieczna, bym w działaniu swym posunął się o istotny krok dalej.
Odnalezienie Rozmówcy było przecież niezbędne.
Przez tak nietypowo rozpoczęty dzień udało mi się jednak powrócić do znanej mi normy.
Kolejną noc spędziłem znów na odpoczynku i wyruszyłem szczęśliwy w ową siedmiodniową podróż, która miała rozpocząć się w miejscu naszego wczorajszego rozstania.
Nigdy nigdzie nie wyruszam na ostatnią chwilę, toteż przygotowawszy dom do mej nieobecności, wykonawszy niezbędne telefony, wysławszy czekające na ekspedycję listy i powierzywszy sąsiadom klucze, by żona z dziećmi wracając z urlopu nie miała trudności w dostaniu się do domu - zarzuciwszy torbę na plecy ruszyłem spacerem na most.
Miasto pulsowało swym normalnym rytmem, nieco zwolnionym w środku lata, ale mimo wszystko ciągle bardzo intensywnym.
Bo dzisiejszy świat przypomina jakieś samonapędzające się perpetum mobile i nie można sobie nawet wyobrazić, by coś co jest w nadanym mu ruchu nagle stanęło, zaprzestało swych działań. Nawet jeśli polegają one z samej swej natury na obumieraniu!

Nawet umierania nie da się zatrzymać, choć pewnie łatwiej byłoby technicznie to zrobić niż powstrzymać powstawanie, rodzenie się czegoś.
Umieranie i rodzenie się wytworów człowieka jest mechanizmem najprostszym jakie znam, a jednak dziś sam „twórca” dopuścił do tego, że nawet jego dzieła powstają i giną z jego udziałem wprawdzie, ale bez jego woli. Człowiek rozkręcił układ, nad którym taki jaki jest - przestał panować.
Niektórzy widzą to jako straszne.
Dla mnie ten paradoks, to uwikłanie się we własne dzieło jest raczej komiczne, przypomina mi nachalnie sytuację dziecka rysującego sobie kredą na czarnej jezdni labirynt, z którego potem samo wyjść nie potrafi.
Znowu zaatakował mnie nieprzyjemny wrzask policyjnej karetki.
A może to było pogotowie ratunkowe? Może ktoś spieszył innemu na pomoc? A może to tylko pękła rura wodociągowa i woda zalewała czyjeś wypielęgnowane mieszkanie i na ratunek meblom śpieszył się hydraulik. Albo elektryk, bo w jakimś gigancie-biurze nawalił transformator i stanęły komputery myślące teraz za miliony ludzi?
Krzyk syren służb specjalnych mających prawo do takich sygnałów, ich częstotliwość pozwala zrozumieć rozwój aglomeracji.
Kiedyś, gdy przed kilkunastu laty zamieszkałem w naszym mieście, taka syrena dała się słyszeć może raz w tygodniu. Teraz, gdy idziesz ulicami śródmieścia słyszysz ją kilkanaście razy w ciągu dnia. Ileż ratunku potrzebuje więc dziś człowiek w mieście, które sam stworzył i które teraz zaczyna mu zagrażać?
No bo nie śpieszy się przecież na ratunek, gdy nie jest on potrzebny...
Mijając wrzask karetek i agresywną zaczepność jaskrawo kolorowych reklam, plakatów, ogłoszeń, znaków zakazu i nakazu, ostrzeżeń i pouczeń, spoglądając na kioski pełne pomysłowo pociągających gazet, w których znaleźć można zwykle te same informacje, tylko jakby w inną sukienkę ubrane, a każda z tych sukienek służy rzekomo do „pierwszej komunii” - mijając to wszystko zdawałem sobie sprawę, że trudno jest nam, ludziom wielkich miast, zrozumieć wartość tego o czym w tym całym oceanie informacji nie ma ani słowa.
Trudno nawet przeczuć istnienie czegoś więcej.
Jak też ten szlam informacyjny jest w stanie wypełnić nasze dni!
Mijając to wszystko zastanawiałem się w jaki sposób poprowadzić zbliżające się rozmowy z mym Rozmówcą.
Bo przecież dzięki jego zainteresowaniu, a ponad to dzięki jego aktywności i możliwościom, o których mogłem się w trakcie tego krótkiego spotkania na moście przekonać, nadarzała mi się okazja nie tylko zrzucenia z siebie ciężaru zakopanego skarbu i rozpoczęcia dzielenia się z innymi ludźmi mą wiedzą!
Zrozumiałem, że mogę wykorzystać ten czas również dla innych, jeszcze mi nieznanych, przyszłych odbiorców mej informacji.
Bo czemuż dopiero przedwczoraj wyruszyłem w drogę?
Czemuż dopiero teraz zaburzyłem normalny tryb swego życia?
Dlaczego teraz dopiero ten zakopany skarb zaciążył mi tak bardzo?
Czyżby polegało to na tym, że kropla przepełniła czarę, że zrozumiawszy wiele nie miałem już w sobie miejsca, by magazynować to wszystko i trzeba było nieco oddać, by móc dalej przyjmować?
Chyba też nie na tym polegała ta moja przedwczorajsza decyzja.
Zrozumiałem, że narosło we mnie pragnienie próby!
Próby, czy posiadam instrumenty, czy w ogóle takie instrumenty istnieją, za pomocą których przekaz mej tajemnicy jest możliwy. Czy uniesie ten ciężar język, słowa, tekst?
Bo przecież to, że przekaz w innym, poza kulturowym kontakcie jest możliwy wiedziałem od dawna. Próbowałem to robić i udawało się. Ale wiedziałem też, że krąg osób mogących za pomocą tego kontaktu me informacje odbierać jest niewielki, i że oni nie są tymi właśnie

ludźmi, którzy tego mojego komunikatu potrzebują najbardziej. Bo oni sami są blisko wiedzy, o którą chodzi! Komunikat mój zapragnąłem powierzyć poza granice tego „klubu". Uznałem, że jest on potrzebny innym ludziom, wszystkim właściwie.
Jak do nich dotrzeć?
Za pomocą jakiego kodu komunikacyjnego, skoro oni znają właściwie tylko ten jeden - język uwięziony w kleszczach pojęć kultury, która nie absorbuje rzeczywistości poza sobą. A jednak powstała we mnie pokusa sprawdzenia tego narzędzia.
O tylu trudnych sprawach można za jego pomocą informować.
Może więc nie jest ono tak hermetyczne jak mi się przez lata wydawało? Może pozostały w nim elementy, za pomocą których będzie to możliwe. Elementy może zapomniane, pogrążone w bezużyteczności od dawna, ale przecież istniejące, jak wszystko co kiedyś zaistniało.
Nie jestem wszak jedynym w historii człowiekiem, który przekroczył granicę.
Byli tacy!
Było ich przecież wielu. Wiele więcej, niż w codzienności naszej jesteśmy sobie w stanie przypomnieć. Oni również próbowali koniecznego mi teraz kontaktu. Spierali się z tą niesłychanie trudną materią słowa, konstrukcji słów, która głębiej dociera do spraw od słów samych. Może to wszystko uda się ożywić, odszukać, przywrócić dawną, przynależną wtedy skuteczność lub nadać nową?
Chodziło więc o próbę języka.
Stąd moja nieprzeparta chęć rozmowy.
Ale w tym właśnie miejscu mój Rozmówca wydawał się nie być idealnym partnerem. Odkryte w nim na moście możliwości były za duże. Można było z nich skorzystać, co właściwie utrudniało zadanie - ułatwiając kontakt i przekaz.
Ale też zaraz zdałem sobie sprawę, że przecież nie jest tak w zupełności.
Bo po pierwsze zdolności jego nie były jeszcze w najmniejszym stopniu wykształcone. Posiadał je jedynie! A poza tym, z czego zdałem sobie nagle sprawę - to ja właśnie postawiłem twierdzenie, że takie zdolności posiada właściwie każdy człowiek!
Każdy!
Są one mu tylko nieznane! Nieużywane do kontaktów z czymkolwiek, ale są!
W tym punkcie mój Rozmówca właściwie nie różnił się od innych ludzi. Właściwy człowiekowi potencjał był w nim tylko jakoby bliżej. Bardziej na powierzchni!
No więc dobrze - pomyślałem - niemniej i tak będziesz musiał uważać, by z tego nie korzystać pochopnie. Wówczas cała próba języka nie zostanie dokonana. Trzymaj się! Nie wolno ci iść na łatwiznę! Gdy ci się powiedzie będziesz w domu! Jemu i tak zdołasz przekazać zakopany skarb, bo on tego pożąda, czuje jego istnienie i pewnie starczy mu cierpliwości zarówno na twoją próbę języka jak i na przyjęcie tajemnicy.
Siedem dni!
To mało!
Posmutniałem na chwilę zdawszy sobie sprawę z tego, o co to chodzi w tej całej umowie. Siedem dni to też i dużo, skoro do tej pory nie było takiej możliwości ani przez jeden dzień. Pomyślałem tak i smutek chwilowy zrównoważony został nadzieją, ciekawością tego co miałem za chwilę rozpocząć, bliskością próby.
Minąłem bank i skręciwszy w cienistą aleję starych drzew i domów ujrzałem już w jej perspektywie nasz most.
Pamiętałem, że po wczorajszej rozmowie, to do mnie należało zaplanowanie naszej podróży. Nie było to proste. Istotne było w tym to, że z jednej strony podróż nie powinna być monotonna, winna pobudzać naszą aktywność, inspirować, a jednocześnie nie odciągać nas od sprawy zasadniczej.
Uznałem więc, że najlepiej będzie, gdy przewiniemy się pośród znanych mi doskonale, a jemu też zapewne, tak przynajmniej sądziłem, cieni kultury w której przyszło nam urodzić się, wychować, nauczyć oddychać. Postanowiłem to na przekór temu, że ta właśnie

kultura traktowała teraz po macoszemu to wszystko, co chciałem jej ofiarować, z czym miałem zapoznać mego Rozmówcę.
Postronny obserwator mógłby pewnie zdziwić się, że opowiadań swych nie chciałem snuć w wygodniejszym dla nich środowisku. W miejscach, których obyczaj, myśl, codzienność ludzka i dziś przepełniona jest świadomością tajemnic istnienia, gdzie tajemnica towarzyszy większości ludzi w każdym ich ruchu, w każdej podejmowanej decyzji.
Mimo iż miejsca te znałem również, postanowiłem ich teraz uniknąć. Nie było w tym nic dziwnego, czy sprzecznego z mą intencją.
Wręcz odwrotnie!
Miejsca te pełne są tajemnic pojmowanych przez ich mieszkańców jako istotna rzeczywistość, a świat dostrzegalny zmysłowo rzeczywiście nie wypełnia tak przestrzeni jak w Europie czy Ameryce. Ale jest to środowisko tajemnic, które można nazwać mistycznymi. Tajemnicami innego w prawdzie świata, ale nie świata konkretu! A to w moim pojęciu jest tak samo błędne, jak kurczowe trzymanie się zmysłów.
Nie o lekceważenie zmysłów przecież mi chodziło. O nie! Raczej walczyłem teraz o przywrócenie im właściwej rangi, wartości, zaniedbanych możliwości, a jeśli już nie zmysłom, to ich ośrodkowi jakim jest mózg człowieka.
Mózg!
A więc coś na wskroś konkretnego, fizycznie doświadczalnego, miliardami słów i pojęć opisanego. Znanego nauce empirycznej, a jednak noszącego w sobie nieogarnione jeszcze nawet wyobraźnią tajemnice, nieznane możliwości - i to zgoła nie mistyczne. Po prostu tajemnice wynikające z jego nieznanych, a przynajmniej znanych w stopniu niewielkim - funkcji!
Pomyślałem, że skoro rzecz ma dotyczyć mózgu właśnie, to przetoczymy się przez miejsca, gdzie właśnie z mózgu uczyniono boga, gdzie we wszystkim zaczęto właśnie doń się odwoływać, ale też na nim się zatrzymano!
Czy to źle?
Nie!
To właśnie również chciałem wyjaśnić memu Rozmówcy.
Niedoskonałość tej metody polegała na tym, że zatrzymano się na mózgu ludzkim takim, jakim w momencie jego gloryfikacji był. Uznano, że taki wystarczy, że ogarnie to co ogarnąć może, że zwycięży materię, ducha, ducha materii, że pokona Boga, szatana, czas i przestrzeń. Wszystko opanuje i złoży u stóp człowieka racjonalnego.
I jakże bliskie było to prawdy.
Także mojej prawdy, którą poznałem.
A jednocześnie jak daleko od prawdy odepchnęła ten mózg jego własna pycha! Pycha człowieka!
Bo póki co, on jeszcze panuje nad swym mózgiem.
Pycha, o której mówię, a która wynikając z zachwytu nad swymi możliwościami, jednocześnie możliwości te uczyniła własnym więźniem, niewolnikiem, i w konsekwencji kaleką, kalectwem zatrzymanego rozwoju.
I o tym miałem już niedługo mówić do mego Rozmówcy.
Dostrzegłem go już na moment spomiędzy starych kamienic alei, którą szedłem, nim chłód rzeki i jej charakterystyczny zapach można było poczuć. Stał tam, gdzie umówiliśmy się wczorajszego ranka, choć jeszcze kilka minut pozostało do godziny dziewiątej.
Zasłonił mi go jeszcze na moment falujący tłum ludzi śpieszących do pobliskich biur, ale gdy zbliżyłem się do końca alei i od mostu dzielił mnie już jedynie nabrzeżny bulwar pełen pędzących na północ miasta aut, ponad lśniąco migającymi dachami pojazdów widziałem już dobrze, jak spokojnie podnosi do ust papierosa, zapala go zapałką, którą następnie przez plecy wyrzuca w otchłań pod mostem. Stał teraz oparty plecami o balustradę i patrzył jak i ja ponad dachami mijających go samochodów na południe, skąd przybywała rzeka.

Semafor pilnujący skrzyżowania bulwaru z mostem zatrzymał przeszkadzający mi w przejściu na drugą stronę bulwaru strumień luksusowych, jeżdżących pudełek.
Tak syn mego znajomego nazywał samochody.
Poprawiwszy torbę na ramieniu ruszyłem przed siebie.
Wiało wzdłuż rzeki przyjemnym chłodem. Pomyślałem przez chwilę, że ta przyjemność wróży nam udaną podróż.
Mój Rozmówca dostrzegł mnie, gdy jeszcze byłem daleko i ruszył w moim kierunku wyrzucając na jezdnię niedopałek papierosa, tak jakby wiedział, że po przywitaniu będziemy musieli przemierzyć moją część mostu ponownie.
Było tak rzeczywiście.
Musieliśmy wsiąść do taksówki, których postój przed chwilą minąłem. Po drugiej stronie rzeki rozciągał się teren portowych magazynów, warsztatów i fabryk, gdzie ludzie przybywali zazwyczaj do pracy metrem, autobusami, a latem często rowerami, motocyklami i samochodami, pozostawiając je na rozległych nieopodal parkingach i nie było tam po co podjeżdżać taksówkarzom. Ci wybrali rozsądnie miejsce swego oczekiwania po śródmiejskiej stronie mostu.
Zamachał mi wesoło ręką wzniesioną ponad głowę tak, jak uczynił to wczoraj o świcie przy pożegnaniu.
„Dzień dobry!"
Wesoło brzmiące powitanie usłyszałem już z odległości ponad pięciu metrów.
„Dzień dobry!"
Odkrzyknąłem równie radośnie i zbliżając się wyciągnąłem rękę na powitanie. Przyjął mą dłoń zdrowym bezpretensjonalnym uściskiem i zapytał.
„Wszystko gra?"
„Gra." - odpowiedziałem uśmiechając się.
„No to w porządku." - bąknął i żywym krokiem podążyliśmy w kierunku bezczynnie stojącego rzędu aut.
Szczęśliwie semafor dawał nam teraz właśnie pierwszeństwo, więc by skorzystać z tego przyspieszyliśmy kroku osiągając krawężnik niemal biegiem. Nie pytając otworzył tylne drzwi pierwszej w szeregu taksówki i gdy również nic nie mówiąc usadowiłem się obok niego zapytał.
„Na lotnisko? Czy też się pomyliłem?"
Z trudem pokryłem zdziwienie potwierdzając szybko.
„No, jasne!"
„Lotnisko!" - zakomenderował w kierunku włączającego taksometr kierowcy.
„Nie ma sprawy." - zgodził się tamten i ruszyliśmy.
Po kilkunastu minutach byliśmy na miejscu.
Odebrałem w okienku talię biletów przygotowanych według mego wczorajszego telefonicznego zlecenia. Były ułożone w porządku chronologicznym, więc dwa pierwsze zatrzymałem, resztę schowałem do torby. Nie musieliśmy oczekiwać na odprawę bagażu, gdyż nasz, przewieszony przez ramię kwalifikował się jako ręczny i zabieraliśmy go ze sobą do samolotu. Odprawiliśmy się jednak dość pośpiesznie, gdyż niewiele czasu pozostało nam do odlotu
Znowu zdziwiłem się, że mój Rozmówca ani nie spojrzał na bilet który mu wręczyłem, ani potem na tabliczkę z kierunkiem lotu wiszącą nad stanowiskiem odprawy. Tak, jakby wiedział gdzie lecimy, albo też nie miało to dla niego żadnego znaczenia.
Nie chciałem w tej chwili koncentrować się na tyle, by poznać rzeczywistą przyczynę tego postępowania, bo ostatecznie nie było to takie ważne. W jego zachowaniu istotniejsze było dla mnie to, że na tej podstawie można było mieć nadzieję, iż w podróży naszej nie będziemy tracić zbyt wielu słów i czasu na sprawy bez znaczenia.
Bo pomyślcie!
Ileż to zwykle w podobnej sytuacji dzieje się rzeczy niepotrzebnych.

Ponieważ byliśmy umówieni; - że we wspólnej podróży spędzimy razem siedem dni - że w tym czasie będziemy zajmować się przede wszystkim rozmowami dotyczącymi mych odkryć - a więc cała reszta, czyli nna przykład to gdzie będziemy - z góry miało mieć drugoplanowe znaczenie.
Umówiliśmy się również, że ja zaplanuję i zorganizuję trasę, co też się stało - a więc - tak na zdrowy rozum - teraz wszelkie pytania: a gdzie...? a czemu tam...? a po co..? a czy tam już byłem...? i wszelkie inne tego typu informacje, które niemal każdy chciałby otrzymać w - takiej chwili były bez znaczenia, skoro byliśmy zdecydowani realizować i realizowaliśmy właśnie naszą umowę.
Bo przecież wszystko było w porządku!
To prawda, że umowa była nadzwyczaj krótka i zawierała jedynie najważniejsze punkty. Ale jednak je zawierała i były rzeczywiście najważniejsze. Wszystko inne miało drugoplanowe znaczenie, toteż nie warte było zainteresowania.
Ale nie śmieję się nigdy z ludzi, którzy poszukują tych informacji mimo miałkości ich znaczenia!
Tracą wiele energii, słów i czasu na ich uzyskanie i do podobnego marnotrawstwa zmuszają swych przygodnych czy nawet stałych partnerów.
Człowiek dzisiejszy niczego tak nie pożąda jak wiedzy o przyszłości.
Pomyślcie!
Gdy przeanalizujecie większość stawianych przez was, czy przez ludzi z waszego otoczenia, pytań - tych codziennych, nawet zawartych w przelotnych rozmowach - to zorientujecie się, że kilka z nich dotyczy tego co było, a reszta, znakomita większość to pytania o to co będzie, choć często w warstwie gramatycznej dotyczą tego co jest, ale ich intencją jest jakieś lepsze czy gorsze, dalsze czy bliższe - poznanie przyszłości.
Na przykład ktoś pyta przechodnia na ulicy czy daleko jest do dworca kolejowego. W istocie chodzi mu o to by uzyskać informację dotyczącą przyszłych jego działań! - czy zdąży na pociąg, czy musi po uzyskaniu odpowiedzi przyśpieszyć kroku, czy też może rytm swego ruchu zwolnić, a może wręcz załatwić jeszcze coś po drodze, bo dworzec kolejowy jest już bardzo blisko. Nawet, gdy dowiedziawszy się, że dworzec jest tuż, a więc, że niepotrzebnie śpieszył się i za wcześnie wyszedłszy z hotelu popełnił błąd, to jest to też przecież refleksja na temat czynności (decyzji) podjętej w przeszłości, ale czynności, której intencją i sensem było planowanie, konstruowanie, realizowanie czegoś co było wówczas przyszłością!
Właściwie wszystko co robi człowiek, czym się zazwyczaj zajmuje, jest swoistym wychylaniem się w przyszłość, czyli aktywną próbą opanowania jej, uprzedzenia jakoby własnymi decyzjami tego co przyszłe. I zaobserwować to można w niemal wszystkim, oczywiście gdy uważnie się patrzy. Od rzeczy najdrobniejszych po najważniejsze! Od rzeczy dotyczących czegoś co jest tuż tuż zarówno w przestrzeni jak i w czasie, po sprawy najbardziej odległe!
Zwykłe patrzenie pod nogi w trakcie spaceru po ulicy czy łące jest przecież niczym innym jak staraniem o to, by za chwilę (w przyszłości) nie potknąć się i nie przewrócić. Lek abiturienta przed oblaniem matury nie jest przecież lękiem przed właśnie jej oblaniem. Sam fakt jest tu niemal zupełnie bez znaczenia. Znaczenie mają natomiast skutki tego zdarzenia w przyszłości. One są istotą troski przed egzaminem. Przyszły wstyd lub satysfakcja, przyszłe zmartwienia czy radości rodziców i najbliższego otoczenia, przyszłe możliwości na przykład studiowania lub ich brak.
Toteż nigdy nie śmieję się z ludzi, gdy w najdrobniejszych nawet sprawach starają się dowiedzieć czegoś, co mogło by im pomóc w projekcji istotnej dla nich przyszłości.
Jest to ludzkie, a nic co ludzkie nie jest śmieszne.
Inna sprawa, że szkoda mi, gdy widzę ową aktywność związaną z czymś nieistotnym, aktywność, która jest wynikiem swoistej bezmyślności, bo zadawane pytania i otrzymywane odpowiedzi w niczym nie wzbogacają danych już posiadanych przez nasz

mózg. Danych, które zupełnie wystarczą, by powziąć potrzebny sąd o przyszłości, a w każdym razie o jej zasadniczych elementach.
Cieszyło mnie, że przykładem rozsądnej ekonomii było właśnie postępowanie mego Rozmówcy.
Nie pytał na przykład o to gdzie będziemy spali, bo przecież że spali będziemy było oczywiste i nie trzeba było przy pewnej dyscyplinie myślowej wcale o to pytać. Uzyskana informacja w niczym sprawy do przodu nie posunie. Nawet gdybym mu nie wiem co i nie wiem jak szczegółowo opowiedział o hotelu, który zamówiłem, nie wynikłoby z tego opowiadania właściwie nic, skoro rzecz dotyczyła wyłącznie spania, a nie mieszkania, czyli dłuższego przebywania, bogatego w różnorakie czynności. Dla snu mało istotne jest jakie w sypialni hotelowej stoją fotele, jakie wiszą obrazy na ścianach. Tu sensowniejsze byłoby chociażby pytanie, czy zamówiłem miękkie (albo twarde) łóżka.
Ale czy ktoś zadaje takie pytanie?
Rzadko!
Tym bardziej, że zwykle zamawiając pokój w hotelu nie wiemy o tym. Zwykle starczy nam, że słowo „hotel” samo w sobie mieści już istnienie łóżek i z góry zakładamy (nie mamy przecież innego wyjścia), że łóżka te są przynajmniej średnio wygodne, ani zbyt twarde ani zbyt miękkie. Bo pomyślane dla przeciętnego człowieka - ani dla wielbiciela łóżek miękkich, ani jego przeciwieństwa. Lepszym pytaniem, chcąc ściśle przestrzegać sensowności jego zadania, jest pytanie o to, czy już w tym hotelu nocowałeś? Jeśli tak, to dopiero otwiera się jakaś szansa na dalsze istotne informacje. Ale podnieceni podróżą ludzie zazwyczaj pytają np. - w jakim hotelu śpimy dzisiaj? - W Adler! - brzmi odpowiedź - i zadowolony pytający cieszy się z niej.... choć przecież niczegopoza, ale to niczego poza nazwą hotelu się nie dowiedział.
Samolot nasz wzniósł się lekko w powietrze i poszybował ku przestworzom. Nim wyrównał lot osiągnąwszy zaplanowaną wysokość w stosunku do ziemi unosił się rzeczywiście w kierunku, który gdyby pozwoliłaby mu na to fizyka, był nieskończony!
Tam można było lecieć zawsze, bez końca.
I kto wie, czy istniałby jakiś fizyczny cel, do którego lot taki by zmierzał?
Myślę, że nie!
Na tym polega cudowność wszechświata, że jest on nieskończony.
I nie przeraża mnie to. Wręcz odwrotnie!
Tylko dlatego możliwe jest pojęcie wolności!
Nie egzystuje ono przecież w obrębie jakichś układów zamkniętych.
By nie było logicznie sprzeczne, by mogło rzeczywiście zawierać w sobie to co zawiera - a więc nieskończone możliwości (choć praktycznie wieloma istotnymi elementami współistnienia ograniczane - co wcale nie znaczy, że ograniczone w całości) - musi funkcjonować jedynie wobec nieskończoności, nieograniczoności.
Człowiek boi się, lęka kontaktu z takimi pojęciami, bo trudno je sobie wyobrazić. Przekraczają one wymiar świata fizycznego, z którym kontakt jest dla niego kontaktem oswojonym. A przecież to właśnie te pojęcia istotowo przynależą bytowi tak wspaniałemu jak człowiek.
Lęk przed tym co mi istotowo najbliższe!
Może właśnie dlatego tak często dziś dostrzegamy i opisujemy człowieczy lęk przed wolnością? Jest przecież ta wolność czymś tej samej natury co właśnie wszechświat, nieskończoność, wieczność.
I o tym będę już niebawem rozmawiał z mym Rozmówcą.
Osiągnąwszy potrzebną wysokość dziesięciu tysięcy metrów pilot wyrównał lot naszej maszyny. Płynęliśmy teraz równolegle do powierzchni ziemi.
Bezchmurne niebo, tak nad nami jak i pomiędzy nami a naszą planetą pozwalało przyjrzeć się jej z tej, przecież nic nie znaczącej odległości. Lecieliśmy teraz nad górami.
Gdy wędrowałem poprzez nie tam na dole, czułem ich wspaniały majestatyczny ogrom.

Gdy patrzyłem z przełęczy ponad rozległą doliną ku wznoszącym się za nią na powrót ku niebu zboczom, gdy za pomocą lornetki odnajdywałem z pewnym trudem na przeciwległych szczytach schronisko do którego wtedy zdążałem, wielkość tych cudownych, postrzępionych wiekowym działaniem przyrody, urozmaiconych bogatą florą przeplatającą się z zielonymi płaszczyznami hal - rozmiar ich robił głębokie wrażenie. Byłem wobec nich niczym, z mymi ludzkimi gabarytami - nawet nie pyłem. Z mym czasem trwania w ludzkiej postaci, czasem w którym strumień nie był w stanie rozkruszyć nawet kamyka wielkości mej pięści, a przecież płynąc teraz dołem przeciął już jakoby na pół zwaliste cielska tych potężnych skał i drążył je cierpliwie dalej i miał drążyć nie wiedzieć jeszcze jak długo po nas.
Procesy te nie dadzą się nawet porównać.
Wtedy czułem się po prostu niczym.
Tak!
Tam, na dole góry były wielkie i wspaniałe.
Teraz, gdy patrzyliśmy na nie z góry, pozostały jedynie różnorakim cieniem na powierzchni planety, stanowiąc przebogate kształty plam - jasnych tam, gdzie oświetlało je słońce, ciemniejszych w jego cieniu, a nieraz zupełnie ciemnych w dolinach, gdzie promienie słoneczne w ogóle nie dochodziły. Ich potężna dla człowieka wysokość, teraz również człowiekowi - objawiała się jako znikomość.
Czy zdajemy sobie w pełni sprawę z tego czym jest względność wymiarów wobec siebie?
Czy rozumiemy, że wszystko co znamy jest właściwie znikome, jest ledwie dostrzegalnym (jeśli w ogóle) punkcikiem wobec całości istnienia?
Czy ogarniamy myślą wielkość słońc, które na nocnym letnim niebie widzimy jako mrugające punkciki?
Pewnie rozumiemy to, bo nauczyli nas tego astronomowie. Poinformowali nas o tym, że odległości pomiędzy gwiazdami są trudne do wyobrażenia i że mierzy się je w jakichś skomplikowanych jednostkach, w których by były współmierne z funkcją, miesza się materię z czasem i przestrzenią. Rozumiemy, że jest ten ogrom. Wiemy o tym!
Chociaż całość tego co ludzie nazywają - uniwersum - wymyka się jednak naszej wyobraźni.
Ale czy zdajemy sobie sprawę ze znaczenia tej znikomości wszystkiego wobec całości?
Wątpię!
Gdybyśmy tak na prawdę chociażby z tego właśnie zdali sobie sprawę, bylibyśmy wiele bliżej wiedzy o wielkiej tajemnicy istnienia. Ale czy człowiek jest w stanie....
Tak...!
Jest w stanie!
Gdy lot nasz wszedł w swą normalną, nudną fazę jednostajnego szumu silnika i szmeru pracujących nad naszymi głowami dysz nadmuchujących do wnętrza kabiny świeże powietrze wzbogacone tlenem z agregatów, tlenem którego na tej wysokości już prawie niema, a stewardesy rozniosły już pośród pasażerów napoje, postanowiłem rozpocząć nasze rozmowy.
Znając naturę ludzką wystarczająco dobrze, by wiedzieć że człowiek dobrze czuje się w obecności drugiego człowieka, gdy wie i czuje to, że jest dlań ważny, interesujący, pociągający jako osobowość - postanowiłem udowodnić me z resztą prawdziwe zainteresowanie nim i jego osobowością.
Chciałem, by zrazu on mówił.
By zrozumiał, że nasza podróż nie będzie przepełniona tylko informacjami z mojej strony, że jest istotą równie interesującą dla mnie jak ja dla niego, a konieczna dysproporcja, która musiała się w naszych przyszłych rozmowach pojawić, wyniknie jedynie z tego powodu, że póki co ja jestem posiadaczem tajemnicy, która jest jemu potrzebna. Tajemnicy, kórą poznawszy będzie mógł rozwinąć i być może po jakimś czasie to ja będę musiał wysłuchać jego opowieści, by kolejną dysproporcję wiedzy wyrównać.

„Jakim cudem odgadłeś, że musimy udać się na lotnisko?” - zapytałem.
„ Żadnym cudem! Po prostu!” - odpowiedział
„Jak to po prostu?”
„Pomyślałem sobie, że byłoby coś niezrozumiałego, gdybyśmy zostali.”
„Gdzie?”
„W naszym mieście.”
„Dlaczego?”
Pytałem coraz bardziej zainteresowany jego odpowiedziami.
„Bylibyśmy za blisko!”
„Czego?”
„Tego wszystkiego, co musiałoby nas rozpraszać.” - odpowiedział bez namysłu.
Zgadzałem się z nim, ale chciałem poznać do jakiego stopnia głęboko to rozumie.
„Rozpraszać? Co nas mogłoby rozpraszać?” - pytałem dalej.
Teraz zastanowił się chwilę i uważnie na mnie spojrzał.
„Nie znasz tego?”
Był wyraźnie zdziwiony mym ostatnim pytaniem.
„Czego?”
Udawałem, że nie rozumiem.
„Te wszystkie sprawy, które zaprzątają cię na codzień... Przecież one włażą na ciebie... Trudno się od nich wyzwolić..”
Widać było, że z trudem tłumaczy to o co mu chodzi.
„Jakie sprawy?” - starałem się pomóc mu - „Daj jakiś przyklad.”
„No, wszystkie! Na przykład choroba.”
„Twoja choroba?”
„Nie koniecznie! A moja to nawet najmniej!”
„No więc?”
Znowu chwilę się zastanowił.
„No na przykład matki, albo żony... Masz żonę, albo matkę”
„Mam.”
Odpowiedziałem spokojnie starając się tym spokojem wypowiedzi i jego jakoś obdarzyć, bo jego ostatnie pytania stawały się jakby coraz bardziej nerwowe, niecierpliwe.
„Mam obie! Matkę daleko, w obcym kraju, a żonę blisko, przy sobie.”
„To może masz też dzieci?” - zapytał.
„Mam” - potwierdziłem.
„O.K! To wspaniale!”
Te informacje uspokoiły go, ale też odciągnęły jego zainteresowanie w inną stronę.
„O.K!” - powtórzył - „Też chcę mieć kiedyś dzieci i żonę. Nie złożyło się jakoś.”
Ale postanowiłem wrócić do tematu.
„No więc co z tą moją żoną, matką, dziećmi?”
„No, nic! Nie obciąża cię to, nie rozprasza, jeśli któreś z nich jest chore?”
„Obciąża mnie! To jasne! Ale dlaczego ma mnie rozpraszać?”
Zapytałem, chcąc by mówił dalej.
„Jak to dlaczego? Możesz skupić się na czym innym, gdy masz taki kłopot?”
„To zależy.” - odpowiedziałem.
„Od czego?”
„Od wielu rzeczy! Przede wszystkim rzeczywiście staram się nie robić kilku spraw na raz, ale..”
„No właśnie! Zawsze coś kosztem czegoś.”
Rozmawiał teraz żywo, w pewnym podnieceniu, ale wystarczająco spokojnie by przyjmować informacje. Powiedziałem więc.
„Oczywiście! Ale przecież nawet przy chorym nie jesteś zajęty bez przerwy.”
„No tak! Ale jednak nie można takiego zmartwienia odciąć nagle, jak nożem.”

„Jeśli potrzeba?”
Znów natężył uwagę.
„Potrafisz zerwać ten ogon?” - zapytał.
„Jaki ogon?”
„No ten! Uczuciowy. Ja na przykład, nawet jak wyjdę od matki która cierpi, gdy już zamkną się za mną drzwi jej mieszkania, to myślę jeszcze o tym długo. Muszę powoli się od tych myśli odrywać, by skupić się na czym innym. A to trwa!”
„Ach! Ten ogon.”
Spojrzałem mu głęboko w oczy, bo chciałem by dobrze zrozumiał o co mi chodzi - „Potrafię.”
Moja odpowiedź zdziwiła go. Wyjaśniałem więc dalej.
„Tu nie chodzi o żadną znieczulicę na czyjeś cierpienie. To co innego! Ja też nie przestaję myśleć o cierpieniach dziecka zaraz potem, gdy przekraczam próg pokoju w którym ono leży. Wręcz odwrotnie! Staram się dokładnie zastanowić nad wszystkim, uświadomić sobie jaknajprecyzyjniej jak mu ulżyć, pomóc, co trzeba zrobić. Czy zawołać lekarza, czy jeszcze poczekać, bo stan nie jest groźny i należy dać organizmowi czas na samodzielne zwycięstwo nad chorobą...”
„No dobra! Rozumiem.” - zgodził się - „Myślenie to jedno, a uczucie to drugie.”
„Oczywiście! Ale uczucie jest, a nawet przecież powinno być jakoś związane z myśleniem. To nie są osobne rzeczy.” - powiedziałem z naciskiem.
„No, tak! Ale przemyślisz wszystko, przeanalizujesz i co dalej?”
„Dalej? Dalej robię to co w danej sytuacji uznam za potrzebne, albo to co ktoś inny za potrzebne uzna. Na przykład lekarz i...”
„I z głowy?” - przerwał mi.
„Niejako!” - odpowiedziałem i spokojnie dodałem - „Staram się nie powtarzać niepotrzebnie raz zakończonego procesu. Dopóty, dopóki nie ma nowych elementów! Nie lubię się grzebać we własnych kłopotach.”
„Bo nie ma to sensu? Tak?”
„Tak.”
Wyglądało to trochę okrutnie, więc starałem się to jeszcze uzasadnić.
„Nie warto robić rzeczy niepotrzebnych. Człowiek wtedy rozprasza się i traci skuteczność. Myślę, że ważniejsze jest bym skutecznie pomógł cierpiącemu, niż bym wylał nad nim morze łez. Łzy są potrzebne. Potrzebna jest wrażliwość na cierpienie drugiego człowieka. Ale nie bezsensowna! Wtedy traci sens.”
Odwrócił się do okna i jakby kończąc temat powiedział już do siebie.
„No.... tak. Trzeba przestrzegać jakiejś dyscypliny.”
Chwilę patrzył na morze nad którym właśnie lecieliśmy. Potem odwrócił się do mnie znowu i zapytał.
„No dobrze! Czyli opanowujesz te niepotrzebne, ckliwe emocje. I co? Zaraz możesz przystąpić do spraw istotnych?”
„W zasadzie tak, ale..”
„W zasadzie!” - przerwał - „Robisz tak czy nie?”
„Czasami! Gdy to jest potrzebne.”
Spojrzałem na mego Rozmówcę uważniej i postanowiłem teraz upomnieć go nieco ostrzej.
„Co ty myślisz? Ze człowiek jest maszyną? Ja też mam przestoje. To znaczy czas w którym zajmuję się byle czym.”
„No, dobrze.” - powiedział uspokajająco i uśmiechnął się - „Rozumiem przecież! Tylko chciałem się trochę podroczyć.”
Znowu podeszła stewardesa z swym wózkiem.
„Kawa dla panów? Czy herbata?” - zapytała.
Wzięliśmy kawę. Ja dużą porcję bez cukru z odrobiną mleka, mój Rozmówca w mniejszej filiżance, do której wsypał dwie czubate łyżeczki.

Cukier nie należy do w pełni akceptowanych przeze mnie produktów cywilizacji, to też nie mógł bym pochwalić tak silnie słodzonej kawy, ale nie było to w tej chwili ważne. Wiele ważniejsze było i cieszyło mnie prawdziwie to, że miałem przed sobą normalnego człowieka. Nie jakiegoś eremitę starającego się w myśl jakichś sztucznych zasad dociec tajemnic nas otaczających. Kogoś, kto spaczyłby swój charakter wymyślonymi teoriami rodem z ezoterycznej literatury, który uspokoiłby ponad normalność swe reakcje, czy je wyostrzył stosując się do jakichś innych bzdur, których tyle się dziś wypisuje, opatrując niesamowitymi obietnicami skuteczności w osiąganiu szczęścia na ziemi. Zwykle robią to szarlatani, którzy sami nie wiele wiedząc, podsłuchują co mówią poważni ludzie i ubierają to potem w zazwyczaj ponure szaty jakiejś magii.
Jego normalność, zwyczajne unerwienie, a jednak połączone z ciekawością sprawiało mi największą radość.
To właśnie było nam obu potrzebne, by naszej podróży nadać oczekiwany przeze mnie charakter. Cieszyłem się teraz tą konstatacją, bo przecież znaliśmy się tylko chwilę i błąd był jeszcze możliwy.
Postanowiłem jednak wrócić do tematu z początku naszej rozmowy.
„Więc powiadasz, że ot, tak po prostu wymyśliłeś, że powinniśmy udać się na lotnisko, bo trzeba odlecieć.”
„Prawie.” - odpowiedział.
„A dokładniej?”
„Wydedukowałem to.”
„Jak to wydedukowałeś?”
„No tak! Nie wiesz co to jest dedukcja? Sherlok Holmes dedukował. Zestawiłem sobie parę przesłanek... no, - elementów tego wszystkiego i wyszło mi, że jeśli nie jesteś człowiekiem biednym, którego nie byłoby na to stać, to właśnie coś takiego wymyślisz.” - powiedział.
„Czyli wymyśliłeś to! Czy może wyczułeś?”
„Nie rozumiem?” - skupił się na mym pytaniu.
„Wymyśliłeś, czy raczej wyczułeś, że tak mogę zrobić?”
„No! Zaraz!” - trudno było mu zrozumieć o co pytam - „Bo ja wiem? Raczej wymyśliłem. Bo myślałem o tym. Kombinowałem.”
„W porządku! Ale przecież proces dedukcji mógł cię doprowadzić do zgoła innych wniosków.” - powiedziałem - „To nie jest kryminał, który polega właściwie na zestawianiu faktów i zdarzeń, ich kolejności, charakteru, a potem na przeprowadzaniu równania z ilomaś tam niewiadomymi. Tu każda przesłanka, którą brałeś pod uwagę, była już pewnego rodzaju interpretacją. Przecież nie znałeś mnie, nie wiedziałeś właściwie czego będzie dotyczyła nasza rozmowa. Dalej o tym jeszcze nie wiesz!
Wiesz tylko właściwie, że ja chcę ci coś ważnego opowiedzieć, a ty poszukujesz właśnie czegoś, co mogłoby posunąć do przodu proces twego rozwoju. To stosunkowo mało, by metoda dedukcyjnego rozumowania mogła się sprawdzić.”
„No tak!” -zdziwił się - „Ale przecież intuicja również mogła mnie zawieść! Ona opiera się na jeszcze trudniejszych do uznania przesłankach.”
„Nie powiedział bym!” - stwierdziłem z naciskiem - „Chociaż to co nazywamy zazwyczaj intuicją nie jest najlepszym narzędziem. Są lepsze.”
„Ale przecież nie poszukiwałem odpowiedzi na te pytania poza procesem myślowym.”
„W porządku! Ale myśl człowieka nie jest tylko funkcją rozwiązywania matematycznego równania czy logicznej w sensie semantycznym zagadki. Myślą, a może lepiej - mózgiem, gdzie myśl powstaje, działa i uzyskuje rezultat - się czuje, widzi, dotyka.”
Zawahałem się czy nie pojechałem od razu za daleko. Czy słowa, które wypowiedziałem nie mieszczą w sobie zbyt dużo naraz informacji bez uzasadnienia. Toteż przerwałem. Mój rozmówca milczał, więc dodałem po chwili jakby od niechcenia.
„Przecież wczoraj, żeby uznać nasze spotkanie za obustronnie poszukiwane, nie miałeś żadnych logicznych, w znaczeniu matematycznym, danych. A jednak ilość posiadanych

przez nas informacji wystarczyła, by taki sąd podjąć, uznać że tak jest."
„Gdzie posiadanych? - zapytał w napięciu.
„Jak to gdzie? Przecież nie w brzuchu." - starałem się rozluźnić atmosferę.
„W mózgu?" - zapytał jakby z dwoma znakami zapytania.
„Oczywiście!"
Teraz ja starałem się przerwać rozmowę, a on zgodził się na to, pewnie chcąc uporządkować otrzymane informacje.
Chwilę milczeliśmy.
Na horyzoncie bliższej teraz ziemi, bo samolot powoli zbliżał się do portu swego przeznaczenia, widać już było miasto do którego zmierzaliśmy. Bliżej jeszcze niewielka wyspa, niemal zupełnie pozbawiona roślinności, wystawała z morza upstrzonego białymi, przemieszczającymi się pasemkami fal, lekko spienionych południową bryzą.
Pewnie podobnie wyglądało to wówczas, kilkadziesiąt kilometrów stąd na południe, gdy jedynie przestwór był świadkiem tej jednej z najcichszych tragedii w historii człowieczej.
„Spójrz tam!"
Wskazałem memu Rozmówcy roztaczający się pod nami widok.
Spojrzał w dół i dłużej pozostał w kontakcie z powoli przesuwającym się obrazkiem zachwycającej ziemi, ojczyzny ludzi.
„Tak właśnie, zachwycająco musiał wyglądać ten świat, gdy marząc o tym, co za psie właściwie pieniądze jest dziś naszym udziałem, ginęli nieopodal dwaj wspaniali mężczyźni." - powiedziałem.
„Tak!"
Potwierdził i po chwili dodał.
„Jak kamienie w toń rzucone, razem ze swą człowieczą nadzieją, na dno morza."
„To mit?" - zapytałem.
„Pewnie mit." - odpowiedział.
„Ale mit jest prawdą o myśli człowieka!" - powiedziałem.
„Tak."
„Skoro tak, to mit jest dowodem na to, że ci, którzy przed ponad dwu tysiącami lat ten mit stworzyli, wiedzieli już że nasza dzisiejsza podróż będzie możliwa. Ze człowiek będzie latał w przestworzu."
Po chwili zapytałem.
„Rozumiesz to?"
Oderwał wzrok od coraz to bardziej kolorowej powierzchni ziemi i spojrzał przez chwilę na mnie, zastanawiając się.
„Nie bardzo." - przyznał w końcu.
„Gdy pomyślano o działaniu Dedala i Ikara było to uosobienie ludzkiego przeczucia, że jest to możliwe." - wyjaśniałem - „Marzenia ludzkie są przeczuciem ludzkiej możliwości. Powstają w mózgu jako projekcja tego, co człowiek chciałby osiągnąć, bo przeczuwa, że jest to możliwe."
Słuchał z uwagą, więc mówiłem dalej.
„Człowiek nie marzy abstrakcyjnie. Marzy o tym co było już udziałem innego człowieka i o czym wie, że zostało już osiągnięte. A tylko marzący nie może jeszcze tego doświadczyć, lub o tym co w swej początkowej jeszcze wiedzy o istnieniu, wiedzy którą posiada - uważa już za możliwe, czyli jakby częściowo poznane. Marzenie abstrakcyjne nie jest do pomyślenie z tego prostego powodu, że nic abstrakcyjnego nie ma!
Bo co znaczy słowo abstrakcja?
Jest to pojęcie chcące określić zestawienie ze sobą istnień niemożliwych lub sprzecznych ze sobą. Tymczasem takich istnień nie ma. Wszystkie ze sobą harmonizują, a sprzeczne, czy lepiej powiedzmy - nie zharmonizowane - są tylko na razie. Chwilowo!
Albo ta harmonia wydaje nam się jeszcze niemożliwa? Ale to nie znaczy. że niemożliwą jest w istocie!

Tak więc powstanie mitu w umyśle człowieka - mitu, marzenia, pragnienia nawet - jest projekcją rzeczy możliwej!
Co więcej!
Takiej, która na pewno będzie! Bo to, że człowiek ją pomyślał jest dowodem na to, że jest. Jest już!
Tylko nie jest nam jeszcze dostatecznie znana."
Mój rozmówca zapytał.
„Czym więc jest mózg człowieka?"
Nie teraz miałem mu na to pytanie odpowiedzieć, gdyż znowu stewardesa zaczęła kręcić się pośród nas, sprawdzając czy pasy bezpieczeństwa mamy zapięte, bo zbliżało się lądowanie. Teraz nie można już było rozmawiać, gdyż trzeba było wykonać stereotypowy szereg czynności będących początkiem nowej swobody.
Z lotniska nie udaliśmy się w otoczenie ruin miasta, gdzie myśl filozofów uświadomiła ludzkości, że jest czymś wyjątkowym w stosunku do całości uniwersum, że człowiek tworzy rzeczywistości pozamaterialne i że to dokładnie jest jego właściwością jedyną i najważniejszą - że jest istotą, która może wiedzieć!
Nie!
Po pozostawieniu niepotrzebnych rzeczy w hotelu, kazaliśmy zawieźć się nad morze.
Nie na plażę, ale tam, gdzie szacowne ruiny można było wzrokiem ogarnąć, skąd wyglądały najpiękniej, a gdzie niewygodne, strome zwykle i postrzępione skały pozwalały cieszyć się szelestem nadpływającej z daleka wody, jej chłodem udzielanym powietrzu.
Jechaliśmy przez miasto, które niczym niemal nie przypominało naszego, z którego wyjechaliśmy kilka godzin temu. Inne domy, inne zgoła światło słoneczne, inny ruch na ulicach i inny jego rytm i nastrój. Jedno tylko było takie samo jak u nas, jak wszędzie na świecie. Człowiek i jego sprawy!
Bo to co etnografowie i wszelcy inni powierzchowni ludoznawcy akcentują jako różnice między nami, jest tylko właśnie niewiele znaczącą innością zewnętrzności i innych równie mało ważnych cech! Człowiek jest bowiem sobie podobny na tyle, że można o nim mówić w całości. Może dlatego ludzkość odkryła, że w zasadniczym stopniu jesteśmy sobie równi i poszukuje uzasadnień dla wynikających z tego faktu równych każdemu człowiekowi praw?
Wszędzie, bez względu na miejsc gdzie wyrósł czy gdzie się znajduje, każdy z nas jest nieograniczoną możliwością. Wyjątkowym, wybranym i w zupełności niezbędnym składnikiem całości, choć w tej całości jesteśmy trudnym do odnalezienia drobiazgiem!
Po drodze kupiłem na targowisku spory kawał owczego sera, trochę aromatycznych, świeżych jarzyn i spory bukłak łagodnego wina, które w tym klimacie lepiej gasi pragnienie niż woda, a dodatkowo zatrzymuje ją w organizmie i człowiek nie poci się nieznośnie.
Teraz, siedząc mało wygodnie na skałach nadbrzeżnych, ubrania pozostawiwszy pod opieką cienia ostatniego przed brzegiem drzewa, zjedliśmy po sporym kawałku sera i popiwszy winem postanowiliśmy ochłodzić nasze ciała w przezroczystej, silnie słonej wodzie.
Przyjemność ciała ludzkiego w kontakcie z przyrodą jest jego przyrodzonym, wynikającym z samej natury prawem. Nie ma bowiem nic siebie bliższego, jak człowiek i otaczająca go natura.
Przerwanie tego podstawowego kontaktu jest karygodnym czynem, toteż ponosimy tę karę niemal stale. Potrzeba czegokolwiek innego, poza naturą przynależną nam wokół, jest naszym, ludzkim wymysłem i jako to właśnie stanowi istotne i ważne doświadczenie nasze i całości istnienia, którego jesteśmy przejawem. Doświadczenia takiej samej natury jak ból, cierpienie, zło!
Ale przeto wcale nie jest doświadczeniem złym czy niepotrzebnym!
Bo niepotrzebne nie jest nic co istnieje, czy zaistniało chociażby na chwilę.
Sens wszystkiego jest wszystkim! Wszystko jest z kolei sensem uniwersalnym - ale razem

i w właściwej sobie harmonii.
Pływaliśmy chwilę, by ożywiwszy krwiobieg i zrzuciwszy zmęczenie podróżą i stosunkowo gwałtowną zmianą klimatu wrócić na niewygodne skały dla dalszej rozmowy.
Znowu pozwoliłem memu Rozmówcy odnaleźć to miejsce mego opowiadania, które było dla niego najważniejsze.
„Czym więc jest mózg człowieka?” - zapytał sadowiąc się w pobliżu cienia.
Ja siedziałem w niezachwianej niemal obfitości promieni słonecznych, gdyż nie czułem ich nadmiaru, ale ponieważ byliśmy tu sami, nie potrzebowałem natężać głosu by doń docierał bez trudu, gdyż morze spokojne i leniwe nie stanowiło przeszkody.
„Jest oknem i drogą!” - odpowiedziałem - „Oknem, przez które możesz dostrzec to co jest poza granicą naszej wiedzy! Właściwie wszystko pewnie, bo tam wszystko jest jednią i mimo nieograniczoności właściwie nie istnieją niewiadome. Nie istnieją pytania, na które odpowiedzi trzeba by żmudnie poszukiwać, odsłaniać jej fragmenty. Tylko od zdolności mózgu zależy z jak wielką częścią istnienia możesz nawiązać kontakt.
Ale on - ten mózg - jest częścią owej całości! Jest jej przynależny! Więc właściwie jest oknem, przez które mógłbyś dostrzec wszystko, ale... „
Przerwałem.
Ten trud słowa! Wiedziałem, że jedynie sygnalizuję to co chcę przekazać.
Próba języka!!
No cóż!
Nie wypada najlepiej.
Ale nie wolno rezygnować.
Po to tu jestem. Po to w ogóle jestem.
Walczyć, zmagać się, a może przyjdzie w jakimś niewielkim chociażby, ale istotnym stopniu przemóc znikomość możliwości.
Przecież gdy wyjaśniałem memu Rozmówcy sens mitu zrozumiałem też, że skoro podejmuję tę próbę, skoro uważam że jest możliwe w niej zwycięstwo, że podejrzewam iż język może przenosić istotne informacje i tajemnice, to musi tak być w istocie!
Muszę tylko nauczyć się go w tym celu używać! On jest przecież również częścią całości, a więc musi móc mieć z nią kontakt!
Postanowiłem więc brnąć dalej bez względu na skutki!
Przecież nasza podróż zaczęła się już na dobre, więc nie wolno było tracić czasu, tracić wiary, że ma ona sens - nie wolno było poddawać się zwątpieniu!
Mój Rozmówca jakby rozumiał to podobnie.
Widząc me zmagania z oporną materią słowa, pewnie wobec mych miernych w tym względzie dotychczasowych sukcesów, nie wiele rozumiał z tego co powiedziałem, co mówiłem, ale spokojnie pozwalał mi brnąć dalej i słuchał uważnie, milcząc.
„Jest też drogą...”
Starałem się mówić z jaknajwiększym namysłem, ważąc niemal każde słowo, próbując jego wartość wobec treści, którą starałem się przekazywać, i starałem się zachować spokój wobec napełniającej mnie goryczy.
„... drogą.. jest promieniem światła po którym... ...Nie...!
...Jest strumieniem energii....
...Poczekaj chwilę.”
Przerywałem niekiedy by się zastanowić.
On starał się uspokajać mnie spojrzeniem, narastającym w nim spokojem, cierpliwością oczekiwania.
Mówiłem dalej.
„No tak! Jest niewątpliwie rodzajem drogi, po której można iść dalej w poznaniu istnienia. Nic innego tej drogi nie stanowi. Nic też nie stanowi tego okna, przez które można dostrzec co jest poza tą płaszczyzną, w której to okno się znajduje.”
Przerwałem na chwilę zmęczony, choć chęć mówienia, chęć przekazania temu

człowiekowi jaknajwiększej części mej tajemnicy była przeciw proporcjonalna do zmęczenia i narastała we mnie bezustannie.
„Nie martw się!” - powiedział cicho - „Jesteś blisko! A w każdym razie ja jestem blisko zrozumienia tego o czym chcesz mnie poinformować.
Jeśli to możliwe, niech cię to uspokoi. Doda ci sił! Wiesz jak wielka jest siła słuchania wobec siły mówienia? Te dwie siły się uzupełniają!
Tylko niechęć zrozumienia tworzy mur, który cię męczy. Teraz nie ma tego muru.
Przyzwyczaiłeś się, że musisz go przebijać słowami.
Tak źle nie jest!
Dla mnie słowa też niosą jedynie sygnały nie treść i wiem, że jeśli ich, tych słyszanych słów nie uzupełnię sobą, to właściwie miną mnie, stracę możliwość poznania co w sobie niosą.
Co niosą twoje słowa, zależy od tego również jak ja je pochwycę! Ja chwytam je!
Staram się dodać im wszystko co posiadam, żeby stanowiły we mnie ....”
Przerwał, a może raczej wycichł jego głos. Po chwili usłyszałem w swym skupieniu jego dźwięk jakby z oddali.
„Mów spokojnie, jeśli możesz. Jeśli chcesz!”
Podjąłem jeszcze jedną próbę, ale tym razem postanowiłem podejść do sprawy z nieco innej strony.
„Czy pomyślałeś o tym kiedyś, że twój mózg może spełniać właśnie takie funkcje? - zapytałem.
Zastanowił się chwilę.
„Chyba nie.” - odpowiedział - „Zwykle wydawało mi się, że tak jak mnie uczono, mój mózg jest uosobieniem ratio, rozumu, tego wszystkiego co chłodno logiczne, niemal matematycznie uporządkowane...”
„Uporządkowane! To prawda! Ale ponad to ...”
Próbowałem przerwać mu, ale mówił dalej.
„Czasem zastanawiałem się nad tym czy wyobraźnia jest też jego funkcją! Czy w nim rodzą się też przeczucia, uczucia i to wszystko co stanowi człowieka pozamaterialnego?
Nie znałem odpowiedzi na te pytania. Zdaje się, że chcesz mi przekazać wiedzę o tym, że wszystko to jest właśnie dziełem mózgu?”
Na chwilę zamilkł.
„Czy wiesz..” - skorzystałem z tej przerwy w jego wypowiedzi, chociaż gotów byłem słuchać tego co mówił - „... że ten mózg, który posiadasz...
...którym posługujesz się...
...że nie posługujesz się nim, tylko...”
Poczułem zmęczenie tak straszne, żem omal nie osunął się ze swej skały ku morzu.
„ ...przy budowania logicznych konstrukcji.”
Dokończył zdanie, którego ja nie byłem w stanie w tej chwili dokończyć.
„Tak.” - potwierdziłem.
Chwilę odpoczywałem.
On czekał cierpliwie, bo wiedział, że jeszcze nie możemy przerwać naszej rozmowy w tej chwili.
Odzyskawszy nieco sił powiedziałem.
„Chciałbym, żebyś zdał sobie sprawę z tego, że najważniejszą sprawą, którą chciałem ci przekazać dzisiaj jest to, że z miliardów komórek mózgowych które posiadamy - przeciętny człowiek używa co najwyżej połowy.
Reszta trwa w oczekiwaniu!
To one właśnie - a ściślej - włączenie tych właśnie niewykorzystywanych części w całość pracującego układu - pozwalałoby każdemu z nas docierać do tajemnic?
Przekraczać granicę struktury wewnątrz której żyjemy, działamy i myślimy?
Docierać do innych istniejących poza naszą... struktur całości?”

Teraz byłem zadowolony. Miałem wrażenie, że zrozumiał co chciałem mu przekazać.
Nie rozmawialiśmy więcej!
Tylko raz jeszcze poddawszy nasze ciała zbawiennemu działaniu morza, pozostawiwszy w nim nadmiar ciepła, które zakumulowały nasze ciała i ubrawszy się wróciliśmy do miasta, do hotelu, by krótkim snem przejść do następnej rundy naszej rozmowy.
Słońce skryło się już za stoki pobliskich gór, gdy ocknąwszy się postanowiliśmy kontynuować naszą wędrówkę.
Wybrałem rozległy cienisty plac, powoli coraz mniej ludny, u podnóża góry. Szacowna starość otaczających go kamienic i piękno ich architektury sprzyjało osiągnięciu potrzebnego spokoju.
Wieczór był jeszcze ciepły, nawet gorący dla mieszkańców północy, ale znośny dzięki łagodnym wiatrom od morza napełniającym ulice i place.
Usiedliśmy na postrzępionych czasem i nigdy nie naprawianych schodach fontanny. Jej szmer dodatkowo oddzielał nas od wycichających powoli odgłosów miasta. Tylko niekiedy zbliżali się tu przechodnie, zwykle turyści, ale ci syci upału i nim jakby rozleniwieni, nie przeszkadzali nam w rozmowie którą prowadziliśmy przecież w języku mało komu znanym.
Zresztą człowiek swą obecnością nie rozprasza mnie! Chyba, że umyślnie stara się wedrzeć w mój świat agresywnym zachowaniem.
Mój Rozmówca rozluźnił ciało wyciągając nogi na niższy od tego na którym siedział stopień schodów, a łokcie oparł poza plecami o wyższy, wisząc tak, podparty w trzech punktach ciała i czekał na pierwsze me słowa.
„Czy rozumiesz mnie?” - zapytałem.
„Nie zawsze.” - odpowiedział - „Ale też na razie nie gubię się beznadziejnie w tym co mówisz. Wydaje mi się, że podążam powoli pozastawianym mi tropem i nie pozostaję za daleko z tyłu.”
„To dobrze!”
Powiedziałem i postanowiłem teraz pozostać na gruncie ogólnie znanym.
„Właściwie rzecz jest prosta dla medycyny, fizjologii, biologii.
To, że nie wykorzystujemy dużej części mózgu nie jest dziś żadnym odkryciem. Może tylko sprawa wygląda tak, że nauka nie interesuje się zbytnio tym, dlaczego tak jest? A jeszcze mniej zadaje sobie trudu, by ten stan zmienić.
W przekonaniu powszechnym mózg nasz funkcjonuje już na tyle dobrze, że daje ludzkości zadowolenie.
Ale pewnie nie samo zadowolenie stanowi przyczynę tego, że tak mało aktywnie chcemy wedrzeć się do tej nieużywanej zwykle części komórek.
Przyczyną podstawową jest chyba lęk człowieka. Lęk przed znalezieniem się w obszarze nieznanym. W obszarze, w którym nie wszystkie znane nam prawa mają zastosowanie.
Może słyszałeś już o tym, że gdyby podzielić mózg człowieka na dwie części - na tą która bezustannie działa i tą którą pozostawiamy jakoby w spokoju - to okazuje się, że procesy przebiegające w tej aktywnej są właściwe tak człowiekowi prymitywnemu, jak i tak zwanym najpotężniejszym umysłom w historii cywilizacji - równe!
Natomiast ta druga, którą pozostawiamy w spokoju, jest równie pasywna u prymitywa jak i u geniusza.
Geniusz też nie przekracza tej przestrzeni aktywnej.
On tylko swymi wielokrotnie bogatszymi od prymitywa procesami myślowymi, a więc mózgowymi, tę przestrzeń aktywną jakby bardziej wypełnia.
Toteż, gdybyśmy teraz wyobrazili sobie, że jeden i drugi uaktywnić potrafi tę pozostawioną w spokoju część, to obaj znaleźliby się na tym samym poziomie. Gdyż obaj przekroczyliby jakąś symboliczną bramę ogrodu, w którym rosną rośliny równie mało znane profesorowi botaniki jak i robotnikowi budowlanemu.
Rozumiesz to?”

„Być może!” - powiedział - „Ale mów dalej, jeśli możesz.”
„Dobrze!” - kontynuowałem więc - „Gdy tak myślę - z jakiego powodu człowiek decyduje się nie przekraczać drastycznie znanego sobie obszaru, a tym samym na korzystanie nadal tylko z od dawna aktywnej części swego mózgu, tę drugą pozostawiając w spokoju - to uważam, że przyczyna jest stosunkowo oczywista. Kiedyś, również i w tym mieście w którym teraz jesteśmy, zaczęto ogarniać myślą, aktywnym umysłem, najbliższą człowiekowi część istnienia. Tę część struktury całości, albo ten typ struktury częściowo samodzielnej w ramach całości, do poznania której właściwa jest ta właśnie, aktywna część naszego mózgu. Zaczęto ogarniać, poznawać, nazywać, potem opisywać tą formę mutacji całościowej energii, którą jest nasz świat materialny...”
Gwałtownie wpadł mi w słowo.
„Formę mutacji całościowej energii! Zatrzymaj się! Nie rozumiem!”
Pożałowałem natychmiast, że użyłem tego sformułowania, bo zdałem sobie sprawę, że rzeczywiście nie może tego teraz zrozumieć i odciągam go tym samym od zasadniczego na dziś tematu, który zaplanowałem. Chciałem przecież uporać się tylko z problemem miejako fizjologicznym naszego mózgu. To też spróbowałem wycofać się z powrotem.
„ Przepraszam cię! Wrócimy do tego kiedy indziej. Pozwól, że teraz zostawię ten temat na boku. Chcę skończyć o mózgu.”
„No dobrze.” - zgodził się trochę niechętnie.
Kontynuowałem więc dalej przerwany przez nieuwagę temat.
„A więc w pewnym momencie zaczęło się poznawanie przez człowieka tej struktury, albo tej jej części, która jest światem materialnym, światem dającym się poznać za pomocą zmysłów i następnie racjonalizować za pomocą tej właśnie części mózgu.
Ale trzeba tu zwrócić uwagę na to, że takie poznanie, czy też poznanie tego właśnie - nie było pierwszym poznaniem, jakiego dokonywał człowiek. Zdaje się nawet, że wcześniej niż zaczął zastanawiać się co też dotyka, widzi, słyszy, o co rani swe stopy, czego się boi - sferą jego zainteresowań był świat, który dziś nazywamy niematerialnym, mistycznym, tajemniczym. Człowiek próbował wcześniej poznać tajemnicę wyższego rzędu, słusznie podejrzewając, albo po prostu z natury swej wiedząc, że ona właśnie kryje w sobie wszystkie odpowiedzi na pytania konkretne, dotyczące wszystkiego tego co nas otacza.
I tak właśnie w pewnym momencie zainteresowania ludzkie zaczęły się rozwijać na tym, znanym nam dziś poziomie, w ramach tej właśnie struktury. Tamte odeszły, zatrzymały się, zaczęły powoli być wypierane przez inne. Przez zainteresowania właściwe i dziś naszemu pokoleniu. Przez pytania będące do dziś przedmiotem badań naukowych.
Osobiście widzę w tym dramat człowieka, który zszedł z najkrótszej drogi poznania, na gorszą, mniej skuteczną, dotyczącą terenu poniżej ludzkich możliwości.
Może na tym polegało to, co chrześcijanie i mozaiści nazywają grzechem pierworodnym? Albo jest to kara, którą Bóg za jakiś grzech zesłał na ludzkość. Odepchnął ją od zainteresowań zasadniczych.
Teraz zwróć uwagę na to, że dalej już wszystko układa się logicznie. To znaczy, według stosowanych do dzisiaj logicznych schematów.
Człowiek poznając otaczającą go w pobliżu strukturę, strukturę właściwą również jego ciału, nie mózgowi, odnosił na tej drodze szereg wielkich sukcesów. Poznając tę strukturę nauczył się ją opanowywać, poznawał i opisywał rządzące nią prawa i mechanizmy rozwoju.
Oswajał tą strukturę.
Powoli stawała się ona znanym mu i coraz skuteczniej wykorzystywanym obszarem. Czuł się w niej coraz bardziej panem, czuł się w niej coraz bardziej bezpiecznie.
Ale stawał się też coraz bardziej więźniem swego własnego państwa. Coraz bardziej zapominał o istnieniu, z którego zszedł niżej, które pozostawił, od którego aktywnością swą stale się oddalał.
Czy był przez to szczęśliwy?

Częściowo pewnie tak!
Mamy wiele świadectw w naszej kulturze, jak wiele przyjemności może dawać człowiekowi odkrywanie poszczególnych praw rządzących strukturą najbliższą jego ciału. Dokonywał przecież przez wieki gigantycznego dzieła, które jednak przyrównać można do zgłębiania najbardziej drobiazgowych tajemnic cegły.
Ale tylko cegły!
Czy z tej wiedzy wynika wiele w procesie poznania zasad budownictwa, kształtu, architektury budowli całościowej, której cegła ta jest zaledwie niewielką cząstką?
Co gorsza!
Cząstką banalnie podobną do niezliczonej ilości innych cegieł. W tym sensie wiedza nasza dotyczy już stosunkowo wielkiego obszaru gmachu naszego istnienia. Ale przecież ów zachwycająco piękny, niesamowicie złożony i wszechfunkcjonalny gmach całości nie jest jedynie sumą składających się nań cegieł! Przecież nie! Gdyby tak było, byłby jedynie jakąś nieuporządkowaną kupą tych cegieł. Tak przecież nie jest!”
Niemal krzycząc teraz ze zmęczenia, chcąc jednak za wszelką cenę przewalczyć wyczerpanie i dobrnąć do końca myśli, mówiłem dalej.
„Układ każdej z tych cegieł w stosunku do innych, wszystkich przecież - ma głęboki sens. Powód! Dlaczego ułożono je tak a nie inaczej? Czy wiedza o cegle, nawet najdokładniejsza, najbardziej dogłębna, mówi nam coś o tym wszystkim?”
Kończąc dodałem już cicho i jakby do siebie, bo miałem nadzieję, że mój Rozmówca zrozumiał o co mi chodzi.
„Zapewne niewiele.”
Po krótkiej chwili dodałem jeszcze, ale już bez poprzedniej emocji.
„Tak więc mózg nasz, poznając jakoby do wewnątrz struktury, zaczął poznawać w końcu wyłącznie swe własne dzieła. A radości z każdego dokonanego odkrycia zaczął towarzyszyć coraz częściej smutek.
Tak!
Smutek!
Bo przecież ta druga, pozostawiona przez nas w spokoju część wysyła nam czasem sygnały o tym, do czego jest zdolna. Sygnały, że wzbogacając naszą wiedzę - jednocześnie coraz bardziej ją ograniczamy.”
„Idąc w kierunku przeciwnym od upragnionego! - dodał mój Rozmówca gdy już zamilkłem na dobre.
Milczał też chwilę, po czym powiedział jeszcze.
„Ten smutek! To zmęczenie i pragnienie, które odczuwamy coraz bardziej....”
I on szukał teraz słów czy obrazów, za pomocą których chciał przekazać mi swą myśl i czuł, że próba języka jest męką.
Znalazł coś, więc dokończył.
„Widzę nas jako istoty przywiązane za pas jakąś gumą nie wiedząc czemu starające się iść w kierunku przeciwnym jej przyciąganiu. Nasz upór jest zadziwiający. Im dalej więc idziemy obraną przez siebie drogą, tym większe zmęczenie...”
I jakby jeszcze chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował, uznając być może, że obraz, który namalował słowami był wystarczający.
Nie mylił się.
Czy rozumiecie na czym polega zmęczenie, o którym wam opowiadam?
Jest to zmęczenie wynikające z lęku. Z lęku, że podjęta próba jest chybiona, że słowa nie dają rady, że nie tyle rzeczywistość istotną odsłaniają, co grożą jej jeszcze większym pogrążeniem w chaos, że mogą ją skompromitować przez jeszcze większe niezrozumienie.
Toteż to co powiedział na końcu mój Rozmówca, sprawiło mi niewypowiedzianą ulgę. Słowa te znaczyły, że obawy moje były przesadne, że udało mi się jednak nie zmarnować czasu. Wydawało się, że myśl jego zaczyna przyjmować kryteria coraz bliższe istotnym.

Dostrzegł moje zmęczenie, więc zapytał.
„Może chcesz wody? Zabraliśmy przecież ze sobą butelkę.”
„Daj.”
Dopiero jego pytanie uświadomiło mi, że w ustach miałem nieprzyjemną suchość, a język przypominał kawałek koksu, jakbym wypalił dwieście papierosów.
Łagodny chłód płynu sprawił mi prawdziwą przyjemność. Podszedłem też na brzeg fontanny i zanurzyłem w niej ręce po łokcie. To przywróciło mi po chwili normalne samopoczucie.
„Chodź! Zanurz je! To przywraca świeżość.”
Posłuchał mnie i klęczeliśmy chwilę na wilgotnych kamieniach, pochyleni głęboko do przodu, studząc płynącą w żyłach krew, rozprowadzającą po ciele potrzebny chłód.
Słońce już zaszło zupełnie i świat pogrążył się w ciemności rozsadzanej tu w mieście światłem latarni. Bryza od morza też ustała. Powietrze stało ciepłe i łagodne.
Tu, na południu, nie zmieni się to do świtu.
Wracałem do hotelu rozluźniony i zadowolony ze spędzonego dnia. Ta popołudniowa próba języka dała mi więcej spokoju niż podjęta wcześniej nad morzem. Toteż gdy tylko zamknąłem za sobą drzwi mego pokoju, poczęła ogarniać mnie niesamowita senność. Myślałem jeszcze trochę o tym, czy i on pogrąży się w sen? Czy jego przestrzeń też jest pełna spokoju?
Zasnąłem jak kamień.

ROZDZIAŁ III - PODROZY DZIEN DRUGI.
MOZG I SIEC.

Pierwsza noc w czasie naszej podróży nie była długa.
Rano samolot mający nas przenieść do następnego miejsca dalszej rozmowy odlatywał wcześnie, następny zaplanowano dopiero na popołudnie, więc trzeba by niemal cały dzień stracić.
Wybrałem więc ranny.
Spaliśmy obaj dobrze, bo gdy rześki i wesół zszedłem do sali śniadaniowej zastałem już w niej mego Rozmówcę w równie dobrej formie.
Ranek był tak samo ciepły jak noc, ale ponieważ przed świtem spadł lekki deszcz, a wschodzące słońce jeszcze nie przemieniło jego skutków w parę, ogród otaczający nasz hotel pachniał niesamowicie tysiącem różnorakich kwiatów i roślin, zapraszając poza mury budowli. Ponieważ była taka możliwość, bo na tarasie też ustawiono kilka stolików, a od tarasu salę jadalną dzieliły tylko szerokie na całą długość ściany, szklane, rozsunięte teraz na oścież drzwi, zaproponowałem byśmy się tam przenieśli. Zgodził się ochoczo. Jedliśmy niczym w raju, w rześkim jeszcze powietrzu wśród oszałamiającej feerii barw otoczenia. Nawet małe i tanie hotele, bo do takich należał ten który dla nas zamówiłem wyjeżdżając, mają w tej części świata niepowtarzalny urok. Są spokojne i łagodne. Może dlatego, że są małe i mieszka w nich naraz niewielu ludzi nie tracą swego nastroju? Ich dodatkową zaletą są właśnie wspaniałe śniadania. Soki owocowe są świeżo wyciśnięte, gdyż w pełni lata okoliczne wsie dostarczają miastu tak dużo i tak tanich owoców, że właścicielom hotelików nie opłaca się soków kupować z masowych wytwórni. Te są droższe. Podobnie rzecz się ma z innymi produktami - serem, masłem, mlekiem, wędlinami. W tym klimacie wszystko szybko się psuje, więc albo trzeba trzymać pod prądem kosztowne chłodnie, które dodatkowo zbyt hałasują, by instalować je w budyneczkach tak małych, a przeznaczonych jednak do dobrego i spokojnego snu, albo korzystać z codziennych dostawców, którzy proponują produkty w dużej części powstałe w ciągu minionej nocy.
Już za parę godzin mieliśmy znaleźć się we władaniu zgoła odmiennej kuchni, toteż korzystałem z dobrodziejstw porannego stołu, jak dzikus, któremu wydaje się, że po raz ostatni dana mu jest taka obfitość pożywienia. Nie znaczy to bym postanowił się obeżreć,

wtłoczyć w siebie jakąś niesamowitą ilość wędlin, serów, czy pieczywa. Nie! Mięsa i jego przetworów jem za zwyczaj mało, ser owszem, toteż zjadłem tu sporą porcję koziego twarogu z ziołami i niewielki placek pachnący doskonałą oliwą! Ale główne spustoszenie starałem się zrobić pośród owoców i cudownie schłodzonych, aromatycznych soków, które wspaniale mieszają się ze świeżym jogurtem, równie jak one dobrym.
Dietę taką trzymam szczególnie uważnie w czasie upalnego lata, a także w podróży. Taki zestaw pokarmów nie obciąża przesadnie organizmu, nie czyni człowieka niepotrzebnie ospałym, ociężałym i sennym. I zawsze ze zdziwieniem patrzę na wielu turystów, którzy brakiem mięsa, ciężkich kiełbas czy pasztetów na porannym stole czują się zawiedzeni i tracą wielką część zadowolenia, które powinno towarzyszyć porannemu posiłkowi. Szczęśliwie tym razem nie było takiego towarzystwa dookoła.
Kilka stolików dalej jacyś starsi ludzie przygotowywali się właśnie do opuszczenia ogrodu, inni jeszcze widać spali, póki upał i tak nie powygania ich z łóżek i nie popędzi do klimatyzowanych autobusów zaplanowanej wycieczki lub nad morze.
Posileni i w doskonałych nastrojach zarzuciliśmy swe torby na ramię i tanią tu w porównaniu z naszym miastem taksówką udaliśmy się na lotnisko.
W czasie lotu trwającego nie wiele ponad dwie godziny nie rozmawialiśmy prawie, poza konwencjonalnymi pytaniami i odpowiedziami z typu - Spałeś dobrze? - Owszem. A ty? - Też dobrze. Dziękuję! - i tym podobnymi.
Tylko gdy samolot począł zniżać lot i widać już było brzeg morza, nad którym przelecieliśmy, poprosiłem mego Rozmówcę, by popatrzył przez okno w dół. Lądowałem na tym lotnisku już kilka razy i wiedziałem, że warto zapamiętać, jak samolot jakby wpływa w potężną gardziel tej jednej z największych rzek świata, której ujście przypomina w tym miejscu niemal drugie morze, tylko ustawione prostopadle do mijanego.
Potężną kulturę stworzyli mieszkańcy brzegów tej potężnej rzeki przed wiekami! Dziś pozostała w równie potężnych pamiątkach gigantycznych budowli, legendzie i książkach pomagających ludzkiej pamięci.
Łagodnie minęliśmy jasnożółtą toń i równie łagodnie powróciliśmy na ziemię w niewielkiej odległości od jej brzegu.
W tym mieście taksówki kosztują więcej niż przelot, który właśnie mieliśmy za sobą i tylko tym różnią się od autobusów, że są często klimatyzowane. Chcę przez to powiedzieć, że ich szybkość przemieszczania się po tym niesamowicie żywym, ruchliwym i potężnym mieście wcale nie jest większa od autobusowej. Po prostu w tym tłoku nie można jechać szybciej czy wolniej. Jedzie się tak jak wszyscy. Wspólny rytm poruszania się w określonym kierunku jest chyba jedynym przejawem solidarności mieszkającego tu społeczeństwa, które zawsze było na tym terenie niesamowicie rozwarstwione. Żyli tu chodząc, nad brzegiem rzeki bogowie i ci, których zadaniem całego, niezbyt długiego życia było przemieszczanie niewyobrażalnie wielkich i ciężkich kamieni, ujarzmianie rzeki czy prymitywna uprawa życiodajnej roli. Od boga do niewolnika! A dalej od rzeki - nieprzebyta, zdawałoby się martwa pustynia.
A więc nie marnując pieniędzy na nieskuteczną taksówkę zajęliśmy miejsce w autobusie linii lotniczej, którą przylecieliśmy i wyruszyliśmy w inny kontynent. Podróż nie była przyjemna z racji przesadnej w stosunku do przestrzeni pojazdu ilości współpasażerów, ale nie trwała też długo, gdyż hotel wziąłem nie w centrum miasta molocha, ale jakby dalej od niego, na południe, gdzie widać już było pustynię. Znajdował się jeszcze blisko rzeki, pośród palm i rozłożystych sykomor. Toteż nasz autobus otarł się jedynie o zatłoczony skraj stolicy, co pozwoliło nam dotrzeć do celu w nienajgorszej formie i stosunkowo wcześnie.
Ponieważ z wielu względów kąpiel w rzece jest absolutnie niemożliwa, skorzystaliśmy z hotelowego basenu i ruszyliśmy przez porosłą pożółkłą trawą łąkę na brzeg.
Dziś również postanowiłem poczekać, aż mój Rozmówca da sygnał do rozpoczęcia opowiadania.

Nie czekałem długo.
Skoro tylko odeszliśmy od hotelu na tyle, że w przestrzeni utonęły już dźwięki rozwrzeszczanego radia rozweselające użytkowników basenu amerykańskimi rockami z lat pięćdziesiątych, poprawił słomkowy kapelusz na głowie i zapytał.
„Myślisz że jesteś dobrym człowiekiem?"
Nie jest łatwo odpowiedzieć na takie pytanie dzisiaj. Toteż próbowałem najpierw uniknąć rozmowy na ten temat.
„Nie wiem! Myślę, że nie jestem złym. Nikomu nie robię krzywdy... To dużo."
Ale wyraźnie nie dawał za wygraną i jego ton stał się nieco bardziej natarczywy.
„Nie wykręcaj się! Myślisz tak o sobie czy nie?"
„Myślę, że jestem tak samo dobry jak ty!"
Starałem się nadać mym słowom brzmienie ostatecznej odpowiedzi, ale zaraz zrozumiałem, że łatwo się nie wykręcę.
„Jak wszyscy ludzie!" - dokończyłem.
„Jak to, jak wszyscy? Przecież są lepsi i gorsi. Są nawet źli, bo robią innym krzywdę. Mordują, zabijają, męczą zwierzęta!"
„Wszystko co istnieje jest dobre!" - powiedziałem szybko.
Ale przerwałem na chwilę, poszukując gorączkowo słów, które byłyby dla niego jasne.
„Człowiek jest - przecież mówiliśmy już o tym - tylko częścią tej wielkiej całości, którą nazywamy wszechświatem. Nie może być od niego ani gorszy ani lepszy. Czy noga może być lepsza od ręki, albo od ucha? Wszystko co spełnia swe zadanie dobrze jest dobre i nic niczego nie może w tych sprawach zastąpić. Ale też nie może wyłgać się od swego zadania! Gdy całość chce to ręka musi coś uchwycić, a noga zrobić krok. Gdy ręka zechce pociągnąć za ucho, to ono musi zaboleć. To wszystko jest ze sobą związane koniecznością. Tak samo człowiek będąc częścią wielkiej całości spełnia w niej swą rolę i nie może się od niej wymigać. W tym sensie wszyscy ludzie są sobie równi, chociaż niektórzy spełniają swe zadanie lepiej, inni gorzej."
„A więc są lepsi i gorsi."
„To zależy jaką miarą mierzymy. Jeśli zastosujemy kryteria moralne, a więc kryteria które większość ludzi stosuje, do których się przyzwyczaiła, to pewnie są pośród nich i lepsi i gorsi. Ale czy to są na prawdę jedyne kryteria, które istnieją? Które istnieć mogą?"
„Są inne?" - wyraźnie się ożywił.
„Czy są? Myślę, że przynajmniej mogą być!"
Zaniepokoiłem się nieco czy nie wchodzę w pułapkę i czy tak suche stwierdzenie nie zrobi mu przysłowiowej wody z mózgu, czy nie zechce pomyśleć, że kwestionuję znaczenie całości dorobku etyki, którą ludzkość z takim trudem przez wieki stworzyła. Powiedziałem więc pospiesznie.
„Ale nawet jeśli są, to nie likwidują one zasad oceny tego co dobre i złe w naszym postępowaniu. Jeśli są, to zawierają w sobie i te które wszyscy znamy, bo one też są dobre."
„Nie uciekaj! Odpowiedz do końca. Przecież widzę, że znasz jeszcze inne kryteria dobra i zła. Nie każdy człowiek wierzy w to, że wszystko co istnieje jest dobre"
Złapał mnie. Już dalej nie byłem w stanie się wykręcać. Zresztą czy nie po to właśnie zgodziłem się na tę podróż, by opowiedzieć mu mój świat? By mu go udostępnić. Aby mógł podobnie jak ja poznawać niepoznane.
Powiedziałem więc.
„Owszem! Wiem że istnieją i inne kryteria oceny tego co się dzieje, co jest dookoła nas. Ale to zależy od tego z jakiego punktu na to wszystko patrzymy. Pamiętasz jak zdziwiłeś się widokiem placu przed ratuszem, gdy weszliśmy na tą wysoką wieżę? Zdziwiłeś się, bo znałeś ten plac tylko z dołu. Wiedziałeś jak on wygląda gdy się po nim chodzi, gdy siedzi się w chłodzie mgły rozpryskującej się wody fontanny, gdy kłuci się z przekupkami, podsłuchuje rozmowy przechodniów, zachwyconych ratuszem turystów, gdy zagląda się w

zaczarowane oczy dzieci, zaczarowane widokiem kolorowych, kręcących się figurek. Tam na dole wszystko jest na wyciągnięcie ręki, wszystkiego można dotknąć, wszystko jest dobre, piękne i gdy świeci słońce nawet policjant wydaje się przyjacielem złodzieja, a złodziej traci czasem ochotę na kradzież, bo też potrafi się zachwycić placem przed ratuszem i jego wspaniałościami. Plac oglądany z wierzy jest też piękny i zachwycający. Bo taki jest w istocie. Ale jest przecież inny. Inny do tego stopnia, że aż krzyknąłeś ze zdumienia, gdy spojrzałeś po raz pierwszy w dół."
Zamyślił się, ale twarz czerwieniała mu coraz bardziej. Widać wzbierała w nim ochota, by zrozumieć o co mi chodzi. Mówiłem więc dalej.
„Przypomnij sobie, jak zachwycił cię z tej wieży widok ulicy Biednej. Cieszyłeś się jak dziecko pokazując mi jej przebarwną bieliznę wiszącą na przyokiennych sznurkach. Pamiętasz jak lśniła w słońcu woda płynąca jej środkiem? Wyglądała jak strumyk! Zachwycony, pokazywałeś mi przepiękne stamtąd, kolorowe, jakby przez wielkiego malarza zaprojektowane frontony domów i łagodnie brązowoliliowe dachy.
Potem poszliśmy tam. Na ulicę Biedną! Pamiętasz jak cię przeraziła? Na przyokiennych sznurach wisiały podarte łachmany, które gdy zaszło już słońce nie wstydziły się swej brzydoty. Środkiem płynął przecież nie strumień, ale pełen nieczystości, zupowaty szlam kanalizacyjny odprowadzający ścieki ulicy Biednej wprost do rzeki. Wzory na frontonach domów zaprojektował nie wilki malarz, ale ubóstwo mieszkańców, a wykonał grzyb, liszaj tynków i niezdrowa wilgoć. Łagodny kolor dachów okazał się zgnilizną od stuleci nie zmienianej, na pół mchem przerośniętej dachówki.
A przecież zmienił się tylko punkt, z którego na to wszystko patrzyliśmy! Czy zmienił się plac przed ratuszem, czy zmieniła się ulica Biedna? Czy to wszystko stało się przez to gorsze lub lepsze, piękniejsze lub brzydsze? Nic podobnego! Zostało tylko inaczej przez ciebie dostrzeżone.
Tak samo jak z tym widokiem, z tą urodą i brzydotą - jest z dobrem i złem. Zależy skąd się na to patrzy."
Zdenerwował się czymś w mej wypowiedzi, więc zapytał gwałtownie.
„Czyli zbrodnia, gdy ktoś kogoś zabija, oglądana z tego twojego innego miejsca może nie być zbrodnią?"
Nie jest łatwo odpowiadać na takie pytania!
Gdybym znał słowa konieczne do opowieści o tym o czym wiedziałem, a o czym mój Rozmówca nie wiedział! Przez chwilę ogarnął mnie nieprzeparty żal, że słów tych nie znam. Ze bywam na wieżach ratuszowych z których widzę... to wszystko co... a zszedłszy na dół nie umiem o tym opowiedzieć.
Poczułem zmęczenie, ale zaraz pomyślałem sobie, że muszę je przecież opanować, że po to pojechałem w tę podróż by te słowa w końcu odnaleźć. Czy one istnieją?
Na pewno!
Tylko gdzie? Gdzie ich szukać? Jak?
Może jeszcze tylko tego nie wiem!
Jak?
Ale trzeba próbować!
Tego właśnie nauczyłem się na wieży, wysoko, tam!
Powiedziałem.
„Nie mój drogi! Krzywda wyrządzona człowiekowi przez człowieka jest zawsze krzywdą a zbrodnia zbrodnią. Ale są miejsca, z których zbrodni nie widać, bo z tego punktu widzenia ona jest niemożliwa!"
Przerwałem na chwilę sam speszony tą wypowiedzią, ale zdałem sobie sprawę, że tak właśnie jest, że mimo jakiejś nielogiczności tego zdania jest ono zbudowane poprawnie, że zawiera właśnie to co chciałem powiedzieć, co wiem, chociaż w mowie, którą się posługuję jest to niezrozumiałe. Powtórzyłem więc szybko.
„Z wielu punktów widzenia zbrodnia jest niemożliwa. Bo przeczy harmonii, która jest."

„Gdzie?” - mój rozmówca niemal krzyknął.
„Tam!”
Odpowiedziałem niemal odruchowo, ale spostrzegłem, że on jakby przestraszył się tego słowa, wiec szybko dodałem.
„Tu!”
W tym ułamku sekundy ciszy, która teraz nas rozdzieliła zrozumiałem, że muszę coś powiedzieć, coś co on zrozumie, by cały mój dotychczasowy trud nie poszedł na marne, by nie przemienił się w krzywdę, którą temu człowiekowi wyrządziłbym na zawsze, bo pomyślałby, że chciałem go oszukać, że w moich słowach kryje się fałsz, zdrada.
„Tam i tu!” - wykrzyknąłem.
Nie byłem zadowolony z tego, ale on jakby uspokoił się! W jego spojrzeniu odnalazłem najpierw napiętą uwagę, a potem zaciekawienie, jakby znowu zaczął rozumieć o czym mówię.
Chwilę milczeliśmy oboje.
Nasze spojrzenia powędrowały ku miastu, które słońce obdarzało coraz dłuższymi cieniami. Poczułem, że moje nagie stopy ogarnia chłód płynącej pod nimi wody. On też wyciągnął nogi na brzeg i przesunąwszy się pod pień sykomory, oparłszy się plecami o jej łagodną chropowatość, nie patrząc na siebie rozmawialiśmy dalej.
„A więc byłeś tam?” - zapytał.
Znowu, poczułem ból, jakby pytanie tego człowieka było niewypowiedzianie cienkim oszczepem, który przeszył moje ciało.
Tam?
Czy to słowo cokolwiek znaczy? O co on pyta?
Ale przecież to ja sam powiedziałem - tam i tu, czyli gdzie.
Ja wiem gdzie, ale o czym on myśli?
Czy czasem nie podążył w inną stronę niż chciałem go pociągnąć, poprowadzić, zdradzić tajemnicę, którą przecież po to właśnie posiadłem by się nią dzielić, by służyła innym ludziom, takim jak on właśnie. Zwykłym, normalnym, takim jakim i ja byłem... jestem do cholery... wszystkim!
Bo przecież mogę dalej żyć tylko wierząc w to, że nie jestem mutantem, że moje możliwości są możliwościami człowieka z krwi i kości. Ze każdy z nas je posiada i tylko kwestia w tym, by każdy chciał je w sobie odnaleźć, odkryć, ujawnić przed sobą samym, przed swoim organizmem, umysłem, by je uszanował. By odrzucił stan biernego reagowania na bodźce, nawet nie na świat! Bo reakcja na świat, czyli na to co jest jego istotą już jest uczestnictwem w jego tworzeniu.
Uczestnictwo jest tworzeniem!
Bycie jest tworzeniem!
Przecież każdy musi być, więc na czym polega to, że tak wielu ludzi nie jest?
Nie odpowiadałem przez chwilę, więc niecierpliwość kazała mu powtórzyć pytanie.
„Byłeś tam, gdzie nikt z nas nie był?”
„Nie!”
Wyrwało mi się, jak bunt przeciw herezji, przeciw insynuacji, przeciw robieniu ze mnie mutanta, odmieńca, kogoś innego niż jestem, niż on jest, niż oni są, ale opanowawszy gorycz dodałem.
„Byłem tam, gdzie wszyscy jesteśmy, gdzie ty jesteś też, tylko nie wiesz o tym, bo...”
„Więc nie umarłeś i nie przyniosłeś tu z powrotem tej wiedzy z .....”
Zamilkł i zaczął zastanawiać się jakby tu dokończyć przerwane pytanie.
Tym razem poczułem radość, że nie muszę mu tłumaczyć, iż to co zwykle określa się w gazetach jako wiedzę uzyskaną po śmierci klinicznej, że te wszystkie bzdury które mówi się na ten temat są głupotą, bo tego wszystkiego można dowiedzieć się nie umierając.
Radość moja wynikała stąd, że on być może zaczął właśnie rozumieć wagę słów wypowiadanych i począł się nad nimi zastanawiać, rozumiejąc, że nieodpowiedzialne ich

użycie nie przybliży nas do porozumienia się, że może nam tylko zaszkodzić, zniweczyć nasze wysiłki, zabić.
Bo przecież przesadne zaufanie do języka którym się porozumiewamy jest początkiem niewiedzy, błędu. Błędu wiary, że wszystko co jest można w te słowa - w język zamknąć jak w puszkę, pudełko - jeśli są piękne to nawet w kasetkę, puzderko, jeśli są cenne to w skarbiec, kasę pancerną, ogniotrwałą ze stali albo złota - wszystko jedno!
A przecież jest zgoła inaczej!
To właśnie słowa są w stanie nas oszukać, wyprowadzić w pole. W nich nie można nic zamknąć z tego co jest rzeczywistością, o której wiem że jest. To one właśnie mogą zamknąć nas w niewiedzy, w błędzie, w świecie który znamy, ale który jest tylko najbliżej nas. Prymitywnie najbliżej - jak koszula ciału zaledwie. To właśnie słowa nam znane są w stanie zamknąć nas w tym małym świecie jak w pudełku, w kasie pancernej, w puszce. Jeśli nam w tym świecie-światku dobrze, to nawet nazwiemy to kasetką, puzderkiem, cackiem, ale zawsze będzie to zamknięcie, więzienie, cela.
A właściwie - istniejemy przecież dla wolności, otwarcia, swobody. Dla przekraczania horyzontów, światów, rzeczywistości! Dla poznania tego co niepoznawalne. Tego co jest poza naszą skromną wiedzą, a raczej wielką, naburmuszoną, pyszną i nadętą niewiedzą, którą przyzwyczailiśmy się wiedzą nazywać.
Sokrates odkrywszy to zakrzyknął po wiek wieków - „Wiem, że nic nie wiem!” - i była to prawdziwa wiedza.
Bo przecież rzeczywistość która nas otacza jest nieskończenie bogata, a przede wszystkim ma strukturę, o której za pomocą używanych zazwyczaj narzędzi będących poniżej tej struktury orzec niepodobna. To tak, jakby szczekaniem psa, nawet najbardziej bogatym w dźwięki które słyszymy, chcieć przekazać ptakom treść einsteinowskiej teorii względności, czy twierdzenia Pitagorasa.
Miałem nadzieję, że w tym właśnie momencie, w tej właśnie chwili mój Rozmówca zaczął rozumieć, że językiem, słowami nam danymi, tym całym kodem semantycznym, którego nauczyliśmy się, który jest nam być może dany, albo zaledwie powierzony do rozsądnego posługiwania się nim, nie damy rady nawiązać kontaktu w sprawach istotnych. Tak naprawdę, tym narzędziem którym jest język, można posługiwać, gdy zrozumie się jego naturę - czyli gdy się zrozumie tę drobną cząstkę jego istoty - że jest niedoskonały do tego stopnia iż jest niczym! Dopiero wtedy może nam służyć do porozumiewania się! Bo dopiero wtedy rozumiemy, że wobec całości bytu język jest jego cząstką tak znikomą, że można go przyrównać do nicości - ALE JEST - jest tak jak całość, czyli służy tej całości i bez niego całość już nie byłaby całością.
A całość z dziurą zapada się sama w nicość jak przekłuty balon.
Próba języka! Tak. To ciężka praca. To męka!
Ale nie ma wyjścia.
Trzeba ją podejmować.
Milczałem jeszcze chwilę czekając, aż ta iskierka wznieci w nim płomyk pierwszego być może odkrycia i gdy dostrzegłem, że obciąża go ponad miarę powiedziałem.
„Dziękuję ci.”
Gdy spojrzał na mnie, ujrzałem w jego oczach smutek. Smutek tak dobrze mi znany. Smutek wobec wątpliwości głębokiej. Rodzący się zawsze wtedy, gdy odkrywamy jakąś część rzeczywistości, z którą nie wiemy co zrobić. Jak się wobec niej zachować, jak ją zaadaptować, użyć. Jak umiejscowić ją, nową w znanej nam i starej, a przynajmniej starzejącej się już i opanowanej od dawna rzeczywistości realnej.
Bo zrazu wydaje nam się czymś poza realnością, poza tym co znamy.
Taka też jest w istocie!
Bo taki jest każdy nowy element bytu w chwili jego odkrycia. Jest jak dziecko, które ma tylko rodziców. Nieznane jest jego miejsce wobec już istniejących istot, jego cel, jego możliwości, znaczenie, tajemnica, którą ze sobą przynosi i to czy ją kiedykolwiek objawi,

albo zabierze w inny wymiar istnienia.
Ten smutek utwierdził mnie w przekonaniu, że Rozmówca mój dotarł do czegoś, o czym przedtem nie wiedział. Teraz czekałem na radość, która też musi towarzyszyć każdemu kontaktowi z czymś nowym.
Musi? - zapytałem sam siebie.
Iluż jest pośród nas ludzi takich, którym odkrycie (jakiekolwiek) nie daje radości! Którym jedynie burzy ono zrozumiały porządek, wprowadza zamęt, wymaga osobistego stosunku do tego „nowego”, męczy.
Ale ta radość odkrywcy nie przychodzi od razu!
Bo odkrywca wie, czuje to natychmiast, że odkryć coś to wielka odpowiedzialność, a ponad to czuje , że sam akt odkrycia jest czymś ważnym. Poczucie wagi wyklucza radość idioty, podobną radości psa, któremu rzuci się kość - nawet zatrutą - i też się cieszy.
Zrozumieć własne odkrycie! To dopiero daje odkrywcy radość. W niektórych przypadkach wymaga to czasu.
Mój rozmówca zapytał.
„Dziękujesz! Za co?”
„Za myśl.” - odpowiedziałem natychmiast, nawet nie zdając sobie sprawy z tego że trafiam w sedno.
Owo trafienie przecież polegało nie na tym, że użyłem odpowiedniego słowa, ale na tym, że w naszym w tym momencie kontakcie objęło ono tę właśnie przestrzeń, która była nam potrzebna do uspokojenia się.
Bo słowo żyje tak samo jak inne elementy rzeczywistości!
Ono nie tylko znaczy, ale i działa. Gdyby tylko znaczyło, czyli tylko posiadało swoją semantyczną zawartość, mogłoby tylko zamykać. Natomiast właśnie działając, jak każdy element tego co istnieje, może nam pomóc w porozumieniu, w odsłonięciu cząsteczki tajemnicy, w otwarciu.
Znowu milczeliśmy chwilę.
„Więc byłeś tam?” - zapytał.
Teraz jego pytanie nie wzbudziło we mnie lęku. Wiedziałem, że nie pyta mnie o głupstwa. Odpowiedziałem więc spokojnie.
„Tak! Byłem!” - i dodałem - „Chwilę! Mam nadzieję, że będę dłużej.”
„I starczyło już, żebyś teraz był ponad nami...” - powiedział jakoś smutno, czy zazdrośnie, więc by go uspokoić odparłem.
„Starczyło, bym mógł być dla was! Nie ponad wami. Wy jesteście przecież też tam gdzie byłem. Wszyscy tam jesteśmy, tylko...”
„Tak! Wiem! Tylko nie wiemy o tym! A ty wiesz!” - przerwał gwałtownie.
„Tak.” - i tym razem moja odpowiedź nie sprawiła mu przykrości.
Uspokoił się i po chwili zapytał.
„Jak tam jest?”
„Ciekawie.” - odpowiedziałem.
Uśmiechnął się.
„Czy to jest gdzie indziej?”
Teraz mnie ogarnęła wesołość.
„Ot tu! I tam.”
Już wiedziałem, że porozumiewamy się poza słowami. Mogłem więc spokojnie opowiadać. Zacząłem jednak od pytania. W odpowiedzi mego Rozmówcy spodziewałem się odnaleźć informację na ile jest skupiony, gotowy do współpracy ze mną, czy nie jest przypadkiem zbyt zmęczony długim upalnym dniem i w końcu naszą stałą, od rana, rozmową.
Bo mózg człowieka nie wyćwiczonego nie tylko nie jest workiem bez dna, ale jego pojemność bywa czasem zaskakująco mała. Wiedziałem o tym, więc chciałem sprawdzić, czy słowa moje dotrą do niego. Tym bardziej, że tym razem miało chodzić nie tylko o słowa!

Postanowiłem teraz podjąć próbę porozumienia z nim, w której język jest w prawdzie nośnikiem informacji, ale nie informacją samą. Ta, się w nim nie zawiera. Zawiera się przecież w kontakcie informacyjnym wiele bogatszym niż semantyka, niż znaczenia słów które znamy.
„Jak myślisz - z czego zbudowany jest świat?”
Nie odpowiedział mi, choć przecież mógł. Zadałem mu pytanie, a więc zapraszałem jakoby do rozmowy.
Odpowiedź dla przeciętnego zwłaszcza człowieka nie jest trudna.
Słyszał w życiu na ten temat tysiące teorii. I mniejsza o to ile było w nich prawdy! Takie teorie, te obiegowe odpowiedzi przylepiają się do nas wszystkich jak rzep do psiego ogona i potem żyjemy z nimi nie zadając sobie właściwie więcej głębszych pytań na ten temat. Te odpowiedzi hasła zwykle nam wystarczają, bo poważniejsze pytania nas przerażają, wydają się jakby wyjściem poza otaczającą nas rzeczywistość, wejściem w przestrzeń bez granic, we wszechświat, gdzie te odpowiedzi można by odnaleźć.
Bo też i tak przecież jest w istocie!
Rozumiem, że człowiek dzisiejszy nie wstydzi się do tego przyznać - jeśli jest uczciwy oczywiście. Pytania takie przerażają niekiedy nawet filozofów. Wtedy uciekają oni do odpowiedzi, których dostarczają fizycy i to ich uspokaja. Ale to jest przecież unik! Ucieczka w całym tego słowa znaczeniu, bo odpowiedź nigdy nie kryje się w znanej już teorii - nawet naukowej. Odpowiedzi na ważne pytania kryją się zawsze tam, gdzie wchodzi się z trudem i bojaźnią.
Poza wiedzą!
Gdyby kryły się w książkach, katalogach, internetach - świat nie rozwijałby się. Stał by w miejscu jak zatrzymane w powietrzu spadające jabłko, które spada przecież by poznać ziemię, by zanieść jej swe nasienie z wysokości gałęzi, na której dojrzało. Jabłko na gałęzi nie zna ziemi. Spada, bo pragnie ją poznać nawet za cenę śmierci własnej. Jabłko pragnie, jak człowiek, bo tak jak człowiek jest częścią całości harmonijnej, sprawiedliwej, czynnej i wiecznej.
Czekając, czy odpowie na moje pytanie myślałem o tym, ileż to jeszcze mam mu do powiedzenia, by podróż nasza nie okazała się zwykłą wycieczką krajoznawczą. By z ludzi myślących nie przemienić się na powrót w egzystujących jedynie, w turystów pochłaniających bezmyślnie świat którego nawet nie potrafią strawić, a pamięć ich często po jakimś czasie gubi to co zobaczyli, bo niczemu to nie służy na dłuższą metę.
Nie odpowiadał długo! Wystarczająco długo, bym upewnił się, że umysł jego, jego myśl gotowa jest przyjąć coś, czego nie wie.
Myślenie jest ciszą!
Rzadko tylko przejawia się w próbie mówienia. Tylko wtedy, gdy próbujesz sformułować, nazwać to co dostrzegłeś... albo, gdy podejmujesz wysiłek przekazania czegoś drugiemu człowiekowi.
Człowiekowi?
Czy tylko? .....
„Masz rację!” - zacząłem, starając się rozmawiać już nie z nim, ale z jego myślą - „W istocie świat ten nie jest przecież zbudowany z materii. Drzewa i rośliny, cała materia którą nazywasz ożywioną zbudowana jest z komórek tylko pozornie. Domy z cegły, cegły z ziarenek gliny, ziemi w końcu...
Ale przecież wiesz, że to wszystko zbudowane jest z atomów, a te z jeszcze mniejszych drobinek, które już umiemy nazwać i pewnie za jakiś czas któryś z pracowitych i dzielnych badacz dalej te drobinki podzieli i tak pewnie może być w nieskończoność.
Ale to wszystko...
...całe istnienie które możemy zważyć, zmierzyć, którego można dotknąć, stwierdzić jego istnienie zmysłami... zobaczyć, usłyszeć, posmakować...
...jest tylko przejściową formą stale rozwijającej się i pozostającej w przemianie - energii.

Energii, która tylko przez moment ma taką właśnie formę jaką tymi zmysłami stwierdzamy. Przez moment... bo czymże jest ta cząstka wieczności, którą ogarniamy naszym wyobrażeniem?
Ale nawet to czego dotknąć nie możemy, co nie da się położyć na nawet najdelikatniejszą wagę, powąchać przez psa, usłyszeć przez delfina, nietoperza, dostrzec przez sokoła...
...czyli nasza myśl, nasze wyobrażenia...
...są też formą rozwijającej się energii.
No! Dla ułatwienia powiedzmy na razie - jej funkcją, przejawem.
Ale tylko na razie będziemy to tak nazywać!
Bo człowiek, który tworzy tę myśl, te wyobrażenia jest też formą energii, a więc energią jest to co wytwarza.
Ale ta energia nie jest jakimś ciastem jednolitym, jakąś masą czegoś. Ona ma też swoją strukturę wspaniale uporządkowaną i przejrzystą...."
Chciałem mówić dalej, ale przerwał mi pytaniem.
„Jeśli harmonia jest we wszystkim, to masa czegoś, jakieś ciasto też ma strukturę uporządkowaną, harmonijną..."
„Tak!"
Teraz ja mu przerwałem zdenerwowany tym, że pękła ta struna po której przebiegała wymiana naszej wiedzy, ale zaraz pożałowałem tego, gdyż zdałem sobie sprawę iż sprawia mu to zrozumiałą trudność, że być może narzuciłem zbyt duże tempo.
A może należało zacząć od ćwiczeń...
Ale przecież na początku są one trudne, toteż odnajdując tego człowieka postanowiłem najpierw opowiedzieć mu coś o świecie, do którego nie dotarł, choć może.. Pomyślałem, że zafascynowany nim przystąpi do ćwiczeń z większą cierpliwością, że nadzieja przekroczenia granicy będzie dlań konieczną przyjemnością, gdy niewprawny jeszcze zwątpi, czy gdy ogarnie go chociażby zwykłe zmęczenie.
Czy teraz zmienić metodę?
Czy przerwać opowiadanie, skoro struna pękła i nie wydaje już dźwięku, nie przenosi drgań koniecznych dla poruszenia membrany jego osobowości, umysłu...
Odrzuciłem tę myśl.
Pomyślałem, że nie wolno mi przerzucać winy!
Winy za własny błąd!
Bo pomyślałem sobie, że to jest mój błąd!
Odpowiedziałem więc dalej spokojnie.
„Oczywiście! Ale harmonia, o której chcę ci opowiedzieć, jest doskonalsza od harmonii ciasta czy jakiejś masy...."
Rany Boskie! Co ja plotę? - pomyślałem. Przecież to bzdury. Jąłem więc pospiesznie poprawiać wynikłą ze zdenerwowania treść tego ostatniego zdania: Postanowiłem jeszcze raz tak sformułować ową poprawkę, jakby to on przyłapał mnie na głupstwie.
„Masz rację! Harmonia jest harmonią! Nie ma lepszej czy gorszej harmonii. Taka bywa tylko w muzyce. Ale harmonia, o której mówimy ogarnia wszystko, więc też jest jednością. W harmonii, która nas interesuje nie może być dysharmonii. Więc w cieście czy w jakiejś masie, plastelinie, galarecie jest ona taka sama. Ale mi chodziło o harmonię ogólniejszą, innego rzędu, zasadniczą, ogarniającą wszystko co jest."
Milczał teraz i zrozumiałem, że nie powinienem dalej mówić.
Bo jest też milczenie oceanu po burzy. Cisza, która zapada, gdy żywioł już nasyci swe żądze, gdy zniknie z jego powierzchni ostatni fragment rozbitego statku, gdy odpłynie miotana falami ławica.
Poznawanie nowych obszarów jest dla wielu ludzi taką właśnie burzą.
Rozszalałą nawałnicą myśli, które miażdżą stare wyobrażenia jak ocean statek, który za słaby jest, by oprzeć się falom. Nawałnicą, która pożera przestarzałe formy by strawiwszy je oddać światu nowe.

Ale energia umysłu ludzkiego nie jest niewyczerpana, jak energia sztormu, która zanika i rodzi ciszę.
Niewyczerpana jest jedynie energia całości, całość, która jest energią i przejawiła się przez chwilę w burzy czy odkryciu, zmęczywszy swój fizyczny nośnik - tak wielki jak ocean, czy tak mały jak nasz mózg, odchodzi. Nośnik musi odpocząć. Poczekać na następny statek, który pożre, na kolejną ławicę, którą przeniesie, na kolejne odkrycie, którego dokona.
Mój Rozmówca był już zmęczony. Postanowiłem odłożyć dalszy wywód.
„Wracamy!" - powiedziałem.
„Wracamy!" - powtórzył jak echo, zgadzając się z moją propozycją, a głos jego był cichy, bo burza cichła w nim dopiero i na falującej przestrzeni myśli kołysał się jeszcze strzęp starego okrętu, który uspokojenie dopiero miało oddalić w niepamięć.
Upał był nieznośny, mimo cienia użyczonego przez sykomorę.
Może też fizyczne zmęczenie otaczającym nas gorącem dawało się nam we znaki?
Może to z tego powodu dzisiejsza rozmowa nie układała się najlepiej.
Postanowiłem schronić się przed lejącym się z nieba żarem, toteż wróciliśmy powoli do hotelu i dla zwiększenia apetytu popływaliśmy chwilę w basenie. Wyłączono już hałaśliwą muzykę, bo większość mieszkańców hotelu, jak zwykle w porze sjesty, drzemała w swych klimatyzowanych pokojach i cisza była wskazana.
Zjedliśmy niewiele zimnej, niemal surowej ryby. Wszak nie wolno zapominać, że organizm nasz musi otrzymywać konieczne dawki pożywienia, by utrzymywać swe energetyczne możliwości. Pamiętam, że gdy byłem jeszcze dzieckiem i nie należałem do malców z dobrym apetytem, sąsiad pomagający mojej matce w czasie prac ogrodowych, mówił mi, gdy widział stojęcy przede mną, długo nie ruszany talerz z obiadem.
„Jedz bracie! Pamiętaj, że i parowóz bez pary nie pojedzie. Jedz na zdrowie!"
Czasem to pomagało.
Postanowiliśmy odpocząć w pokojach do chwili, gdy słońce pochyli się nieco i ulży rozgrzanej pustyni.
Nie mogłem zasnąć. Drzemałem zaledwie. Myślałem też o tym, co miałem potem powiedzieć. Próbowałem konstruować przyszłe zdania, porównywać je z rzeczywistością której miały dotyczyć. Przyglądałem się obrazom wywoływanym przez odnajdywane konstrukcje zdań. Sprawdzałem nośność zamierzonego komunikatu.
Trwałem więc w tym półśnie przez cały czas i mimo iż nie udało mi się w pełni oderwać od myśli, odpocząłem jednak.
Zapytałem w recepcji, czy mój Rozmówca jest u siebie w pokoju, bo odpoczywałem prawie pięć godzin, więc możliwe było, że wcześniej wróciwszy do formy postanowił zejść na dół, do baru lub na taras. Ponieważ recepcjonista poinformował mnie , że chyba dalej jest u siebie, a hotel nasz nie posiadał telefonów w pokojach, poszedłem tam. Pukałem kilka razy, ale nikt nie odpowiadał, więc nacisnąłem klamkę. Drzwi były nie zamknięte, to też wszedłem do środka.
Spał snem sprawiedliwego przykryty jedynie prześcieradłem.
Ucieszyło mnie to, gdyż wiedziałem, że ten sen przywrócił mu siły. Niemniej musiałem go teraz obudzić, bo gotów był spać do rana, a tym samym całe pół dnia naszej podróży byłoby niewykorzystane. A szkoda.
Też odzyskałem na tyle dobre samopoczucie, by chcieć kontynuować me opowiadanie. Podszedłem więc do śpiącego, ale nim zdążyłem położyć mu rękę na ramieniu, lub odezwać się, by obudzić go głosem - otworzył oczy i spojrzał na mnie od razu przytomnym wzrokiem. Spał więc niezbyt głęboko, albo już wcześniejszy sen przywrócił mu pełnię sił i teraz drzemał zaledwie.
„No! Jak tam?" - zapytałem.
Potarł dłonią czoło i przeciągnął się.
„W porządku." - odpowiedział - „Ruszamy?"

„Ruszamy.” - powiedziałem - „Czekam na dole w barze.”
Zszedłem po schodach i zamówiłem dwie mocne arabskie kawy.
Po chwili siedział przy mnie i wspaniale aromatycznym wywarem podawanym w miedzianych naczyniach z drewnianą rączką, przeganialiśmy resztki popołudniowego odpoczynku.
Kawa zrobiła pożądane wrażenie, to też udaliśmy się wolnym krokiem z powrotem nad rzekę. Upał ustąpił, więc nic już nam dziś nie miało przeszkadzać.
„ No, dobra!” - powiedział - „Ruszamy w najtrudniejsze! Opowiedz mi o zasadniczej strukturze tego świata.”
„Tego świata?” - zdziwiłem się na niby, bo wiedziałem o co pyta, ale jeszcze zastanawiałem się jak rozpocząć wyjaśnienia.
„Tego, albo tamtego.” - zażartował.
„Tego, tego!” - powiedziałem śmiejąc się uspokajająco - „Z resztą nie ma innego. Ten to jest tamten! Bo wszystko jest doskonałą jednią.”
„W porządku! Ale opowiadaj po kolei.”
„No, dobrze.”
Chwilę skupiałem się, by nie rozpoczynać zbyt chaotycznie. Mój Rozmówca nie przeszkadzał mi w tym teraz.
Zacząłem w końcu.
„Musisz sobie wyobrazić...
...mózg twój jest w stanie to zobaczyć... bo same słowa nie potrafią o tym poinformować...
...że wszystko...! wszystko co istnieje...
...te ziarenka piasku, atomy z których one się składają i te jeszcze mniejsze drobinki, o których już wie dzisiejsza fizyka jądra atomu...
...a także rozmieszczone w kosmicznej przestrzeni słońca, gwiazdy, planety i wszystko inne, o czym wiemy czy nie wiemy jeszcze że istnieje...
...że wszystko to jest jedną całością.
Jednią!
...że to wszystko jest we wszystkim ciągle...
...od początku...
...jeśli jakiś początek możemy sobie w tym wypadku wyobrazić...
...po wsze czasy... zawsze... wiecznie.
Ta jedność istnienia nie może mieć nigdy końca...
...to jest ciągłe, bezustanne trwanie...
...niewyczerpane... wszechogarniające istnienie w bezustannym i harmonijnym rozwoju...
Człowiek, jako ciało...
...a także jako mózg...
...należy również do tej całości...
W owej całości nie ma żadnych miejsc pustych... miejsc, w których można by sobie wyobrazić jakieś nic... nie...!
...To istnienie jest doskonale wypełnione...
...i chociaż w modelu, który chcę ci za chwilę przedstawić taka pustka będzie się jakoby narzucać, to wyniknie to jedynie z tego, że język nasz, słowa, którymi się posługujemy nie jest w stanie zawrzeć żadnego modelu, który jest nie tylko jednią, ale i pełnią.
Pełnią!
Zapamiętaj to!
Nie jest w stanie, bo słowa starają się... taka już ich natura...
...starają się pojęciować poszczególne części tej całości, a nie całość jako taką!
Słowa dotyczą fragmentów, które są przez nie jakby wyjęte z całości na chwilę. Tak z resztą postępuje cała nauka...
...wyjmuje fragmenty by móc się im przyjrzeć, zbadać je.
W tym celu musi je jakby na chwilę zatrzymać.

Zatrzymać!
Bo tak w istocie...
...wszystko co istnieje jest w bezustannym ruchu...
...choć czasem wydaje się, że trwa w bezruch.
To jest złudzenie tylko.
Zapamiętaj to też dobrze!
Zapamiętaj, że wszystko jest w ruchu, gdy będziesz starał się wyobrazić sobie to o czym właśnie mówimy.
Nauka, zatrzymując poszczególne fragmenty istnienia...
a ponad to wyjmując je jakby z kontekstu tego ruchu...
...nie może tym samym odkryć ich istoty...
...poznaje jedynie ich strukturę chwilową i opisem tej chwilowej formy istnienia się zajmuje.
My musimy docierać do tego niepoznawalnego dla nauki poziomu. On jest przedmiotem naszego poznania.
Nie naukowego!
Bo tak to się dziś nie nazywa...
...ale mózgowego...!
Poznamy tą rzeczywistość naszym mózgiem, bo jak ci wczoraj powiedziałem - to on jest właśnie i jedynie zdolny tego dokonać.
Ale też nie będzie nam tu chodziło o poznanie istoty tych cząstek...
...tych przedmiotów, tych drobinek!
I wcale nie dla tego, że są one bez znaczenia!
Jako niezbywalne części całości mają one równe sobie, wielkie znaczenie!
Nie będziemy się zajmować przedmiotem, bo cała wiedza o nim wynika jedynie z wiedzy o całości.
Wszystkie prawa dotyczące całości, dotyczą też najmniejszej jej cząctki...
Tak samo rzecz się ma ze strukturą całości i cząstki.
Spróbujemy więc dotrzeć do całości...
...ją poznać...
...dowiedzieć się czym ona jest.
Potem już będziemy też wiedzieć czym są jej poszczególne części."
Szło dobrze, ale nie miałem jeszcze zaufania do siebie, do swego opowiadania, więc chciałem upewnić się, czy mój Rozmówca nie traci kontaktu.
„Rozumiesz to?" - zapytałem
„Na razie tak." - odpowiedział - „Chociaż ciśnie mi się oczywiście tysiące pytań."
„Powstrzymaj się z nimi jeszcze." - poprosiłem -„Przyjdzie na nie czas. Teraz nie jest najlepszy moment."
Zrozumiał to, więc jedynie kiwnął głową i zapalił kolejnego papierosa, jak zwykle wyrzucając zapałkę przez ramię do tyłu.
„Mogę opowiadać dalej?" - zapytałem.
„Możesz." - odpowiedział.
Zwolniłem kroku, by zbyt pospiesznym rytmem nie przyspieszać też toku myślenia.
„Wszystko to..." - mówiłem - „... co jest...
...co widzimy, dotykamy, co możemy ogarnąć naszymi zmysłami, a także to wszystko co istnieje, a z czym nasze zmysły skontaktować się nie mogą, bo posiada to jakoby inną naturę...
...wszystko to jest chwilową, ale niesłychanie konkretną mutacją energii...
...jej jakby chwilowym wcieleniem, zmaterializowaniem się jej.
Energii wszechogarniającej wszystko...
...nawet siebie...
...bo wszystko jest właśnie energią w ustawicznym, niezatrzymywalnym procesie rozwoju.
Człowiek jest też jej szczególnym momentem...

jej postacią jako jej składnik....
...wszystko jest postacią energii!
Będziemy to tak nazywać, choć słowo to nie jest dobre, ale innego na razie nie mamy.
Nie jest dobre, bo ta energia jako całość ma też swą postać, jakby kształt czy formę.
Ale jest ona nam - większości ludzi - tak mało znana, że słowo postać możemy sobie roboczo stosować do innych, bardziej szczegółowych jej przejawów. Postać, forma!
Tych słów będziemy używać!
Przy czym należy zawsze pamiętać, że ponieważ wszystko to jest w bezustannym ruchu...
...to ta postać, ta forma jest przejściowa...
...jest w rozwoju...
...jak zresztą cały układ, jak całość.”
Musiałem przerwać na chwilę.
Rzeka płynęła leniwie i wydawała się bezkresna, przeciwległy brzeg tonął w przedwieczornej mgle. Usiedliśmy znów na skalistym brzegu.
Mój Rozmówca był podniecony. Niestety palił papierosa za papierosem, co wyraźnie skracało czas jego pełnej aktywności. Ale słuchał uważnie tego co mówiłem.
„Te postacie, te formy istnienia energii...” - mówiłem dalej - „... komunikują się ze sobą.
Komunikują się bez przerwy, nieustannie. Jest to jakby ich cechą podstawową.
Ta komunikacja nie jest tylko wymianą informacji, chociaż jest nią w dużym, może nawet zasadniczym stopniu....
...informacja nie jest tu najlepszym określeniem, ale nie ma lepszego na razie....
...Ta komunikacja jest przekazem wzajemnym koniecznych dla rozwoju poszczególnych form tej energii elementów....
...rozumiesz...?
... a więc nie tylko informacji...!
...wszystkich elementów koniecznych do rozwoju!
Skoro powiedzieliśmy, że istnieje pomiędzy tymi formami jakiś rodzaj komunikacji, to musimy sobie zdać sprawę z tego, że muszą też istnieć drogi tej komunikacji...
Tu już przybliżamy się do pojęcia struktury tego całego istnienia.”
Przerwałem na chwilę. On wszedł mi w zdanie.
„No właśnie! Teraz będzie najważniejsze. Skoro nie słowo...”
„Masz rację! - potwierdziłem - „Ale co tu jest w tym wszystkim najważniejsze...?”
„O.K.! Mów dalej”
Chwilę odpoczywałem, by obciążyć go kolejną porcją informacji. Ileż czasu będzie potrzebował, by te informacje zabsorbować? Zostawmy to na razie.
„Znowu będziemy musieli posłużyć się tu jakimś wyobraźniowym modelem. - powiedziałem - „To trudne, tym bardziej że modele takie mogą jedynie prowadzić nas do jakiejś wiedzy o tym czego dotyczą. Nigdy nie są dokładne, nigdy nie stanowią wiedzy samej w sobie. Są jedynie sygnałem, nadaniem kierunku, w którym idąc, można się do tej wiedza przybliżyć.
Bo wiesz...” - pozwoliłem sobie na drobny margines, chcąc dodać mu jakby otuchy, przed czekającą go za chwilę trudnością - „...wiedza jest czymś w rodzaju iluminacji...
...przychodzi nagle...! jakby w całości od razu!
Ale nie martw się.
Skoro już próbujemy razem przebić się przez tę granicę, to pomogę ci. Powiem ci w pewnym momencie - jak możesz tego dokonać.”
Po chwili kontynuowałem mą wypowiedź.
„A więc model...
...wyobraź sobie, że to wszystko zbudowane jest...
...że ta struktura polega na tym....
...albo raczej można by ją porównać...
...do układu niezliczonej ilości, i nieograniczenie wielkich sieci...

...sieci, które są ze sobą skrzyżowane, które przenikają się wzajemnie we wszystkich możliwych kierunkach....
...widzisz to?”
Długo nie odpowiadał.
Ciemność zapadała powoli, ale nieuchronnie.
Wiedziałem, że czas dzisiejszej rozmowy równie nieuchronnie zbliża się do końca. Czas, możliwości percepcyjne, możliwości przekazu z mojej strony... Te przecież też nie są nieograniczone.
„Widzę.... jakoby.” - odpowiedział w końcu.
„Dasz radę jeszcze parę chwil się skupić?” - zapytałem.
„Tak!” - odpowiedział - „Jeszcze parę chwil.”
Próbowałem więc dokończyć.
„Ta sieć...
...te sieci ze sobą współistniejące...
...mają swe nici i punkty, w których są związane...
...węzły...!
...te nici są jakoby drogami przekazu tego wszystkiego, co w poszczególnych miejscach tego układu jest mu do dalszego rozwoju potrzebne...
...te węzły...
Pomyślałem, że może już dosyć na dziś, że pewnie nasze możliwości porozumienia wyczerpały swe zasoby. Postanowiłem więc kontynuować tą myśl następnego dnia.
Powiedziałem więc.
„Ale te węzły i te nitki, to już inna sprawa.”
Słońce straciło swój blask nam objawiony i skrywszy się za pobliskie góry odebrało jaskrawość wieżom i oknom miasta, które zasypiało właśnie. Na nieboskłon wdrapywał się mozolnie księżyc, a figle granatowiejącego powoli nieba przemieniały się w gwiazdy, planety i satelity, które pociągają wyobraźnię ku nieogarnionym przestrzeniom, gdzie myśl gubi się w swej małości.
Biegliśmy wolnym truchtem wysokim brzegiem wzdłuż rzeki ku czarnym cieniom miasta rysującym się na tle granatowego sierpniowego nieba, nieba pełnego migoczących wesoło gwiazd, planet i satelitów, przekazujących ludziom w domach miliony informacji z całego świata, który jest przecież niewiele znaczącą kropeczką w nieogarnionej przestrzeni naszego istnienia. Informacji potrzebnych i niepotrzebnych, prawdziwych i zmyślonych, dobrych i złych - w tym moje kilka słów w sieci internetu - słów, które są wołaniem o zgodę na poznanie nieznanego.
Czy ktoś je usłyszy?
Nie zginą, bo są! Weszły w skład wszechogarniającej nas energii.
Dzisiejszy dzień przyniósł mi mniej satysfakcji od wczorajszego.
Wprawdzie zaczynałem coraz lepiej używać znanych mi słów, a więc próba języka okazywała się jakby bardziej skuteczna niż przedstawiał mi ją początkowy strach, ale za to weszliśmy w sprawy, które jeszcze trudniej było przekazywać.
No cóż! Bywają przecież dni lepsze i gorsze.
Jutro będę musiał nadać mej opowieści dodatkowej intensywności.
Jeśli zdołam?
I jeśli mój Rozmówca zdoła opanować swą ciekawość na tyle... a raczej swą niecierpliwość... na tyle, by spokojnie odbierać mą opowieść.
Dziś chciał za szybko dotrzeć do sedna. To dopiero drugi dzień. Mamy ich jeszcze pięć, więc nie ma co tracić nadziei i strać się przeskoczyć ten mór, przez który należy po prostu przejść.

ROZDZIAŁ IV - PODROZY DZIEN TRZECI
CZŁOWIEK I ENERGIA ISTNIENIA

Krótka noc, i dłuższy, bo czterogodzinny przelot rozpoczął trzeci dzień naszej podróży. Hotelowy samochód wiózł nas na lotnisko, gdy z nad rzeki budził się gwałtowny świt.
W tej części świata dzień graniczy niemal bezpośrednio z nocą.
To co w Europie nazywamy porankiem, świtem, zaraniem, co od pojawienia się pierwszych słonecznych promieni, jeszcze nie na ziemi bo dopiero na wschodnim nieboskłonie, trwa do chwili gdy słońce wzejdzie ponad las, góry, czy chociażby równinny horyzont - tu odbywa się w ciągu kilku zaledwie minut. Pustynia ożywa wybuchem. Przed wschodem słońca temperatura nocy potrafi spaść niemal do zera, by po chwili skąpane w słońcu powietrze osiągało prawie od razu blisko 30 stopni Celsiusza.
Taki rytm natury ma oczywiście duży wpływ na człowieka, na jego biologiczny zegar, typ i długość pełnej aktywności, na jej zmienne okresy w ciągu dnia, na intensywność odpoczynku w ciągu nocy. Nasz, europejski organizm również odpoczywa tu intensywniej. Gdy temperatura pozwala wpada się w głęboki sen, choć stosunkowo krótki.
Nim upał dał się nam we znaki kręciliśmy się już po klimatyzowanej hali dworca lotniczego, pośród różnokolorowych tłumów. Wczesna pora na tutejszych lotniskach charakteryzuje się jeszcze tym, że przeważają na nich miejscowi pasażerowie. Rano odlatuje tu bowiem wiele samolotów ruchu wewnętrznego. Linie przywożące i odwożące turystów we wszystkich kierunkach kuli ziemskiej, budzą się nieco później. Nasz samolot był wobec tej zasady wyjątkiem, ale też przybył tu niedawno z niemal drugiego końca świata, by po wymianie załogi i zatankowaniu kolejnej porcji paliwa wyruszyć w dalszą drogę, uzupełniwszy komplet pasażerów o takich jak my, dosiadających tutaj dopiero. Cały postój trwa nie wiele ponad godzinę, to też formalności odlotowe trzeba było załatwić sprawnie i żywo. Wiedziałem z doświadczenia, że na tutejszych lotniskach pojawiają się czasem nieprzewidziane trudności ze strony służb bezpieczeństwa lotów, gdyż ten rejon naszego globu od lat nie należał niestety do spokojnych. Zdarza się czasem, że w związku z takimi perturbacjami traci się nawet cały dzień, co w naszym dzisiejszym przypadku mogłoby pokrzyżować wszystkie tak żmudnie i dokładnie przygotowane plany. Nic więc dziwnego, że były to dla mnie emocjonujące chwile i odetchnąłem z ulgą, gdy bez dodatkowych problemów znaleźliśmy się w końcu w samolocie.
Chwilę po starcie przekroczyliśmy rzekę, a potem już tylko pustynia przecięta wąskim paskiem biblijnego morza. Gdy ujrzymy pod sobą góry w białych czapach śniegu, będzie to znak, że zbliża się nie jeszcze nasz dzisiejszy cel, ale przesiadka do innego samolotu. Na naszym obecnym odcinku lotu maszyny, która w tym rejsie niemal ziemię okrąża, było niewielu pasażerów, to też mogliśmy rozsiadłszy się wygodnie na kilku pustych miejscach rozpocząć nasze dzisiejsze rozmowy już w powietrzu. Po szybko podanym śniadaniu i porcji napojów nikt nam już nie przeszkadzał. Mój rozmówca był wyraźnie aktywny i dążył do przerwanego wczoraj tematu.
Zaczął też ostro.
„A więc sieci..” - przerwał.
„No właśnie...” - odpowiedziałem.
„Niezliczona ilość?...”
„Tak!”
„Niezliczona ilość węzłów?..”
„Tak!”
„I to wszystko bez początku i końca?..”
„Bez początku i końca!..”
„Zarówno w czasie jak i w przestrzeni?.. „
„Zarówno w czasie jak i w przestrzeni!” - potwierdziłem.
Zamilkł na chwilę i jakby zagłębił się w siebie.
Nie chcąc tracić jego aktywności, a jednocześnie bojąc się, by na podstawie tego pierwszego modelu nie zaczął bez mej pomocy sam poszukiwać, czułem, że muszę

natychmiast pociągnąć opowieść dalej. Przedstawiony mu model z sieciami był zbyt prymitywny, by nieść w sobie wystarczającą ilość informacji do samodzielnych poszukiwań. Postanowiłem też natychmiast ujawnić to przed mym Rozmówcą.
„Ale pamiętasz o tym co powiedziałem ci wczoraj?” - zapytałem przerywając niepotrzebną ciszę.
„Co, czy pamiętam?”
„Ze te sieci, to tylko model.”
„Pamiętam!” - odrzekł.
„Tylko jeden z możliwych modeli!”
„Tak!”
„I że wszystkie będą właściwie niedoskonałe.”
„Wszystkie?” - w jego głosie posłyszałem jakby cień zawodu i może jakiegoś dziecinnego zdenerwowania, złości nawet..
„No oczywiście!” - powiedziałem - „Zaden model nie może być doskonały. Nwet w newtonowskiej fizyce nie jest to możliwe.”
„Dlaczego?”
„Bo model jest tylko rodzajem symbolu. Symbolu pozwalającego jakoby jedynie znaleźć trop.”
„Trop?”
„Tak! Trop, po którym każdy, kto nie zna tajemnicy jakiegoś odkrycia, może podążać przed siebie. Trop, który jest stosunkowo niezawodny. Który prawdopodobnie wiedzie do celu, ale ten cel nie jest wcale na tyle bliski, żeby był szybko osiągalny.”
„Czyli jego wartość informatywna jest niewielka?”
„Stosunkowo niewielka. To prawda! Ale jakoś trzeba ruszyć z miejsca.”
Znowu się zasępił.
Dziś dziwne było w nim to, że jakby nie pozwalał mi rozwinąć myśli. Nerwowo zadawał pytania, wiele pytań, krótkich nerwowych, często urywanych. Powoli zaczynałem się zastanawiać nad tym czy godzić się w ogóle na taki typ rozmowy. Ważyłem wszystkie za i przeciw.
Nie było to dla mnie wygodne!
Ale czy w takiej formie przekaz nie był możliwy? Był! Oczywiście! Ale wymagało to ode mnie nadzwyczajnego, wręcz niemożliwego do osiągnięcia skupienia i uwagi. Bowiem w tak rozwijającej się rozmowie nie ma miejsca na poprawkę własnych błędów. Trzeba niemal każdym słowem trafiać najbliżej celu, bo odbierający odpowiedzi jest też niesłychanie na nich skupiony. Jego umysł jest jakby w całości otwarty. Otrzymywana informacja gwałtownie szuka jakiegoś porządku, błyskawicznie zapada w pamięć i to zwykle w kontekście już posiadanych informacji - wzbogacając je lub likwidując, gdy są z tą wiedzą sprzeczne. W najlepszym wypadku można błędną informacją narobić w już nieco uporządkowanym systemie ponownego bałaganu. Ale czy jest to w ogóle jakiś wypadek, który informator może zaakceptować? Taki bałagan porządkuje się potem z większym trudem niż buduje system od nowa. Czasem całość włożonej pracy idzie w ogóle na marne.
Jak więc widzicie, zgoda na dalsze prowadzenie rozmowy w takim stylu wymaga od opowiadającego niesłychanie poważnej i odpowiedzialnej decyzji. Ale czasem jest ona wymuszona!
Odbiorca informacji ma przecież w takim procesie również swe prawa. Musi je mieć, bo w przeciwnym wypadku informacja zaczyna być nieznośnym obciążeniem, zaczyna uwierać. Człowiek zaczyna od niej uciekać, zamykać się. Zaczyna negować nie tylko wartość samej informacji, ale nawet w drastycznym przypadku przeciążenia może dojść do całkowitego zanegowania człowieka, który tych informacji udziela. Zaczyna on być postrzegany przez odbiorcę jako agresor, który chce w nasz mózg wtłoczyć coś niewygodnego, jako ktoś kto w tym mózgu nieznośnie miesza, gwałci jego suwerenność.

Jest to przecież proces zasadniczej rewizji pojęć!
W takim przypadku człowiek musi odczuwać jakiś zdecydowany dyskomfort! Musi odczuwać, że częściowo traci grunt pod nogami, że dalej słuchając może go stracić całkowicie, a cały system nowych pojęć trzeba będzie budować od nowa. Swiadomości takiej musi zwykle towarzyszyć strach!
I to strach nie tylko przed utratą gruntu pod nogami! Strach również przed partnerem takiej rozmowy. Bo człowiek zdaje sobie sprawę z tego, że gdy już ten grunt zostanie zburzony, gdy stary system pojmowania rzeczywistości, a więc w miarę swobodnego i bezpiecznego poruszania się w niej będzie już nieaktualny, a nowy będzie jeszcze nieuporządkowany, chaotyczny, bo ogarnie zrazu same nowe pojęcia, nowe płaszczyzna pojmowania, nowe zakresy rzeczywistości, nie wytwarzając jeszcze nowego systemu dającego się w pojmowaniu świata stosować - że w tym czasie pozostanie się niemal całkowicie zależnym, podporządkowanym komuś innemu. Informatorowi oczywiście.
I ten stan jest właściwie dla człowieka nieznośny! Jest po prostu wysoce nienaturalny, a przynajmniej nieznany.
Dużo ciekawej wiedzy na ten temat można uzyskać zapoznając się ze wspomnieniami różnych wizjonerów, czy ludzi, których w różnych religiach określa się jako posiadaczy objawienia. Bezpośredniego kontaktu z wielką, nie przewidywaną przez człowieka tajemnicą!
Zjawisko nie jest proste! Bo przecież człowiek żyje - powiedzmy - obok tajemnicy. W takim pobliżu żyje bezustannie. Nie ma przecież nikogo, kto nie miałby poczucia niezliczonych ilości tajemnic nas otaczających.
Z kolei uwaga wizjonera jest zawsze skierowana na jakiś dość konkretny rodzaj tajemnicy, na jakiś tajemniczy obszar! Oczywiście mówimy o uwadze takiego człowieka przed zaistnieniem wizji. Po wizji rzecz ma się nieco inaczej!
Na przykład dla św. Bernaderty istnienie Matki Boskiej nigdy nie przedstawiało kwestii. Było oczywistością po prostu. Co więcej! Jej normalna ludzka wyobraźnia pracowała w tym temacie. Jakiś obraz Matki Boga rysował się przed jej „oczami” zawsze. Nie była to wszak wizja! Nie było to objawienie! Nie był to kontakt z żadną tajemnicą! Zadne jej poznanie! Niemniej była to świadomość tej tajemnicy. Swiadomość, że ta tajemnica istnieje.
I co z tego?
Gdy ten kontakt w końcu nastąpił, gdy tajemnica się objawiła w swej istocie - nastąpił strach! Tak! Zwykły człowieczy strach! To oczywiste!
Doskonale to rozumiałem.
Bo przecież od tej chwili nic już nie jest takie jak było przedtem.
Poznanie czegoś co istnieje, a co stanowiło dla człowieka sferę tajemnicy, sferę zamkniętą niejako - powoduje, że wszystko jest nowe, bo istnieje już jedynie jakoby w świetle tej uzyskanej wiedzy. A to światło jest podstawą wszystkiego. Ono właśnie objawia niejako całą resztę rzeczywistości istniejącej dookoła nas od dawna. Tylko ono nadaje tej rzeczywistości zarówno kształt jak i charakter - sens.
Cały poprzedni obraz świata rozsypuje się w gruzy w jednej chwili.
W takiej sytuacji znajduje się każdy wizjoner, każdy kto przekracza jakiś próg tajemnic nas otaczających. Jeśli jest to próg w granicach naszej, zmysłowej struktury - stres jest oczywiście mniejszy, aczkolwiek wystarczająco duży by stanowić przedmiot wielokrotnych i wielorakich opisów uczuć i stanów psychicznych wielkich odkrywców praw natury. Pomimo, że jest to zwykle powolny wynik odsłaniającej się tajemnicy, wynik żmudnej pracy, której finał jest jakby wcześniej coraz bardziej znany badaczowi i nie stanowi zupełnego zaskoczenia.! Jednak jest to też moment ostateczny poznania. Moment niewątpliwie przełomowy.
Natomiast dokonanie odkrycia w sferze struktury pozazmysłowej, to znaczy takiej, o której nasze zmysły nigdy nigdzie nie dawały nam jakiegokolwiek świadectwa, a być może

jedynie prowadziła nas tam wyobraźnia, przeczucie, pragnienie czy intuicja - musi być przeżyciem wszechogarniającym naturę człowieka. Jest tak, jak w przypadku bezpośredniego, osobistego kontaktu z Bogiem.
Jednak wizjoner religijny znajduje się w jeszcze innej sytuacji niż odkrywca innej struktury. Jest to sytuacja chyba lepsza! Gdyż doznanie istnienia Boga dużo przecież rozwiązuje. Dalej już wszystko jest proste, bo nic innego się już liczyć nie może. Wszystko, co najważniejsze zostało rozwiązane. A jednak....
Może trzeba będzie jeszcze wrócić do tego tematu?...
Teraz jednak najważniejsze dla mnie było to by zdać sobie sprawę z dwóch rzeczy; pierwsza - to ta, że Rozmówca mój znajduje się w sytuacji wyjątkowo trudnej i że z faktu tego powinny, a nawet musiały wynikać jego szczególne prawa, druga - to mój obowiązek przyjęcia teraz choćby formy rozmowy, którą może nieświadomie proponował, forsował, a która choćby częściowo przywracałaby mu konieczne poczucie komfortu psychicznego. Formy agresywnej, zaczepnej, nerwowej, ale za to formy, w której czuł się teraz najlepiej. Bo była to przecież w istocie rzeczy forma obrony przez atak, obrony przed zbliżającą się sytuacją utraty gruntu pod nogami, sytuacją, której nadejście przeczuwał już.
Nie miałem więc właściwie wyboru. Chcąc realizować plan swego opowiadania, chcąc w ogóle dalej rozmawiać z mym Rozmówcą musiałem przyjąć tę niezmiernie trudną i niewygodną dla mnie formę.
Przerwałem więc nasze milczenie.
„No to co? Jedziemy dalej?” - zapytałem.
„Jak chcesz.” - odpowiedział.
Pozorna pasywność była dla mnie dowodem, że nie myliłem się w ocenie sytuacji. Był bliski rezygnacji z naszego programu.
„A więc te modele...”
„Co tam modele..” - przerwał - „Może powiedziałbyś w końcu wprost jak to jest!” - zaatakował mnie z niechęcią w głosie.
Roześmiałem się.
„Przecież cały czas mówię!”
„A ja coraz mniej rozumiem!”
„No dobrze, ale..”
„Nie! Nie dobrze. Wręcz źle!” - jego agresja wracała, co wcale nie było dla mnie złym znakiem.
„Może będzie lepiej?” - zapytałem wesoło, próbując czy nie da się napięcia choć trochę rozluźnić.
„Może?” - zgodził się bez przekonania.
„No to spróbujmy.” - zaproponowałem.
„O.K.” - zgodził się.
Wróciłem więc do przerwanego wątku.
„Z modelami to jest tak! - nigdy jeden nie wystarczy, by posunąć się do przodu...”
„A ile?” - zaczepiał mnie wyraźnie, ale postanowiłem nie reagować.
„No! Co najmniej dwa.”
„ Dwa? Dlaczego?”
„Dlatego, że jeden model, jeśli pozostaje samotny, jest jakby płaski. Nie informuje, a też nie stwarza żadnej alternatywy....”
„Zauważyłem!” - zachowywał się teraz zupełnie jak rozpieszczony szczeniak, ale zauważyłem, że reaguje natychmiast, co było znakiem, że słucha uważnie i aktywnie. To było najważniejsze.
„No właśnie. Trudno więc być z takiego modelu zadowolonym.”
I ciągnąłem dalej.
„Istnienie co najmniej dwóch modeli stwarza pewnego rodzaju konieczne napięcie między nimi. Napięcie konieczne by coś z tego wynikło.”

„Napięcie?” - zapytał już spokojniej.
„Tak!” - potwierdziłem, też spokojniej, gdyż mogłem teraz lepiej kierować rozmową, czując rosnące zainteresowanie.
„Elektryczne?”
„Nie elektryczne! Przecież takie modele istnieją jedynie w słowach, w wyobraźni.”
„No tak!” - potwierdził - „Ale tam, w mózgu jest przecież prąd. Biofizyka stwierdziła ponad wszelką wątpliwość...”
„Tak!” - przerwałem żywiej, bo zacząłem podejrzewać, że zaczyna droczyć się nieodpowiedzialnie.
I zaraz dodałem.
„Ale teraz nie mówimy o mózgu, tylko o zależności modeli jakiejś struktury, które mogą istnieć w ogóle. Również poza mózgiem...”
„No dobrze, przepraszam!” - sam się złapał na tym, że jego zaczepki od pewnego czasu były jedynie zaczepkami dla samych siebie i że nie służyły już posuwaniu tematu do przodu.
Ucieszyło mnie to, że to zrozumiał.
„O.K.” - powiedziałem.
Postanowiłem jeszcze raz kontynuować temat. Gdyby się to nie udało, trzeba by w ogóle przerwać rozmowę i czekać na lepszy moment.
„A więc to napięcie...” - zacząłem - „...polega to na tym, że pomimo iż są to modele właściwie tego samego, tej samej struktury, różnią się od siebie.”
„Zawsze?”
„No tak! Zawsze! W przeciwnym wypadku nie ma sensu tworzenie dwóch modeli.”
Ale chodzi o to, czy one różnią się zasadniczo.”
„Raczej tak! Im bardziej ogarnia nas zdziwienie, że mają dotyczyć tego samego, a są tak sobie różne - tym lepiej.”
„Dlaczego?”
„Z wielu względów, ale teraz powiedzmy tylko, że im bardziej się różnią, tym większe występuje między nimi napięcie. To napięcie jest konieczne. Zaraz do tego wrócimy.”
„Czym jest ten drugi model?
„No właśnie! Teraz uważaj!” - dodałem - „On jest jakoby kolejnym przejawem tej samej rzeczywistości. Jakby tym co widać, gdy popatrzy się na coś od innej strony. Dlatego musi się różnić od pierwszego modelu, ale jednocześnie musi być mu niesłychanie bliski. Bo jest innym modelem tej samej rzeczy. Rozumiesz?”
„Może. Ale mów dalej!”
Oczywiście skorzystałem z tej zachęty, bo była też sygnałem, że jego agresywność ulega jakoby rozładowaniu.
„Tak jak poprzez pobranie krwi z żyły na ramieniu, poprzez zbadanie jej można orzec coś na przykład o wątrobie człowieka, bo jest to dobranie się do organizmu z innej niż wątroba strony.... ale jednak dobraniem się do tego samego organizmu co wątroba - tak poprzez stworzenie drugiego modelu badamy jakoby pierwszy.
To nie jest takie proste, ale pomyśl - wiemy, że coś przedstawia nam rzecz x, a jednocześnie jest bardzo różne od czegoś co stara się nam tę samą rzecz przedstawić tak samo! Tak samo! Rozumiesz?”
„Tu się trochę zgubiłem.” - przyznał.
„Nie ma problemu!” - uspokajałem go - „Posłuchaj.”
Był teraz naprawdę skupiony.
„Oglądasz dwa zdjęcia tego samego człowieka, które zrobiono - oba - po to samo. By obraz tego człowieka utrwalić, by ktoś, kto te fotografie zobaczy dowiedział się jak ten człowiek wygląda. I co?
Patrzysz na nie i widzisz, że albo to nie jest ten sam człowiek, albo wygląda inaczej na jednym i na drugim zdjęciu.

Natychmiast musi ci się narzucić myśl, że jeśli na obu jest rzeczywiście ten sam człowiek, to pomiędzy jednym a drugim zdjęciem jest...”
„Czas!” - wykrzyknął niemal - „Czas! Ze upłynął czas!”
„No właśnie! Między jednym a drugim zdjęciem coś jest! Ty to nazwałeś czasem, W porządku! Może być jeszcze coś innego! Na przykład drastyczna różnica w technice robienia obu zdjęć. To jest mało ważne. W zasadzie obojętne co! Ważne jest dla nas, że jest to coś!”
„No więc?” - poganiał mnie teraz.
„No więc, jeśli chcemy teraz, jeśli możemy poszukiwać odpowiedzi na pytanie - co było, czy co jest pomiędzy tymi dwoma zdjęciami - jeśli możemy to badać, to będące pomiędzy nimi napięcie, ta niezgodność właśnie jest podstawą naszego zainteresowania. Bez tego napięcia nie byłoby problemu. Nie byłoby pytania. Jasne?”
„Prawie!” - odpowiedział zadowolony.
„Tak samo jest z naszymi modelami, tylko....”
„...że nie chodzi w tym wszystkim o czas!” - wykrzyknął niemal przerywając mi nagle.
„Zgoda.” - powiedziałem zaskoczony, nie tyle tym wybuchem, co trafnością jego obserwacji.
Postanowiłem teraz na chwilę oddać inicjatywę memu Rozmówcy.
„A o co?” - zapytałem.
„No!” - zastanowił się - „Na przykład o przestrzeń?”
Tym razem spudłował, ale rozumiałem na czym polega jego błąd, to też postanowiłem tylko zwrócić mu nań uwagę, a skorygować go później.
„No!” - pozwoliłem sobie na naśladowanie jego tonu, co mogło dalej jeszcze rozluźniać coraz lepszy nastrój rozmowy - „Nie zupełnie! Nie o przetrzeń tu chodzi!”
„Nie o przestrzeń? Więc o co?” - zdziwił się.
„Powiedziałem - niezupełnie” Więc i trochę o przestrzeń. Ale wrócimy do tego potem. Teraz zwróćmy uwagę na...”
„... to napięcie!” - dokończył znowu trafnie.
„Właśnie! To napięcie między naszymi modelami jest dla nas pytaniem - co też znajduje się pomiędzy nimi? Czym to napięcie w istocie jest? Przez co ono przechodzi, co je wypełnia?”
„Teraz rozumiem!” - wykrzyknął - Bez tego napięcia nie wiedzielibyśmy gdzie szukać tej struktury.”
„Brawo!” - ucieszyłem się - „Rzeczywiście! Jeżeli coś jest opisem czegoś i drugi opis tego samego do pierwszego nie przystaje, to pomiędzy nimi musi coś być, co stanowi tą istotną treść, która wypełniwszy różnice między modelami, czy opisami spowoduje, że różnica między nimi zniknie niejako! A dokładniej - że będzie widać jakiej całości one dotyczą.”
„Tak.” - zakończył teraz nasz kontakt, jakby wypuszczając z siebie powietrze, rozładowując uwagę.
Nie było co dalej rozmawiać. Zarówno mój Rozmówca jak i ja musieliśmy chwilę odpocząć. Dopiero teraz, zamknąwszy jakąś niewielką cząstkę, ale jednak zamknąwszy ją, doprowadziwszy do tego, że jako możliwa do przyjęcia informacja dotarła ona do świadomości mego Rozmówcy - poczułem ile takie zamknięcie kosztuje. Teraz dopiero doszło do mnie zmęczenie.
On też odpoczywał. Patrzył leniwie przez okno w dół.
„Pustynia, pustynia, pustynia...” - powiedział do siebie - „Aż trudno uwierzyć, że istnieją ludzie i zwierzęta, które potrafią wespół przemierzyć te przestrzenie pieszo.”
„Człowiek potrafi wszystko, mój drogi.” - dodałem, ale też zupełnie pasywnie, nie przywiązując wagi do tej banalnej myśli. Banalnej, bo wypowiedzianej ot, tak, bez głębszego zastanowienia. Ile też głębszej prawdy może kryć w sobie czasem byle jak wypowiedziane zdanie?
Odpoczywałem.

A może mi się tylko tak wydawało?
Bo zaczęły mi się cisnąć do głowy myśli wręcz zasadniczej natur. Jakby umysł mój poprawiał konspekt opowiadania, które przekazywałem memu Rozmówcy, a który przygotowałem sposobiąc się do tej siedmiodniowej podróży. Jakby bez mojej wiedzy mózg mój odnalazł w tym planie jakieś luki, niedoskonałości, braki.
Rzeczywiście! Zrozumiałem teraz, że skupiwszy się zasadniczo na strukturze, którą przede wszystkim chciałem memu Rozmówcy przekazać... może raczej wiedzę o niej, o tym jak do tej struktury docierać, jak ją poznawać - zapomniałem o człowieku. O człowieku... A przecież...
O człowieku - takim jakim jest on na ziemi - możny słowami powiedzieć niemal wszystko. A mówić można również w nieskończoność, docierając do kolejnych tajemnic jego istnienia pomiędzy granicami zmysłów.
O jego usytuowaniu w całości?
Tu, słowa zwykle nas oddalają od sedna.
Słowa są w stanie opisać człowieka działającego w czasie i w przestrzeni, choć on sam i ten czas i tą przestrzeń wielokrotnie przerasta. I tylko z tego jednego powodu mówiąc o człowieku - mówimy już o czymś co jest poza czasem, poza przestrzenią.
Pomyślcie! Tylko mówiąc o człowieku, pisząc o nim, myśląc - można przekraczać w słowach granice istnienia. Bo słowa są jakby stworzone po to by o człowieku oznajmiać. Ale tylko o nim. Bo tylko on - z poznanego przez nas świata - ten świat przerasta i wiemy o tym. Może, gdybyśmy mogli wejść w kontakt z czymś równie wspaniałym jak człowiek, równie jak on przerastającym sobą rzeczywistość, to może odnaleźlibyśmy nowe, odpowiednie słowa by o tym wzajemnie się informować?
Może?
Ale czy pomyśleliście kiedyś o tym do jakiego stopnia wybrańcami jesteście?
Tak! Wybrańcami!
I nie tylko dlatego, że mówiąc o sobie potraficie przekraczać granice zmysłowego istnienia. Cała literatura jest tego dowodem. I też nie tylko dlatego, że myślenie o człowieku udowadnia nam, że pojęcie nieskończoności jest czymś na wskroś realnym, bo człowiek jest taki i wiemy, że nigdy nie wyczerpie się jego opisu, choćby poświęcić temu nieskończoną ilość tomów. Bo człowiek jest nieskończony! I nie tylko dla tego, że jest jako istota zarówno przeszłością, jak i niewyobrażalną przyszłością, jego granice nie dadzą się pomyśleć. I nawet nie to jest tym znakiem jego szczególnego, może jedynego wybrańswa. Tym znakiem jest...
Tym znakiem jest to, że tylko człowiek może poznawać! Ze tylko on może przenikać granice światów, ba! - światy same. Ze przekracza je własnym działaniem! Istnieniem samym nawet! Ze to właśnie działanie - działanie człowieka, jego mózgu jest tym przekraczaniem.
Czy rozumiecie, że przekraczając tak kolejne granice można ogarniać coraz to więcej struktur pozazmysłowych, a tym samym można poszerzać język ludzki, bo skoro człowiek zagarnąłby coraz większą część to i coraz większej części całości służyłby język jemu służący.
Nie wiem jeszcze! Jeszcze mówię do was nieudolnie, niedostatecznie jasno, ale może już zaczynacie rozumieć o co idzie gra?
Może chociaż zaczyna to rozumieć mój Rozmówca?
Odpoczywaliśmy jeszcze.
Lecieliśmy już ponad dwie godziny, więc wstałem ze swego miejsca by nieco rozprostować kości. Przegiąłem tułów parę razy do tyłu odpychając rękami opartymi o biodra krzyż do przodu, potem splótłszy ręce za karkiem odepchnąłem je silnie kilka razy ku tyłowi wypinając jak to tylko było możliwe do przodu klatkę piersiową. Krążenie krwi wracało powoli do normy, zakłócone długo utrzymywaną w samolotowym fotelu, mało naturalną pozycją ciała.

Mój Rozmówca również wstał i przechadzał się chwilę wzdłuż przejścia pomiędzy rzędami foteli.
Większość naszych współpasażerów spała lub drzemała.
Wróciwszy na swoje miejsce nacisnąłem przycisk wzywający stewardesę. Zjawiła się po chwili. Poprosiłem ją o dwie mocne kawy. Wiedziałem bowiem, że zbliżające się lądowanie będzie jednocześnie pożegnaniem na jakiś czas z tym trunkiem, jedyną używką do której jak się zdaje byłem przyzwyczajony. Na ile jest to przyzwyczajenie, trudno powiedzieć. Od lat nie spędziłem dnia bez kawy, więc też nie było okazji by poddać organizm próbie wstrzemięźliwości. Było to jednak bez znaczenia, gdyż nie wyglądało na to, by mi ten trunek szkodził. A przyjemność w jego spożywaniu odnajdywałem dużą.
Dlaczego o tym mówię?
Zdrowie jest ważnym elementem w życiu człowieka. Człowiek w pełni sprawny inaczej odbiera świat, inaczej na otoczenie reaguje od człowieka, któremu odczuwalnie coś dolega, lub gdy na skutek niesprawności szczególnie uświadamia sobie swe ograniczenia. Zdrowy organizm jest przecież łącznikiem pomiędzy osobowością człowieka a jego otoczeniem w inny sposób niż czynić to może organizm chory. Cielesność nasza jest narzędziem do nawiązywania kontaktu. Również inaczej pracuje mózg w stanie zdrowia ciała. Jest on jakoby uwolniony od walki z dolegliwością, bólem czy słabością i może w maksymalnej swej części uczestniczyć w poznaniu.
Nie znaczy to bynajmniej, bym lekceważył w całości istoty ludzkiej stan choroby! Mówiłem już o tym częściowo. Choroba jest równie istotnym doświadczeniem jak wszystko inne. Jest jednak doświadczeniem innej płaszczyzny.
Walka z chorobą, skupienie na tej walce wielu naszych możliwości energetycznych powoduje jakoby odejście od naturalnego kontaktu z zewnętrznością. Skupia uwagę i aktywność człowieka jakby na nim samym, na własnym organizmie. No i oczywiście stanowi trudno osiągalne dla osoby zdrowej doświadczenie kontaktu z zewnętrznością. Ta zewnętrzność jest przecież czym innym dla organizmu chorego. Inaczej nań działa, inny nawiązuje z nim kontakt. Wystarczy wskazać przykład najprostszy, a mianowicie funkcję temperatury otoczenia.
Człowiek w gorączce potrzebuje ostudzenia rozgorączkowanego ciała. Dobrze jest mu tą nadwyżkę odebrać, odczuwa to jako ulgę. Jest to zupełnie inne doświadczenie temperatury od tego, które jako wielką przyjemność odczuwa zdrowy poddając swe ciało nagrzewaniu intensywnymi promieniami słonecznymi.
Przykładów tych nie ma co mnożyć, są oczywiste. Różnica nie stanowi kwestii.
Jednak rzadko zdajemy sobie sprawę z tego, że człowiek cierpiący w sensie poznania otoczenia również nie próżnuje! Inna sprawa to to, na ile stan choroby i cierpienia pozwala mu na przemianę tych doświadczeń w jakiś typ wiedzy. Czy owo wspomniane skupienie na walce z dolegliwością nie wyklucza zupełnie refleksji nad tymi, powstałymi w tej walce związkami. Wydaje się, że nie zawsze tak być musi. Z literatury, nie tylko przecież medycznej, znamy przykłady niesamowitej nawet aktywności refleksyjnej, umysłowej u osób dotkliwie cierpiących. Stan cierpienia był dla wielu z nich bramą do wiedzy, prowadził ku istotnym odkryciom! I to w zgoła nie medycznych dziedzinach! Znane są też przecież wypadki, gdy cierpienie do tego stopnia aktywizowało mózg chorego, że znacznie przekraczał on swe, zdawałoby się - normalne możliwości. To poszerzenie z kolei prowadziło do poznania pozazmysłowego, poznania innych poziomów istnienia natury, istnienia całości. Ale wówczas....
Człowiek jako istota boi się cierpienia. Boi się, bo istnieje ono w sferze jego wiedzy i nie jest niczym przyjemnym. Ten lęk właśnie powoduje, że stan bólu przyzwyczailiśmy się uważać za stan odmienny od normalnego, powiedzmy wprost - jako stan nienormalny, patologiczny nawet.
Taka decyzja - nazwania czegoś nienormalnością, patologią - pociąga za sobą kolejne skutki, a mianowicie pozwala ludziom zdrowym, ba! - nawet tym, którzy dopiero co do

zdrowia powrócili - uważać doświadczenie nabyte w cierpieniu uznawać za doświadczenie również nienormalne, patologiczne. To z kolei pozwala je lekceważyć, odrzucać jako istotne nie tylko w sensie medycznym. Popularne powiedzenia typu - bredzi w gorączce, czy ma halucynacje - co od razu sygnalizuje nasz negatywny stosunek do takiego przekazu, są najlepszym dowodem na typ naszego stosunku do zjawisk wynikających ze stanu cierpienia. Nikt też nie stara się takiego majaczącego człowieka rozumieć, halucynacji traktować jako informacji.
A może jest to jedynie wynik pychy zdrowych?
Może przegapiamy w ten sposób wiedzę zawartą w istotnym przecież kontakcie człowieka z rzeczywistością? Rzeczywistością istoty cierpiącej, to prawda, ale na jakiejż to podstawie uważamy tak niewzruszenie, że większą wagę należy przywiązywać do doświadczenia istot nie cierpiących?
Bo przecież kryje się w tym jakiś narzucający się paradoks.
Paradoks!
Bo przecież co najmniej połowa, jeśli nie większość ludzi żyjących współcześnie z nami na ziemi przez przeważającą część swego czasu trwa w znacznym cierpieniu! Jasno wskazują na to wszystkie znane statystyki. Chyba, że stan permanentnego głodu i następujących po nim skutków w samopoczuciu osoby ludzkiej uznamy za coś, co cierpieniem nie jest! Oczywiście bzdury takiego twierdzenia nawet udowadniać nie trzeba. Każdemu niedowiarkowi radzę spróbować tego doświadczenia. Wystarczy kilka dni nie jeść, a sprawa że już sam głód jest cierpieniem staje się nad wyraz zrozumiała.
Ponad to wiadomo, że nawet w społeczeństwach uznawanych za syte i zdrowe czas cierpienia przeciętnego człowieka, to co najmniej dwanaście procent całości jego życia. Nikt też, w sensie procesu poznania, nie bierze pod uwagę cierpień (przecież znanych) pijaków, narkomanów, osób bezdomnych, czy wręcz normalnych, przeciętnych osób starych z ich, „oczywistymi” cierpieniami.
Komiczne. Prawda?
Supremacja zdrowych i silnych w sensie ustalania pojęć wchodzących w zakres wiedzy! Czy nie przypomina wam to czegoś, o czym ludzkość stara się szybko zapomnieć? Czy w ogóle takie stanowisko można przyjąć za rozsądne?
Nie wiem.
Nie wiem, bo rozumiem uzasadnienia, które na swą obronę mogliby tu przytoczyć obrońcy takiej postawy. Pomimo, że oni też wiedzą, że wiele odkryć ogólnie szanowanych nie jest dziełem geniuszy tryskających zdrowiem i wolnych od cielesnego cierpienia. Ale zgodzę się z tym, że większość skarbnicy wiedzy ludzkiej składa się z elementów, których zaistnienie nie miało bezpośredniego związku z tym, co nazywamy chorobą. Ale tylko większość! Bynajmniej nie wszystkie.
I chociaż nie będę tu bronił ryzykownej dziś tezy, że cierpienie przynosi wiedzę obszerniejszą, ważniejszą - to jednak będę się upierał chociażby przy tym, że ta jej część, która z cierpienia wynika jest nie tylko niezmiernie ważna, ale że bez niej wiedza nasza nie byłaby w ogóle wiedzą o czymkolwiek.
No cóż!
Człowiek pewnie nie wybiera swego losu, ale może w nim pomóc sobie lub zaszkodzić. Nikt nie wątpi przecież w to, że upijając się notorycznie alkoholem nie podnosimy naszej sprawności fizycznej. Wie o tym nawet alkoholik, który mimo swej fatalnej zależności czuje jak jego organizm traci siły motoryczne, kondycję, możliwość skupienia czy wytrzymałość w koncentracji. (Ta choroba jest też doświadczeniem!) Jest też jasne, że ćwiczenia fizyczne nasze zdolności cielesne podnoszą, a przynajmniej pozwalają im dłużej trwać. Natomiast dla rozwoju naszej wiedzy, a następnie dla procesu dzielenia się nią z innymi jest niewątpliwie bardzo ważnym zdanie sobie jasne sprawy z tego - co jest naszą możliwością! Bezustanne tej możliwości poszukiwanie i wzmacnianie! Musimy jakoby określić nasza specyficzną szansę na pozyskanie wiedzy, określić narzędzia, za pomocą

których dzieła takiego możemy dokonać. Jeśli dane nam jest zdrowe i sprawne ciało nie ma powodu poszukiwać doświadczeń wynikających z choroby czy cierpienia. To też dbałość o jego stan jest po prostu dbałością o narzędzia poznania, o ich skuteczność i trwałość.
Tak pojęta dbałość nie jest przecież jedynie dbałością o ciało! To znacznie więcej!
Kawę dostaliśmy szybko. Mój Rozmówca wrócił na swoje miejsce, ja na swoje i po chwili byliśmy gotowi do dalszej pracy.
Zapytał.
„No to co? Zaproponujesz następny model?"
„Pewnie tak, chociaż zastanawiam się czy nie byłoby lepiej, gdybyś ty spróbował go zaproponować." - powiedziałem.
„Chyba nie!" - odpowiedział z przekonaniem.
„Dlaczego?" - pewnie miał rację, ale byłem ciekawy dlaczego jest tego aż tak pewien.
„Za wcześnie!" - odparł - „Boję się, że odejdę za daleko od tropu, o którym mówiłeś."
Miał rację.
Sam teraz zdziwiłem się skąd mi tak absurdalny pomysł przyszedł przed chwilą do głowy. Jednak coś ciągnęło mnie do tego, by jak najszybciej moje opowiadanie przemienić we wspólną pracę. To też powiedziałem.
„To może spróbujemy konstruować go razem?"
„Jak to sobie wyobrażasz?" - zapytał.
„Nie wiem jeszcze. Ale spróbujmy."
Moje nalegania trochę go rozbawiły, ale nie wzbudziły jakiegoś zdecydowanego sprzeciwu. Powiedział więc.
„No dobra! Próbujmy. Tylko ty kierujesz tym eksperymentem."
„Zgoda!" - przystałem na to chętnie.
Należało teraz wymyślić metodę. Najlepszą w tym momencie, a jednocześnie najbardziej naturalną wydawało mi się przeanalizować stary model, ten z sieciami, dostrzec jego wady.
„Zastanawiałeś się może nad tym co ci nie odpowiada w tym modelu, który zaproponowałem?"
„Prawdę mówiąc, nie."
„A przecież jednak musiało w nim być coś, co cię od niego odrzuciło?" - zapytałem - „Czułem wyraźnie, jak cię zmęczył. Może nawet zniechęcił."
„Tak!" - przyznał po chwili zastanowienia - „Masz rację. Ale nie zastanawiałem się co też by to mogło być."
„To pomyśl chwilę." - zaproponowałem.
„Spróbuję."
Zatopił głowę w dłoniach.
„Muszę go sobie dobrze przypomnieć. Przejrzeć jego zawartość." - powiedział nie zmieniając pozycji.
Jeszcze chwilę milczał, aż w końcu usłyszałem jeszcze z poza dłoni zakrywających twarz.
„Tak, tak! Chyba to na tym polegało."
Spokojnie podniósł głowę i powiedział jeszcze nie patrząc na mnie.
„Tam jest taka niespójność. Jedno do drugiego jakby nie pasuje."
„Co do czego?"
„No wiesz" - budował odpowiedź uważnie - „Przecież mówiłeś o energii. Wielkiej energii! A model jej istnienia przedstawiłeś w postaci sieci."
„No i co?" - zapytałem, bo jego aktywność nagle zaczęła maleć.
„Gdy starałem się ten obraz zobaczyć... wyobrazić sobie, to... no to chociaż nic na ten temat nie mówiłeś, wyobraziłem sobie, że ta sieć jest z jakichś sznurków... i to właśnie... ta miękka... czy może słaba struktura sznurkowata... no wiesz... taka jakaś byle jaka... nie pasowała do tego, czym dla mnie... no do tego wszystkiego co mi się zawsze kojarzyło z

energią."
Wyraźnie chciał mówić dalej, ale przerwałem mu.
„Masz rację! To jest absolutna niespójność. Ale.."
„Tak! I z tego powodu..."
Znowu musiałem mu przerwać, bo trafił w sedno i wymagało to natychmiastowej korekty.
„Posłuchaj chwilę!" - mówiłem teraz wolno i z naciskiem - „Ten model jest wysoce niedoskonały i rzeczywiście zwodniczy. Ale jest w nim coś niesłychanie ważnego co chciałem nim ci przekazać i do tego taka rzecz jak sznurek, jakieś nici wydały mi się najlepsze. Wiesz co to jest, co było niezbędne by dalej..."
„Wiem! Oczywiście!" - nie dał mi dokończyć pytania.
„Co takiego?" - byłem niemal pewien, że się pomyli.
„Węzły! Te węzły trzeba było jakoś zasygnalizować!"
Powiedział to z takim przekonaniem, że nie ośmieliłbym się mu zaprzeczyć. Nawet, gdyby to była nieprawda. Ale to prawda była. Zaskoczył mnie.
Przypomniałem sobie to, co już zauważyłem w nim na moście przy pierwszym spotkaniu. To falowanie jego energii i jej nierównomierne erupcje. W rozmowach też czasem odnosiło się wrażenie, że nie może przebić się przez stosunkowo proste rzeczy, dostrzec tego co jakby było tuż tuż i właściwie powinno być dlań łatwo osiągalne. W innych znów chwilach umysł jego działał z szybkością pioruna, wyprzedzał pytania, całe ciągi myśli, przebijał jeszcze nie dokończone ściany. To ciekawe! Będę się musiał nad tym zastanowić.
W chwilach takich, w chwilach wzmożonej przenikliwości, gdy dokonywał takiego skoku w przód, gdy trafiał cel - odczuwał niesamowitą radość. Radość i odprężenie. To też mogła być wada. Takie odprężenie może również oznaczać szybką dekoncentrację na dalszym ciągu rozumowania. Odkrycie, którego dokonywał było przecież znikome wobec całości drogi, którą należałoby przemierzyć. Wydawało mi się, że takie odkrycie powinno raczej wzmagać czujność przed następnym krokiem, a nie wywoływać młodzieńcze podskoki radości.
Tak było ze mną!
Ale zaraz zdałem sobie sprawę z idiotyczności dokonywania takich porównań. Był przecież innym niż ja człowiekiem. Każdy jest inny i na tym właśnie polega wspaniałość istnienia. Nawet cegła cegle nie jest równa, a co dopiero człowiek człowiekowi.
Kręcił się teraz na swym miejscu z radości jakby go kto podżegł.
„Brawo!" - wyraziłem swe niekłamane uznanie.
Spojrzał na mnie z satysfakcją.
„Chodziło rzeczywiście o węzły!"
Pochwalony znowu natężył swą uwagę.
A więc jednak wyczuł, że zbliżamy się do kolejnego progu. Znowu mnie zaskoczył.
„Za pomocą innego tworzywa trudno byłoby to przedstawić." - tłumaczyłem - Te sznurki... a właściwie ta sieć najlepiej obrazuje ich istnienie i znaczenie w całości."
„W porządku! Jedź dalej." - popędzał mnie teraz.
Postanowiłem dotrzymać mu kroku w tym pospiesznym rwaniu do przodu, więc informowałem bez przerw.
„Ale jeszcze jedna rzecz była w tym modelu ważna! Jaka?"
„Nie wiem! Mów!"
Nawet nie próbował się zastanowić.
„To, że one, te sieci przeplatają się we wszystkie strony."
„No tak. Rzeczywiście."
„A poza tym sieć jest formą, w której najtrudniej wskazać jakiś początek czy też koniec..."
„Jasne!" - wtrącił - „Można najwyżej wskazać jej rogi, jeśli jest kwadratowa. Ale w żadnym wypadku nie można powiedzieć, że taki róg jest jej początkiem czy końcem. Z resztą który..."
„Racja!" - potwierdziłem, ale też zaraz ciągnąłem dalej, gdyż bałem się by nie popadł w

słowotok i nie utopił wszystkiego w gadaniu.
„A jeśli jeszcze wyobrazimy sobie, że każda z nich jest okrągła i nawet rogów nie posiada, to jesteśmy już dość blisko jakiegoś modelu nieskończoności! No! Przynajmniej bezpoczątkowości całego układu."
„Brawo!" - wykrzyknął.
Była to w zasadzie pierwsza pochwała z jego strony, jaką otrzymałem w czasie naszej krótkiej, ale przecież intensywnej znajomości.
„Brawo!" - powtórzył - „Cieszę się, bo miałem już chwile, gdy wydawało mi się, że marnujemy czas i pieniądze. Ze nigdy nie zrozumiem tego o czym rozmawiamy." - wyjaśnił.
Zaczął sadowić się wygodnie na swym fotelu, co miało być wyraźnym przygotowaniem do uważnego słuchania, gdy głośnik w kabinie wezwał nas do zapięcia pasów bezpieczeństwa, gdyż samolot nasz przystępował właśnie do lądowania. Trzeba było przerwać.
Trochę żałowałem, bo czułem jeszcze w sobie zasób sił na jakieś pół godziny, a chciałem przynajmniej zacząć rysować kolejny, zasadniczy model.
Mój rozmówca był mniej zawiedziony. Odwrócił się ode mnie i spojrzał przez okno w dół.
„O rany!" - zdziwił go ujrzany tam widok. - „Gdzie my jesteśmy?"
„Czy to ważne?" - zapytałem tajemniczo - „Przecież i tak nie przyjeżdżamy tu jako turyści!"
Jego zdziwienie wcale nie było bezpodstawne.
Mieliśmy teraz pod sobą jakby śnieżno-lodową pustynię. Wysokie góry były wiecznie białe na swych szczytach, a cień w dolinach nie pozwalał dojrzeć w nich też niemal wiecznego lata. Widok ten utrwalił mi się w pamięci jako jeden z najwspanialszych w czasie mych licznych podróży.
Ale za chwilę miało go czekać nowe zaskoczenie.
Gdy tylko wlecieliśmy w gardziel rozległej doliny ośnieżone szczyty straciły swój agresywny urok. Widać teraz było w dole rozległe miasto. Brunatno-żółta barwa doliny zalewała je jakby, bo i tejże barwy pełen był jego koloryt. Samolot przelatywał nisko nad domami, gdyż zaraz za zabudowaniami rozpoczynał się pas lotniska i trzeba było znaleźć się na nim stosunkowo wcześnie. Lotnisko było krótsze niż światowe porty tego typu i kończyło się wraz z końcem doliny wewnątrz której lecieliśmy.
Na ziemi, gdzie z racji głębokości doliny ułożonej z zachodu na wschód panował półmrok, pierwsze wrażenie nie było przyjemne. Lecieliśmy po bezchmurnym, rozsłonecznionym niebie, jeszcze przed chwilą olśniewająca biel ośnieżonych szczytów, aż tu nagle prawie ciemność wieczoru w samo południe. Na szczęście, gdy tylko po trapie wysiedliśmy z samolotu na pas startowy (tu nie było żadnych rękawów, po których przylatujący udawali się do jakichś holi czy sal przylotowych) ogarnęła nas rzadko na świecie osiągalna rześkość powietrza. Suche niemal absolutnie, niezbyt ciepłe z braku słońca, ale też letnie przecież. To powietrze, pieszcząc łagodnie drogi oddechowe i nadając człowiekowi niespotykaną na innych wysokościach lekkość, likwidowało, a przynajmniej nieco łagodziło pierwsze nieprzyjemne wrażenie związane z mrokiem.
Byliśmy jedynymi pasażerami, którzy tu opuścili samolot. Część naszych niedawnych towarzyszy podróży przyglądała się nam nawet ciekawie jak czemuś wyjątkowemu, a już zupełnie pewnie uznała nas za dziwaków, gdy winda spuściła na dół nasze dwie niewielkie torby - cały nasz bagaż.
Zaraz, gdy tylko znaleźliśmy się na płycie trap odsunięto i samolot odjechał na koniec doliny, skąd miał niebawem wystartować w dalszą podróż, a gdzie też znajdowały się zbiorniki z paliwem, po które jedynie tu wylądował. Dawało to wszakże planową, możliwość opuszczenia go!
Jeszcze było słychać tubalny, głęboki dźwięk jego silników, gdy od przeciwnej strony dobiegły nas inne odgłosy. To zbliżał się do nas nasz następny wehikuł.
Był niewielkim, sześciomiejscowym zaledwie, zgrabnym, niesamowicie upstrzonym

kolorowymi wzorami samolocikiem dwusilnikowym, których odgłos przy tamtym oddalającym się kolosie brzmiał jak bzyk komara przy burczeniu trzmiela. Robiło to zabawne wrażenie.
Dzielnie jednak podjechał do nas i stanął w odległości jakichś dwóch metrów, silniki pracowały dalej. W otwartych drzwiczkach, powyżej wysuniętych teraz zaledwie trzech aluminiowych schodeczków, ukazała się brązowawa, uśmiechnięta twarz pilota, który krzyknął me nazwisko niemiłosiernie je zniekształcając.
„Yes!” - odkrzyknąłem, więc kiwnął na nas przyjaźnie ręką, dając znak, że możemy zająć nasze miejsca w jego pojeździe.
Mój rozmówca spojrzał na mnie ciekawie.
„Wszystko w porządku!” - uspokoiłem go - „Musimy podnieść poziom.”
„Naszej rozmowy?” - zapytał pół żartem, pół złośliwie.
„Nie tylko!” - odpowiedziałem gramoląc się do środka.
Mój Rozmówca wskoczył za mną.
Pilot jednym ruchem zlikwidował schodki, zamknął drzwi jakby zamykał lodówkę i po chwili byliśmy już znowu w pełnym słońcu, pomiędzy ośnieżonymi szczytami.
Nasz nowy pojazd nie wznosił się nawet ponad nie. Zgrabnie szybował wzdłuż dolin, ponad przełęczami, co dla mego rozmówcy musiało być nie lada atrakcją. Z jego reakcji zorientowałem się, że nie był jeszcze w tej części świata. W niewielu rejonach liniowa komunikacja do niewielkich, ale w takiej specyficznej turystyce niezmiernie ważnych miejscowości odbywa się takimi samolocikami. Podróż lotniczą poniżej górskich szczytów ogląda się zwykle w filmach przygodowych i nie ma w tym terminie „przygodowy” ni jakiej przesady! Już sam pobyt w miejscach podobnych temu, do którego lecieliśmy teraz jest dla przeciętnego mieszkańca miast autentyczną przygodą. Oczywiście nie można tam dotrzeć w mniej niecodziennej formie. Można w jeszcze wspanialszej i jednocześnie odmiennej od codziennego życia! Pieszo! Ale to pochłania zbyt wiele czasu, który by był możliwy, musi być z dawna przewidziany i zaplanowany.
Oczywiście o jakiejkolwiek rozmowie mowy być nie mogło!
A to nie tylko z racji atrakcyjności wspaniałych i rzeczywiście niepowtarzalnych widoków na zewnątrz... - niepowtarzalnych w dosłownym tego słowa znaczeniu.
Leciałem tedy już kilka razy i zawsze wydawało mi się, że nie byłem tu nigdy. Mieszkańcy tych stron też twierdzą, że każdy jeden dzień te góry odmienia. Może rzeczywiście ich złożoność pod względem rzeźby terenu, kilku stref klimatycznych przed oczami, i podzwrotnikowe słońce powodują, że niemożliwe jest zrobienie tutaj dwóch takich samych fotografii?
Rozmowę wykluczał też zagłuszający wszystko warkot tej pary niewielkich silniczków, które wyniosły nas w górę i teraz wytrwale ciągnęły do przodu wśród tych wyjątkowych cudów natury. Nie martwiłem się tym zbytnio, gdyż całość tej przygody obliczona była na niecałą godzinę i już zaraz mieliśmy wylądować w miejscu naszego dzisiejszego przeznaczenia.
W pewnym momencie nasz samolocik z niemałym, wydawałoby się trudem, wzniósł się jeszcze wyżej, by przelecieć ponad przełęczą zamykającą teraz dolinę, której wnętrzem lecieliśmy. Prześliznął się niemal po mijanym grzbiecie, gdyż nie dzieliło nas od postrzępionych kamieni wystających z jakby jesiennej, bo żółto-zielonej trawy, więcej niż pięć metrów. Oczom naszym ukazała się nagle przestronna, zalana słońcem niecka, otoczona ze wszystkich stron górami, które z tej odległości wyglądały dość niewinnie. Przełęcz, nad którą przelecieliśmy przed chwilą była najniższym z wałów skalnych zamykających owo niesamowite miejsce. Nie ulegało więc kwestii, z jakiego kierunku i kędy do doliny dotarli przed wiekami pierwsi jej mieszkańcy.
Historia zasiedlania przez ludzi wysokich terenów górskich kryje w sobie głęboką tajemnicę pogoni człowieka za pokojem. Maksyma pomarksowska, że człowiek wszędzie gdzie idzie wlecze ze sobą konflikt, walkę, wojnę - okazuje się wobec tej historii bzdurą.

Może wlókł je za sobą, jako pozostałość po konflikcie, który spowodował jego odejście w góry, po konflikcie od którego uciekał. Bo w takie warunki przybywający człowiek na pewno nie szukał tu wojny! Rozstrzygnięcie tego pytania pozostawmy już historykom - dla nas ciekawe jest jedynie - po co tu przyby?. Bo to, że przodkowie mieszkańców gór przybyli z nizin, nie ulega dziś kwestii!
Z jakiego powodu osiedlano się w miejscach tak mało sprzyjających człowiekowi swą przyrodą.
Odpowiedzi dostarczają odkrycia archeologów.
Zwykle przybywały tu grupy ludzi, wyparte, przepędzone przez inne z ich siedzib na najbliższej nizinie. Ludzie ci, idąc do góry osiedlali się w pierwszym z miejsc, które ich zdaniem oddzielało ich skutecznie od wroga, agresora, napastnika. I nie chodziło tu na początku wcale o zajęcie miejsca dogodnego do ewentualnej obrony! Chodziło o miejsce, w którym można by z całym plemieniem ukryć się na zawsze, jakby zniknąć ze świata, w którym konflikt, spór, wojna trwały i groził zagładą.
Oddzielić się od wojny, od konfliktu, od śmierci. - odzyskać pokój! To był ten cel zasadniczy przyświecający człowiekowi opuszczającemu niziny i każący poszukiwać dla siebie miejsca w mało dostępnych górach.
Idąc w górę, gdy już przyroda swym ukształtowaniem mogła ofiarować azyl, odnajdywano tereny dające się eksploatować. Bogate w zwierzynę łowną, hale dające się wypasać, poznawano klimat, kierunki wiatru, ilość opadów. Odnajdowano i opanowywano nowy świat. Swiat człowiekowi do tej pory nieznany, przychylny tylko na pierwszy rzut oka, świat z którym z nadejściem pierwszej już zimy trzeba było walczyć z całą siłą swego człowieczeństwa. I zwyciężyć! W przeciwnym wypadku decyzja odejścia z nizin byłaby skompromitowana. Przyniosła by zagładę.
Ale tak się nie stało. Zwyciężał człowiek poszukujący bezpieczeństwa i pokoju. Przyroda okazywała się mniej groźnym przeciwnikiem, od wojny.
Zasada ta dotyczy wszystkich ludów gór. Zarówno w Europie, Azji, czy obu Amerykach. To historia Szwajcarów i Tybetańczyków, Inków i ludów Kaukazu.
A jednocześnie historia wojen uczy nas, że te właśnie ludy są najbardziej bitne, zawzięte w walce - te - które zamieszkały na zawsze w wydawałoby się najgorszych warunkach na ziemi uchodząc z wygodnych i przyjaznych nizin w poszukiwaniu pokoju!
To paradoks pozorny.
Bo znowu wytłumaczenia podstawowego nie należy szukać w trudnych warunkach przyrodniczych, które ukształtowały te wszystkie wyjątkowo wytrzymałe, dzielne w sporze z przeciwnościami losu narody.
Sednem sprawy była świadomość tych grup, że już dalej nie ma gdzie się wycofać! Ze kolejna agresja będzie sprawą zmierzającą do ostatecznego unicestwienia ich, że tylko zwycięstwo jest drogą ku dalszemu istnieniu! Ciężkie warunki przyrodnicze i konieczność wynikającej stąd samodyscypliny dostarczały tylko ciału, organizmowi tych ludzi dodatkowych walorów w walce.
Ale nie ciało przecież i też nie tylko jego możliwości decydują w grze o istnienie o istotnej sile walczącego. To wynika z niego samego, z jego osobowości - jak to można by w uproszczeniu powiedzieć. Z jego bezustannego życia na tego życia skraju. Z bezustannego kontaktu z granicą, poza którą człowiek cielesny - zdawałoby się - wykroczyć nie może. Poza którą ginie.
Czy ginie?
Rzecz wielce wątpliwa!
Kultury ludów gór, zwłaszcza najwyższych, wytworzyły pojęcia mające pokazać człowiekowi możliwość istnienia poza tą granicą. Wszelkie projekcje reinkarnacji i tego typu idee są tego przykładem. Co więcej! Ludy te w religiach swych potrafiły, wobec tak krańcowej sytuacji, wypracować stosunek do istnienia cielesnego dość ambiwalentny. Wskazywały na to, że ciało będące nośnikiem konfliktu ma zdecydowanie drugorzędne

znaczenie. Będę musiał już niebawem opowiedzieć ten dramat memu Rozmówcy. Dramat, bo błąd popełniany przez człowieka potrafi być równie wielki jak jego odkrycia.
Dolina tonęła w słońcu! Rozsypane były po niej niewielkie skupiska małych kamiennych domków z drewnianymi elementami konstrukcyjnymi i jeden większy dom, wyraźna pozostałość po kolonizatorach tej ziemi. Sam środek doliny stanowiła równa łąka, będąca również miejscowym lotniskiem, na którym wylądował nasz samolocik. Pożegnawszy nas szerokim uśmiechem ciemnoskóry pilot okręcił swój pojazd niemal w miejscu i zaraz odleciał z powrotem za przełęcz, znikając nam z oczu.
Ogarnęła nas niemal zupełna cisza, jakby dolina była zupełnie opuszczona.
Stojąc tak chwilę z naszymi torbami na ramieniu przyglądaliśmy się miejscu, w którym znaleźliśmy się. Było czystym pięknem natury.
Teraz dopiero było widać jak niewiele ponad dnem niecki znajdowała się granica wiecznego śniegu i lodu. Było to częściowe złudzenie, gdyż chcąc ten śnieg osiągnąć trzeba by było poświęcić na to dobry dzień wspinaczki i pokonać wysokość około sześciuset metrów. Sniegiem i lodem trzeba by wspiąć się jeszcze o trochę ponad tysiąc metrów wyżej, by osiągnąć otaczające nas szczyty, a sama dolina znajdowała się już na wysokości ponad trzech tysięcy metrów ponad poziomem morza.
Słońce stało niemal nad naszymi głowami na całkowicie bezchmurnym niebie, którego błękit był jakby rozwodniony w porównaniu ze znanym nam z mniejszych wysokości.
Po chwili z największego w dolinie domu wyszło ku nam trzech ludzi obarczonych zamówionymi przeze mnie przedmiotami. Ruszyliśmy w ich kierunku wolnym krokiem. Mój Rozmówca szedł kilka metrów za mną nie mogąc oderwać oczu od ostro rysującego się na horyzoncie grzebienia białych szczytów.
Powitanie z ludźmi, którzy wyszli nam na spotkanie było krótkie, ale serdeczne, czego nie mógł odczuć nikt, kto nie znał wcześniej ich obyczaju i form wyrażania swych uczuć w stosunku do innych ludzi. Jednego z nich znałem z poprzedniego pobytu w dolinie, więc powiedziałem mu, że chciałbym nasz namiot postawić w tym samym miejscu, w którym biwakowałem przed rokiem. Wskazał pozostałym kierunek i ruszyliśmy ku północnej części doliny. Zdziwił się gdy potwierdziłem mu mój zamiar pozostania tu jedynie do następnego dnia, gdy to zamiast dalszej wędrówki w góry miałem odlecieć z powrotem na dół.
Zdziwienie jego miało wielorakie i solidne uzasadnienie.
Rzadko kto i rzadko kiedy przemierza drogę do doliny, by pozostać w niej na tak krótko. Ale nie to było najważniejsze. Wątpliwy sens przyjeżdżania tu na krótko wynikał przede wszystkim z tego, że dla człowieka nizin była to już znaczna wysokość i by uzyskać na niej zupełnie normalne samopoczucie i sprawność konieczna była kilkudniowa aklimatyzacja. Pierwsze dni, a przynajmniej pierwszy dzień musiał przynieść pewne perturbacje w normalnym działaniu organizmu. Rzadko kto decydował się na to bez perspektywy dalszych wrażeń, których dostarczyć mogła ta część świata, wrażeń po które się tu zwykle przyjeżdża.
I o tym miał się niebawem przekonać mój Rozmówca.
Ale w tym moim szaleństwie była oczywiście metoda! Wiedziałem po co to robię i co chciałem przez to osiągnąć.
Nasi gospodarze złożyli swój bagaż kilkaset metrów na północ od ostatniej z chat, na lekkiej już tu pochyłości, wznoszącej się dalej coraz bardziej stromym łukiem ku ośnieżonym górom. Wprawnie rozbili namiot, wyposażyli go w sprzęty do snu, w podstawowe elementy konieczne do podgrzania pozostającego w puszkach pożywienia i wody ze zbiorniczka do zaparzenia granulowanej herbaty. Pozostawili plecak z ciepłym ubraniem i bez pożegnania odeszli ku swej stanicy, owego pokolonialnego budynku, mieszczącego wszystko pod jednym dachem - od poczty po dwupokojowy szpitalik.
Szybko przyrządziłem skromny, ale pożywny posiłek zakończony kawałkiem czarnej jak smoła czekolady, w której zawartość cukru była równie niewielka jak w herbacie, którą

wypiliśmy na koniec.
Od wylądowania w dolinie aż do tej chwili mój Rozmówca nie odezwał się ani słowem. Teraz zapytał.
„Po co mnie tu przywiozłeś?"
„A co? Nie podoba ci się tutaj?"
„Oczywiście, że mi się podoba!"
„Więc o co chodzi?"
„Uważasz, że nasza rozmowa w samolocie starczy na dziś?"
„Wcale tak nie uważam." - odpowiedziałem.
„A więc?"
„Mam nadzieję, że będziemy ją kontynuować." - powiedziałem spokojnie.
„A ja mam co do tego poważne wątpliwości."
„Rzeczywiście?" - zapytałem naiwnie.
„Rzeczywiście." - potwierdził spokojnie.
„A to z jakiego powodu?"
„Nie wiem, czy będę się mógł jeszcze dziś skupić na czymś, poza tym miejscem!" - wyjaśnił.
„Takie robi na tobie wrażenie?"
„Owszem! Robi wielkie wrażenie. Ale nie to jest najważniejsze."
„A co?" - chciałem, by wyjaśnił mi to do końca.
„Czuję się jakoś dziwnie... Normalnie, fizycznie czuję się jakoś inaczej... To pewnie ta gwałtowna zmiana wysokości i..."
„Nic w tym dziwnego!" - powiedziałem - „Oczywiście! Ta wysokość musi robić wrażenie, ale..."
„Nie wiem czy będą się mógł zmusić do intensywnego myślenia..." - przerwał mi - bo teraz chce mi się tylko...."
„... spać." - dokończyłem.
„Tak."
„To też właśnie spać idziemy!" - powiedziałem - „Obudzimy się w prawdzie bez budzika za jakieś dwie godziny, ale będzie to już ostatni sen przed jutrzejszą dopiero nocą."
Zdziwił się.
„Tak to jest!" - śpieszyłem z wyjaśnieniami - „Gdybyśmy teraz odpędzili ten sen kawą, czy jakąś osobistą koncentracją, to nie spalibyśmy już wcale dziś. Wysokość w pierwszym rzędzie odbiera na pierwsze kilka dni sen. Potem wszystko wraca do normy."
„I po tym krótkim śnie..." - pytał.
„Po tym krótkim śnie obudzisz się dość wypoczęty, a i tak bezsenna noc, która nas tu czeka będzie... no, powiedzmy... naszym kolejnym dniem do rozmowy."
„Chytre!" - uśmiechnął się teraz.
„Bo ja wiem?" - odwzajemniłem się podobnym uśmiechem.
Teraz wytłumaczyłem mu jak musimy przystosować się do tego snu, tej nietypowej popołudniowej drzemki. Jak musimy się ubrać, bo za niecałą godzinę słońce zajdzie za góry i temperatura drastycznie się obniży... i jeszcze kilka innych informacji koniecznych, by dalszy nasz tu pobyt uwolnić od już niepotrzbnych niespodzianek.
Gdy w milczeniu zmienialiśmy ubranie spojrzał na mnie i zapytał.
„No więc?"
Nie zrozumiałem zrazu.
„Pytałem cię po coś mnie tu przywiózł. Czy tego, co powiesz mi w tę noc nie można byłoby powiedzieć gdzie indziej?"
„Oczywiście." - odpowiedziałem - „Wszystko można powiedzieć wszędzie. Ale nie wszystko wszędzie można zrozumieć. Są rzeczy, które w słowach brzmią... - zastanowiłem się chwilę jak to sformułować - ...może nieraz nawet pięknie, ale mało przekonywująco. Są rzeczy, których trzeba doświadczyć. Wiesz.."

„Jakie rzeczy?”
Jego głos nabrał znowu rannej zaczepności. Spojrzałem mu w oczy uważnie i zapytałem.
„Nie wytrzymasz tych kilku godzin?”
„Wytrzymam. Ale nie chcę, by to pytanie... pozostawione bez odpowiedzi... odgoniło mi sen, który jak sam mówisz, może być w tych warunkach krótki, ale też i ważny dla...”
„No dobrze!” - zgodziłem się - „Chciałem, żebyś przekonał się jak przedziwną osobą jest człowiek.”
Też ogarniała mnie już senność, więc musiałem natężyć uwagę, by nie gadać za długo, by trafić możliwie w sedno, które chciałem przekazać.
„Jak potrafi zabierać ze sobą światy całe tam, gdzie się udaje. Jak zabiera je wszędzie. Zabiera w sobie. Bo one są w nim. W jego mózgu. Jest ich właścicielem i one zależą od niego.”
Mówiłem już teraz ostatkiem sił.
„Muszą być z nim, jeśli tego chce. Bo panuje nad nimi. Nie mogą mu się sprzeciwiać, nawet wtedy, gdy trudno mu się na nich skoncentrować, gdy wszystko niemal co się z nim dzieje jest temu przeciwne. Pomyśl! Tu w ten przedziwny zakątek przywiozłeś wszystko! I gdy odzyskasz siły to wszystko tu będzie z tobą. Wszystko będziesz mógł swym mózgiem wyjąć z całości istnienia, jak z teczki!”
Musiałem już przerwać, ale zdawało mi się, że wystarczyło mu te kilka zdań, bo nie pytał więcej.
Gdy kładliśmy się w namiocie, zażartował.
„Czy tu, na tym końcu świata, mówi się o tej porze dnia - dobra noc?”
Rozweseleni pogrążaliśmy się w odpoczynku.
„Można!” - zakończyłem nasz krótki dzień - „Jak komu wygodnie.”
Słońce ocierało się właśnie o postrzępiony horyzont, gdy zapadaliśmy w zasłużony sen.

ROZDZIAŁ V - NOC, CZYLI PODROZY DZIEN CZWARTY.
INNY POZIOM ISTNIENIA

Gdy obudziliśmy się, w dolinie zapadał wieczór.
Szczyty po wschodniej stronie lśniły jeszcze w słońcu i sprawiały wrażenie niesłychanie odległych, reszta krajobrazu była już mroczna, w chatach palono ogień i jego zapach snuł się po bezwietrznej niecce. Znowu zmieniliśmy ubrania na jeszcze cieplejsze, bo temperatura spadła już bardzo. Zaparzyłem herbaty i popijając ją wracaliśmy powoli do rzeczywistości. Rzeczywistości naszych tematów.
Spojrzawszy na zegarek stwierdziłem, że spaliśmy trochę ponad cztery godziny. To bardzo dużo! Był to dla mnie dobry znak, gdyż wskazywał na dobrą formę fizyczną mego Rozmówcy i umiarkowaną reakcję jego organizmu na wysokość. Nie powinno więc być tak źle. Liczyłem jednak na to, że nie będzie całkowicie odporny, gdyż normalna w takich wypadkach reakcja była mi w pewnym sensie potrzebna. Miałem teraz przystąpić do tematów trudnych, wymagających rzeczywistego skupienia. Liczyłem więc na to, że wysokość, mniejsza znacznie niż na nizinach zawartość tlenu w atmosferze, spowolni nasze reakcje, spowoduje wolniejszy rytm wszystkiego co będzie się z nami działo. Spowolniona reakcja była właśnie normalna i chodziło o to, by mój Rozmówca, zamiast odbierać, jak było to do tej pory, moje komunikaty podobnie do komunikatów prasowych, kontaktował się z nimi teraz podobnie do spokojnego oglądania albumu dziwnych zdjęć czy mało znanego malarstwa.
Kręcił się trochę nerwowo, więc zapytałem o co to chodzi.
„Nie mogę się jakoś obudzić.” - odpowiedział.
„Nie przejmuj się!” - starałem się go uspokoić, a zarazem częściowo wyjaśnić ten stan - „To złudzenie tylko. Normalna reakcja na wysokość i inny skład powietrza. Ale nie będzie nam to przeszkadzało. Zobaczysz.”

„Jesteś pewien?” - pytał jeszcze z niedowierzaniem.
„Tak! Znam to.”
I by uspokoić go ostatecznie powiedziałem sadowiąc się wygodnie .
„Jesteśmy w swoistego rodzaju więzieniu. Więzieniu natury! Ono tym właśnie różni się od innych więzień, że trzymając nas w swej mocy nie robi nam krzywdy. Zmienia nas, przystosowuje niejako do siebie, ale czyni to w sposób naturalny, a więc i ten nasz stan uwięzienia w jej prawach, to spowolnienie które odczuwasz, jest naturalne, dobre.”
Też zajął teraz wygodną pozycję dopijając resztę herbaty z kubka.
„Pora na drugi model, który obiecałem ci przedstawić.” - zacząłem powoli.
„Uhmm!” - bąknął monosylabiczne potwierdzenie.
Mówiłem spokojnie i cicho, ale też otaczał nas niemal idealny spokój.
„Staraj się wyobrazić sobie te obrazy, które spróbuję teraz namalować słowami.” - poprosiłem.
Kiwnął nieznacznie głową, na znak że zastosuje się do mojej prośby.
„Przypomnij sobie jak wyglądają pokazy sztucznych ogni...
...rozpryskują się one na tle ciemnego nieba...
...każdy rozprysk ma swoje centrum... to właśnie miejsce, gdzie taki pocisk wybucha... zapamiętaj to centrum...
...zapamiętaj też te smugi... czyli jakby drogi, które przemierzają od takiego centrum te gwiazdeczki, które następnie powoli opadają na ziemię, w dół...
Widzisz to wszystko”?
„Widzę!” - odpowiedział spokojnie.
Ten jego spokój potwierdzał me oczekiwania. Wydawało się więc, że warunki w których się znaleźliśmy idealnie wręcz spełniają swe zadanie.
Mówiłem dalej.
„A teraz postaraj się wyeliminować z tego obrazu wszelki dźwięk...
...postaraj się nie słyszeć huku wybuchów tych rakiet...
...postaraj się wyeliminować gwizd ich lotu...
...postaraj się odnaleźć w tym obrazie jaknajwiększą ciszę...
...udaje ci się?”
„Częściowo.” - odpowiedział.
„Wystarczy.” - uspokoiłem go - „Zapamiętaj tylko, że cisza jest bardzo ważnym elementem tego modelu. A teraz...
...staraj się wyobrazić sobie, że wszystkie drogi tych gwiazdeczek, które odbiegają siłą wybuchu od swego centrum... są absolutnie proste...
...odbiegają od tego centrum we wszystkich kierunkach, ale są proste... bo nie działa na nie, na te gwiazdeczki, żadna siła przyciągania... jakby wszystko to odbywało się w jakiejś próżni....
...wyobrażasz to sobie?”
„Tak!”
„A teraz postaraj się zlikwidować z tego obrazu te gwiazdeczki...
...tak, jakby ich nigdy nie było...
...jakby odleciały gdzieś daleko w nieosiągalną dla oka przestrzeń i jakby pozostały widoczne jedynie te ich drogi...
...te świetliste jakby promienie...”
Zawahałem się na chwilę, czy nie popełniłem błędu, czy użyłem dobrego słowa. Nie byłem zadowolony, więc postanowiłem się poprawić.
„Posłuchaj...
...spróbujmy pozostać przy określeniu - drogi pozostawione przez te gwiazdeczki...
...postaraj się kojarzyć to sobie raczej z drogą jakąś niż z promieniem...
... z drogą, którą coś się poruszało...
...porusza...

...zgoda?”
„Zgoda...” - powiedział, a z tonu zawartego w tym słowie, z jego powolnego wypowiedzenia i jakby zawieszenia głosu, jakby z niedokończenia wypowiedzianego wyrazu - a przecież nie chciał wcale mówić dalej - wywnioskowałem, ze mój Rozmówca jest mocno skupiony na projektowanym przez swą wyobraźnię obrazie.
„Teraz postaraj się dodać do tego...
...ile tylko możesz...
...na początku nie za dużo, by obraz nie stracił przejrzystości...
...kolejne takie ośrodki...
...centra...
...postaraj się, by było ich możliwie coraz więcej...
...w rzeczywistości jest ich nieskończona ilość...”
Zamilkłem na chwilę, by dać mu czas na zbudowanie i oswojenie się z tym obrazem.
Po chwili opowiadałem dalej, ale zaczynałem się obawiać, czy niepotrzebną niecierpliwością i próbą przyspieszenia ostatecznej konstrukcji nie popsuję nagle tego, co tak dobrze budował. Postanowiłem więc też ewentualnie uprzedzić ten błąd i uspokoić go.
„...i nie śpiesz się...
...powoli zbudujemy ten model do końca...
...dodamy do niego jeszcze tylko trzy elementy...
...tylko spokojnie... bez pośpiechu...
...postaraj się teraz maksymalnie zmniejszyć te centra...
...te węzełki tych jakby sieci...
...ale niech one zostaną, tylko...
...niech nie będą zbyt agresywne...
...niech nie dominują w całości tego obrazu.
....Udaje ci się?”
„Chyba tak! Ale nie pytaj mnie o to za często! Lepiej mów ciągle. Powoli, ale mów.” - powiedział.
Musiałem jednak jeszcze delikatnie ustalić jeden z elementów metody. Zapytałem więc.
„Ale mogę czasem robić przerwy?”
„W porządku. Tylko maluj dalej.”
Mówiłem więc.
„Pamiętaj, że tam gdzie te promienie się przecinają...
...powstają kolejne węzełki...
...ale niech to się nie staje ciągle...
...niech one powstaną, utworzą się...
...niech ich powstanie na tych skrzyżowaniach ile potrzeba, ale...
...niech potem ta ilość się jakby ustali, by całość obrazu była niejako statyczna...
...teraz postaraj się, żeby zapanował w tym jakiś zdecydowany porządek...
...na przykład, żeby odległości pomiędzy wszystkimi węzełkami były jednakowe...”
Teraz zrobiłem dłuższą przerwę, by po chwili najciszej jak można opowiadać dalej.
„Dużo tych dróg, prawda...?
...bardzo dużo...
...są jasne...
...musi więc gdzieś zniknąć ciemność nieba, na którym zaczęliśmy malować ten model...
...skoro znika ciemność...
...to na jej miejsce wchodzi światło...
...światło jest drogą skądeś dokądś...
...a więc tą ciemność wypełniają kolejne drogi...
...ale one nie nakładają się na siebie...
...są obok siebie...
...nie kolidują ze sobą...

...w końcu wypełniają wszystko i ciemność całkowicie znika..."
Tu też przerwa była niezbędna. Trudność przedstawienia sobie tego obrazu była przecież wręcz niesamowita. Promienie wypełniające całkowicie przestrzeń, a jednocześnie nie stapiające się ze sobą ... Struktura ta musiała zachować dwa zasadnicze elementy... doskonałe wypełnienie, czyli brak poza tymi drogami, promieniami, światłami czegokolwiek, a jednocześnie ich absolutną niezależność od siebie poza węzłami. W żadnym wypadku nie mogły się ze sobą zlać w jakąś masę! Absolutnie nie! Byłoby to właśnie zaprzeczeniem tego, co starałem się przekazać.
Ale przerwa w mej opowieści nie mogła być też za długa, gdyż groziło to roztopieniem się całego modelu w jego niepełności. Trzeba było utrzymać aktywność mego Rozmówcy do chwili, gdy struktura uzyska swą jedność, gdy jakoby zwiąże się elementem zasadniczym, o którym mówiłem mu przy budowaniu poprzedniego modelu. Starałem się więc dokończyć - teraz już jaknajszybciej.
„Jeszcze chwila...
...postaraj się teraz jakby dojść jaknajbliżej do którejś z tych dróg...
...nie bój się...
...tylko rób to powoli...
...skup się jeszcze trochę...
....
...teraz zaglądnij do jej wnętrza...
...tam jest sama energia...
...tam od węzła do węzła przepływają miliony informacji...
...nie wiadomo dokąd one płyną...
...nie wiadomo skąd pochodzi każda z nich...
...nie zastanawiaj się teraz nad tym...
...kiedyś wrócimy do tego..."
Ostatnie zdania starałem się mówić coraz ciszej, bo trzeba było teraz mego Rozmówcę na chwilę pozostawić sam na sam z wyprojektowanym modelem struktury.
Jeśli to zrozumiał, jeśli zobaczył ten model...
Starałem się zachować jaknajwiększą ciszę. Lekkie trzepotanie na niewielkim wietrze płacht naszego namiotu utrzymywało nas w koniecznym kontakcie z rzeczywistością, ale nie mogło w tym przypadku w niczym przeszkadzać. Towarzyszyło z resztą przez cały czas budowaniu wizji modelu, więc było poza rodzajem dźwięków mogących zakłócić harmonię, w poczuciu której trzeba skupić się na takich modelach, by je zrozumieć i zapamiętać.
Mój rozmówca leżał niemal na wznak, oczy miał przymknięte, czy zamknięte, w mroku nocy nie byłem w stanie tego odróżnić. Oddychał powoli, miarowo. Czułem w nim uspokojenie.
Patrzyłem na bezchmurne pełne gwiazd niebo. Księżyc musiał być gdzieś w pobliżu, za jedną z otaczających nas gór, gdyż obdarzał wieczne śniegi i lodowce swym odbitym światłem. Swiatłem łagodnym i chociaż były to przecież odbite promienie słońca, w niczym słonecznego światła nie przypominającym. Snieg i lód były w nim granatowo-sine, jak w jakimś dyskotekowym rozbłysku, tyle że trwałym i spokojnym. Dla mnie noc wysoko w górach jest uosobieniem spokoju. Zawsze odnoszę w tym otoczeniu wrażenie, że nie istnieje czas.
A czy istnieje?
Czas?
Przecież wiem, że w istocie nie istnieje! Ze jest tylko pomysłem człowieka. Pomysłem koniecznym do jakiegoś uporządkowania zdarzeń następujących w ludzkim mniemaniu po sobie, a więc „wcześniej lub później".
W istocie przecież wszystko co jest dla nas zdarzeniem, a więc konglomeratem, zestawieniem, w jakiś sposób związaniem ze sobą na chwilę drobnych elementów

wszechogarniającej całości - istnieje zawsze, a więc nie po sobie, tylko obok siebie!
A w każdym razie stale i nieprzerwanie istnieją wszystkie elementy, z których składa się to, co w języku naszej kultury określamy jako zdarzenie.
Taki właśnie, właściwy temu a nie innemu momentowi, zestaw elementów, a więc takie właśnie zdarzenie, które obserwujemy, a następnie umieszczamy w czasie - zwykle już przeszłym, bo sam fakt zaistnienia dla nas czegoś automatycznie przesuwa to w przeszłość - może przecież nastąpić ponownie! Może nastąpić jeszcze nieskończoną ilość razy, a więc nie jest wcale pewne, że nasze przesunięcie czegoś w przeszłość ma w ogóle jakiekolwiek uzasadnienie. Może, gdybyśmy zdając sobie z tego sprawę, to co poznaliśmy umieszczali od razu w przyszłości, jako coś co nie tyle się zdarzyło - ale co dopiero się zdarzy, a my jedynie wiemy już o tym - to może właśnie zdalibyśmy sobie sprawę z tego, że pojęcie czasu jest niczym innym, jak zwodniczym wymysłem naszego upraszczającego wszystko umysłu?
Mój Rozmówca, ogarnąwszy mam nadzieję model struktury mu przedstawiony i pozostawiwszy go gdzieś w swej pamięci, powoli odnajdywał mą w pobliżu obecność.
Ale nie mówił jeszcze nic.
Próba języka!
Tak!
To co przed chwilą zrobiłem było próbą języka. Kolejną próbą!
Czy udaną?
Czy takie przekazywanie modeli struktury jest rzeczywiście jakimś istotnym przekazem? Czy stanowi istotną informację, czy tylko pomaga w jakimś wyobraźniowym namalowaniu obrazka, który żadnej istotnej informacji o strukturze nie zawiera?
Język informuje oczywiście o elementach obrazka, elementach z których można go zbudować. Obrazka, który jest, a przynajmniej może być modelem struktury. Informuje więc dość sprawnie o modelu! Ale czy poprzez ten model informuje o strukturze, którą stara się ujawnić?
Na szczęście mój Rozmówca nie zadawał sobie takich pytań, bo to nie on starał się tą kurtynę uszytą z naszej europejskiej kultury odsłonić. Na szczęście! Bo gdyby znał natężenie mych wahań, mej niepewności czy nasza podróż zakończy się czymkolwiek istotnym, czy ma ona w swym założeniu jakikolwiek sens - pewnie załamałby się pod tym ciężarem i zrezygnował z tej niewielkiej szansy, którą przecież mieliśmy, która wynikała z naszej wiary.
Pierwszym słowem, którym mnie obdarzył po dłuższej chwili milczenia było słowo „piękne”. „Piękne!” - powiedział po prostu.
Ucieszyłem się, bo mogło to znaczyć, że model nie był zły. Rzeczywistość, której miał dotyczyć była przecież czymś niesłychanie pięknym. Czymś najpiękniejszym co znałem! Najpiękniejszym nie tylko w kategoriach estetycznych, ale najpiękniejszym w ogóle. We wszystkich kategoriach, które rzadko kiedy kojarzą się ze słowem „piękno”. Często też ocierają się o znaczenia takie jak; wspaniały, wielki, cudowny - a nawet takie jak; radosny, spokojny, wesoły, dobry...
Ale mówiąc słowo „piękne”, sygnalizował mi przynajmniej, że chociażby coś z owej istoty rzeczy stało się jego udziałem, że przynajmniej z częścią nawiązał kontakt i że była to część rzeczywiście tego o czym mówiłem.
Wiele mieliśmy sobie jeszcze tej nocy powiedzieć. To też nie śpieszyłem się z nawiązaniem dalszej rozmowy. Mieliśmy wystarczająco dużo czasu przed sobą, by spokojnie czekać na najodpowiedniejszy moment.
Teraz mój Rozmówca powoli żuł mozolnie odgryziony kawałek na kość wysuszonego suchara. Zaparzyłem świeżej herbaty. Gdy przyjemne ciepło napełniło już nasze ciała powiedział.
„To rzeczywiście piękny model!” - uśmiechnął się - „Cieszę się, żeś mi go pokazał.”
Na chwilę ogarnął mnie smutek.

Dlaczego?
Musiałem mu teraz powiedzieć rzecz mało pewnie przyjemną, ale był to mój obowiązek. Obowiązek nie tylko poinformowania go o tym, co też starałem mu się przedstawić, ale ku czemu to wszystko zmierzało. Smutek natomiast brał się stąd, że doskonale wiedziałem jaka przepełnia go radość, a tymczasem był to dopiero początek drogi, która otwierała się powoli przed nim, drogi do prawdziwej radości z poznania.
Daleko jeszcze! Bardzo daleko!
„Cieszę się również, że udało mi się go jakoś narysować." - powiedziałem.
„Jesteś mistrzem! Zrobiłeś to wspaniale!" - po raz drugi, w czasie naszej podróży, usłyszałem z jego ust pochwałę.
„Dziękuję!" - odrzekłem - „To miłe z twojej strony, że mówisz mi to."
Znów chwilę milczeliśmy.
„Czasem..." - opowiadałem teraz - „...ale nie zbyt często, w okolicach bieguna ziemi następuje dziwne zjawisko. Zjawisko znane uczonym, ale jeszcze nie do końca zbadane są jego fizyczne mechanizmy. Widziałem kiedyś na jakimś wykładzie krótki film, zrobiony przez jednego z profesorów badających ten fenomen.
Polega to na jakby jednoczesnym zaistnieniu bardzo wielu piorunów... może nie koniecznie piorunów, ale w każdym razie wielu na raz, ale nie powiązanych ze sobą wyładowań elektrycznych. Wyładowań we wszystkich kierunkach naraz.
Wiesz! To było niesamowicie kolorowe. Było niesamowicie potężne, a jednocześnie niesamowicie łagodne, spokojne harmonijne. Wydawało się jakieś niesamowicie dalekie, ale jednocześnie bliskie, jakby twoje własne. Lodowate swym spokojem i porządkiem, a jednocześnie nad wyraz ciepłe swym kolorytem. Oderwane od ziemi, a jednocześnie tak fantastycznie z nią... związane?" - powiedziałem, jakby sam sprawdzając wartość tego określenia.
Po chwili kontynuowałem opowieść.
„To co widziałem na tym filmie było bardzo podobne temu, co próbowałem ci przed chwilą opowiedzieć, narysować, przekazać. Możesz to traktować jako powiedzmy trzeci model. Miało tylko jedną wadę.
Na filmie było płaskie jak placek. Utraciło to, co było w tym wszystkim najważniejsze, a mianowicie swą wszechkierunkowość, swą wszechogarniającą przestrzenność. Struktura, o której ci opowiadam ma przecież więcej wymiarów niż możemy sobie wyobrazić uwięzieni w naszych znanych, skromnych trzech wymiarach. Bez tego wielowymiarowego charakteru całość tego o czym opowiadam nie ma żadnego sensu. Jest tylko zwykłam malowaniem wyobrażeniowych obrazków. "
Chwilę musiałem się zastanowić nim znalazłem właściwe teraz porównanie.
„Wiesz jak można by sobie mniej więcej wyobrazić przestrzeń o większej ilości wymiarów niż nasze trzy? - zapytałem.
„Skądże! Rzeczywiście jesteśmy więźniami wysokości, długości i głębokości." - odpowiedział zaciekawiony.
„Przypominasz sobie jak wygląda dobrze oszlifowany kryształ?" - zapytałem.
„Oczywiście."
„Wiesz jaka jest funkcja takiego szlifu?" - drążyłem dalej jego wyobraźnię.
„No! - Chyba uroda?"
„Uroda, oczywiście! Ale czego uroda?"
„Tego kryształu przecież."
„No tak! Ale na czym polega ta uroda kryształu?"
„Nie wiem!" - dał za wygraną.
„Na przepływie przezeń światła, a ściślej na jego załamaniach." - tłumaczyłem teraz ten prosty fakt - „Kryształ jest piękny nie samym sobą, ale światłem w sobie. Tym, jak to światło łamie. Rozumiesz?"
„Tak! Rozumiem." - i aż zawstydził się, że zapomniał o tak oczywistej rzeczy.

„Kryształ łamie światło w tylu kierunkach i w takich kombinacjach, jakie wymyśli mu szlifierz. Tych kombinacji jest przecież praktycznie niezliczona ilość. Właściwie nie istnieją dwa identyczne szlify kryształu.
I teraz gdy moglibyśmy założyć, choć przed tym właśnie założeniem cofa się bojaźliwie nasza wyobraźnia, że każdy z układu czterech prostopadłych do siebie płaszczyzn - a jest ich w takim krysztale kilka - to inny jakoby świat, to bylibyśmy dość blisko.
Bo posłuchaj! Te światy byłyby ustawione w stosunku do siebie ani prostopadle, ani równolegle - byłyby ustawione do siebie właśnie krystalicznie. Osie każdego z nich byłyby w stosunku do siebie jakoś - powiedzmy - krzywo. Jasne?”
„Do tej pory jasne.” - odpowiedział.
„No to teraz - jeśli założymy, że każda z tych brył złożonych z „krzywych” w stosunku do siebie płaszczyzn jest innym światem, albo chociażby innym jego poziomem, innym przejawem, inną dymensją, jak chcą to nazywać niektórzy - a jednocześnie to wszystko jest zawarte w tym samym krysztale jako całości... to pomiędzy tymi światami - skoro są w tym krysztale połączone - musi istnieć co najmniej jeden jakiś powiedzmy „krystaliczny” wymiar wspólny tym wszystkim światom. A więc dla każdego z tych światów wymiar pozaświatowy, a jednak im wszystkim wspólny! Rozumiesz to? Co najmniej jeden taki wymiar!”
„Nie rozumiem, ale wyczuwam w tym jakąś logikę.” - odpowiedział i zamyślił się.
„Próba języka!” - powiedziałem tajemniczo i byłem zadowolony, że nie przyczepił się do tego określenia. Dodałem więc szybko - „Trudno przekazać słowami coś, czemu one nie służą.”
Kąpaliśmy się teraz w tej ciszy i przestrzeni.
Gdyby nie dotyk, a więc czucie ziemi, na której leżeliśmy, można by pomyśleć, że jesteśmy zawieszeni gdzieś w bezkresie wszechświata, pomiędzy jednym układem słonecznym, a innymi. Cudowna noc i dobrze mi się rozmawiało.
Byłem pełen nadziei!
„Ale posłuchaj...” - postanowiłem jechać dalej z mą opowieścią - „...ten model... tak... to co ci opowiedziałem to pewnie jest model, ale... o ile udało mi się dobrze ci go przekazać, to...”
Teraz musiałem szybko odnaleźć w sobie tyle siły, by zdradzić mu dużą część mojej tajemnicy.
„...to on właśnie, ten model - jest bardzo bliski struktury naszego istnienia jako całości...”
Musiałem znowu nabrać powietrza w płuca.
Bałem się!
Bałem się po prostu powiedzieć to, co miałem właśnie do powiedzenie.
Bo teraz musiałem zwierzyć się memu Rozmówcy. Zwierzyć się, czyli objawić coś, na co nie mam pokrycia w jakichkolwiek dowodach. W co mógł tylko uwierzyć, lub nie.
„Na tym ona polega! Ten model jest opowieścią o niej samej, Jest próbą przekazania tej struktury w całości, jest jej jakby portretem. Bo ja wiem?” - zrobiłem chwilę przerwy - „Starałem się opowiedzieć ci rzeczywistość! Nie tylko jej model. Rzeczywistość w której przebywam zawsze gdy chcę. Z którą kontakt jest całą moją siłą! Jest moją wiedzą podstawową.”
Zamilkłem.
Prawdę powiedziawszy wyznanie to kosztowało mnie więcej niż wszystkie dotychczasowe opowieści.
Teraz już byłem wobec mego rozmówcy bezbronny, nagi i słaby. Słabością człowieka, o którym wiadomo rzeczy zasadnicze, właściwie wszystko, bo pozostałość jest już tylko dodatkiem, drobiazgami bez znaczenia.
Silny byłem teraz nie ja!
Teraz jakąkolwiek wartość przedstawiała jedynie moja wiedza, która jeśli okaże się ważna dla mego Rozmówcy, to też przywróci siłę swemu posiadaczowi. Natomiast jeśli on uzna,

że ta właśnie wiedza go nie interesuje, nie jest dla niego ważna, ba, nie jest żadną wiedzą, jest brednią, maniactwem, przywidzeniami... to stawałem się dla niego niczym. Nosicielem bredni, przywidzeń, manii. Workiem z głupstwem.
Stawałem się tylko śmieszny.
Oczywiście mogłem jeszcze uciec się do ostatniego środka ratunku. Do szczególnych umiejętności wynikających z mej wiedzy. I tym oczywiście zaskoczyłbym go na tyle, by znowu zmusić go do zainteresowania. Ale o to mi nie chodziło. To było dla mnie absolutnie nieważne.
Podjąłem przecież próbę języka, a więc wszystko co było działaniem pozajęzykowym w obecnej fazie uważałbym za trick, za chwyt by utrzymać się na poziomie. Bo jeśli próba ta okazałaby się nieudana, chybiona, język nie byłby w stanie przenosić informacji o których przeniesienie mi teraz chodziło, to wszystko na razie nie miało sensu!
I chociaż o trickach z mojej strony mowy być nie mogło, chociaż to, co ze szczególnych moich umiejętności byłem w stanie pokazać na swą obronę byłoby faktem, zdarzeniem rzeczywistym w kategoriach fizyki i w każdych innych - nie ucieknę się do tego.
Dlaczego?
Bo nie chodzi mi wcale o mój własny prestiż, o moją pozycję chociażby w stosunku do tego człowieka! Mnie chodzi o rzecz o wiele ważniejszą i tylko o nią. O komunikację! O znalezienie dróg komunikacji, które umożliwiłyby każdemu człowiekowi korzystanie z wiedzy, którą ja posiadłem. O otwarcie drogi!
Mój Rozmówca, którego z resztą bardzo polubiłem w trakcie tych niewielu dni, nie był dla mnie w żadnym wypadku jakimkolwiek miernikiem wartości ani mojej osobiście, ani mojej wiedzy, czy jak kto woli ujawnianej właśnie tajemnicy! Pod tym względem był niczym! Był po prostu uczestnikiem mego eksperymentu! Eksperymentu próby języka! Eksperymentu, który miał mi odpowiedzieć na podstawowe dla mnie teraz pytanie - CZY WIEDZE KTORA POSIADŁEM MOZNA PRZEKAZAC ZA POMOCA KONWENCJONALNYCH NARZEDZI EUROPEJSKIEJ KULTURY - NA PRYKŁAD ZA POMOCA JEZYKA!?!
Dlaczego było to dla mnie tak nadzwyczajnie ważne?
...
Później!
Później to wyjaśnię!
Teraz muszę wrócić do relacji z tego kolejnego nocy-dnia naszej rozmowy, rozmowy, która poza pewnie urodzeniem czy poczęciem - nie wdawajmy się obecnie w te sprawy - była trzecim najważniejszym etapem mojego osobniczego istnienia.
Niedomyślnym powiem, że tym drugim z kolei momentem był niewątpliwie ten dzień, gdy po raz pierwszy znalazłem się poza granicą zmysłowego świata i poznałem rzeczywistość, która dziś jest moim skarbem zakopanym jeszcze niestety.
Mój Rozmówca jakby nagle natężył uwagę, stał się czujny i napięty.
Czy wystraszył się tego co usłyszał?
Nie wyglądało to na to.
Miałem nadzieję, że raczej zdał sobie sprawę z tego, że jesteśmy w momencie zasadniczym naszej drogi i że mimo niecodziennych warunków należy zachować największą, jaką się da, trzeźwość umysłu i koncentrację.
Oczywiście nie byłoby nic dziwnego w tym, gdyby się po prostu wystraszył! Znajdujemy się wysoko w górach, wprawdzie w jakimś ludzkim osiedlu, ale z tych ludzi widział tylko trójkę i to przez krótką chwilę, a teraz znajdowali się oni w tłustej wacie granatowo-sinej nocy, daleko. Wołaniem nie dałbyś rady.
Może biegiem... ale przecież ku czemu, komu, po co...
...a tuż obok, w tej więc niemal bezwzględnej samotności... dwójni powiedzmy... ktoś, kto oznajmia ci, że gdy chce przebywa w świecie modeli?... kto wie właściwie w jakim... w każdym razie w jakimś innym... może drugim...? może jest szalony...? może przebywa tam gdy chce rzeczywiście, a wtedy...? może posiada jakieś nieznane, a więc groźne

możliwości, siły...? może za chwilę z nich skorzysta... i co wtedy...? i tak dalej i tak dalej! Ten ciąg myśli... ten ciąg naturalny, w takiej sytuacji... ciąg lęku, nawet strachu... nie był wcale niczym niemożliwym. Raczej narzucał się niemal! To też zrobiło mi się mego rozmówcy jakby żal.
Ale zrozumcie! Też nie bardzo wiedziałem co mam teraz zrobić! Też nie bardzo miałem wybór!
Stało się tak, że przez chwilę ciężar całej tej przygody, tej przecież stosunkowo dziwnej i nieokreślonej sytuacji, w jakiej znajdowaliśmy się od chwili tego spotkania na moście w naszym mieście - że ciężar tego wszystkiego spadł na jego barki, na niego i teraz tylko on musiał zdecydować co z nim zrobi.
Odrzuci... odrzuci i zwróciwszy się ku konwencji, ku kulturze, ku znanym normom zachowania odejdzie ku pokolonialnemu domowi w dolinie (tyle światła jeszcze było w niej, by można taką drogę przedsięwziąć) gdzie jest cywilizacja europejska.. telefon.. urzędnik jakiegoś państwa.. gdzie można spodziewać się pomocy w wyrwaniu się z tej sytuacji przedziwnej.. gdzie można zerwać kontakt ze mną... z moimi modelami... z moją tajemnicą...
Gdzie rzeczywiście za pomocą pomarszczonych, jakby starych (a to przecież nie prawda) ludzi o ciemnej skórze i lśniąco-czarnych włosach można bez trudności natychmiast wrócić do EUROPY, chociaż oni właśnie (o paradoksie) będąc tu w tych górach tej europejskiej kultury przedstawicielami, funkcjonariuszami, stróżami... sami nie mieliby nic przeciwko temu, by z facetem mówiącym takie rzeczy jak ja teraz, spędzić spokojnie i bez najmniejszego zdziwienia noc, choćby najdłuższą, pod cienkim dachem namiotu i wobec tych nieogarnionych sił przyrody, których ten facet podobno poznał zasadę, strukturę, tajemnicę.
Wszystko to było przecież technicznie możliwe!
Czy też może Rozmówca mój zdecyduje się na rzecz przeciwną?
Zostanie! Nie odczuje lęku! Zamiast tego zapragnie iść dalej ze mną poprzez kolejne progi tajemnicy, opowiadania, wtajemniczenia...
Stop!
Absolutnie nie!
Protestuję przeciw własnym myślom!
Zadnego wtajemniczenia!
Nic z tych rzeczy!
Nie!
Nie jestem żadnym szamanem, nie jestem wtajemniczony!
Jestem normalnym człowiekiem, który za pomocą normalnych, danych mu z natury instrumentów, pojął coś z tego naszego istnienia! Nieco tylko na razie więcej niż inni! Ale tylko to, co inni mogą też... zawsze... pojąć, poznać, doznać... wiedzieć.
On to wie przecież!
Starałem mu się to bez przerwy sygnalizować! Wszystkim! Postępowaniem, obyczajami... wszystkim. Jedynie moja słowa w tej próbie języka oznajmiały co innego niż opowieści przeciętnego towarzysza turystycznej wyprawy.
Czy na pewno to wie?
Czy mimo wszystko język nie jest silniejszy od rzeczywistości dotykalnej, którą przecież byłem ja sam, moje obyczaje, zachowanie, postępowanie... wszystko?
Oto właśnie próba, której byliśmy obaj poddani nocą gwiaździstą i pełną księżyca, wysoko w górach innego niż nasz kontynentu, w samotności niemal doskonałej - razem...
... na krok przed dziełem dotychczasowego mego życia...
... na krok przed początkiem jego, być może długiej i trudnej, drogi ku prawdzie, o strukturze...
...o czym...?
Zostawmy to teraz.

A więc noc i my obaj pośród niej jak gwiezdny pył...
Nie wolno mi było teraz ulżyć mu! Ulżyć ciężarowi, który leżał od kilku minut na nim! Nie wolno mi było niczym przerwać tej chwili.
Ani słowem, ani ruchem - niczym!
Musiałem czekać na jego wyrok. Wyrok nad nami być może?
A na pewno nad moją próbą języka, nad tym, czym będę się zajmował potem w najważniejszej warstwie mego istnienia.
W zachowaniu mego rozmówcy nie zaszła żadna zmiana.
Uważnie patrzył na mnie i trwał właściwie w bezruchu, jeśli nie liczyć miarowo i spokojnie podnoszących się i opadających w oddechu piersi i nieznacznego poprawienia pozycji ciała wspartego w zwinięte pod jego plecami śpiwory i koce.
Nie zdjął ze mnie swego uważnego, ale powoli pozbawianego napięcia spojrzenia, gdy zapytał.
„A więc bywasz tam... w tej uspokojonej, harmonijnej siecioprzestrzeni...” - i po krótkiej przerwie postawił jak gdyby twardy znak zapytania - „Tak?”
„Tak!” - odpowiedziałem.
Chwilę jeszcze milczał, ale patrzył na mnie.
„Kiedy chcesz?”
„Tak! Od pewnego czasu kiedy chcę.”
„Tak.. ot....?” - teraz trochę przycisnął tonem swe pytanie.
„No! Nie zupełnie. Wymaga to jeszcze pewnego wysiłku.” - odpowiedziałem, ale ton mój przestał być teraz informujący. Broniłem się tylko.
„Dawno?”
Nie odpowiedziałem natychmiast, bo nie chciałem zbyt łatwo ulegać jego naciskom, coraz bardziej odczuwalnych w pytaniach.
„Wymagało to szeregu ćwiczeń... powiedzmy to precyzyjniej... gdy pierwszy raz przekroczyłem tę granicę... no... po prostu pragnąłem tam być znowu... to nie było takie łatwe... ja wiem...? może modliłem się o to, by znaleźć się tam znowu.”
Skończyła się jego agresja. Zamilkł znowu na dłuższą chwilę. Wiedziałem, że teraz powstaje w nim decyzja.
„Opowiadaj dalej!” - powiedział spokojnie, gdy już ją w końcu podjął.
Był znów rozluźniony jak przedtem.
Uznałem to za dobry dla mnie znak! Widać, postanowił dalej uczestniczyć w naszych rozmowach.
„Widzisz...” - zacząłem więc - „...ja wiem, że to może trochę szokować... to co mówię...”
„Nie przejmuj się!” - przerwał mi - „Mnie to nie szokuje! A jeśli nawet, to po to właśnie zgodziłem się wziąć udział w tej eskapadzie, by dowiedzieć się czegoś istotnego.”
„O.K.” - ucieszyłem się tym co powiedział - „Jedziemy więc dalej?”
„Jedziemy!” - odpowiedział i uśmiechnął się do mnie uspokajająco. Widać wiedział ile mnie to w tej chwili kosztuje.
„Teraz najważniejsze jest to, byś zrozumiał że to nie jest tak, że ja się tam przenoszę. Oczywiście używaliśmy w naszej rozmowie do tej pory takiego określenia, ale było to przecież określenie - powiedzmy - robocze. Rozumiesz to przecież.”
„Rozumiem.” - potwierdził.
„To dobrze!” - powiedziałem i przystąpiłem do najtrudniejszego - „Tam nie trzeba się przenosić, gdyż my wszyscy i wszystko co istnieje jest właśnie wewnątrz tego układu. Trzeba tylko poszerzyć zakres swych doświadczeń, swego widzenia, bycia, poznawania poza naszą, zwykłą, znaną nam na podstawie doświadczenia zmysłowego - strukturę. Trzeba poszerzyć...”
„...swoje istnienie” -dokończył za mnie przerywając mi.
„Nie dokładnie!” - zaprotestowałem po krótkiej chwili zastanowienia - „Nie tyle istnienie - co świadomość tego istnienia! Rozumiesz różnicę w tym sformułowaniu?”

„Nie bardzo!”
„Nasze istnienie jest nam dane! Jest dane takie jakie jest. Ale świadomość tego istnienia to coś innego.” - znowu postanowiłem posłużyć się paralelnym obrazem - „Wyobraź to sobie na przykładzie bardzo materialnym.
Człowiek rodzi się w jakiejś wiosce, na przykład gdzieś w środku bezkresnej Syberii. Wokół, poza wioską, po sam horyzont jest step. Los tego człowieka tak się układa, że nigdy nie musiał przekraczać tego horyzontu, nie musiał nigdy nigdzie dalej wyjeżdżać, nawet zbliżać się do tej sztucznej przecież granicy jego świata, narysowanej linią pomiędzy ziemią i nieboskłonem.
Jego istnienie jest jakie jest, ale jego wiedza o miejscu w którym się znajduje przez całe życie zależy w pewnym stopniu od niego. Zależy od tego, czy tą granicę, ten horyzont przekroczy. A potem następny, i jeszcze następny.
W tym konkretnym przypadku rzecz jest stosunkowo prosta. Kultura europejska wytworzyła szereg skutecznych narzędzi, by te horyzonty przekraczać nawet bez ruszania się z syberyjskiej chałupy. Można się o tym po prostu dowiedzieć z książek, gazet, dziś nawet z telewizji, radia i tak dalej. Bo kultura nasza pojąwszy granice naszego materialnego świata, naszej najbliższej struktury - i co najważniejsze - zrozumiawszy, że człowiek wszelkie horyzonty, wszelkie granice przekracza mózgiem, nazywanym czasem zamiennie, ale błędnie umysłem...”
Przerwał mi gwałtownie.
„Chwileczkę! Czy możesz stanąć na chwilę i potem powrócić do swego opowiadania bez trudności?”
„Chyba tak!” - odpowiedziałem nieco zaskoczony - „Ale o co chodzi?”
„Chciałbym usłyszeć kilka wyjaśnień. Mogę?”
„Spróbuję.” - odpowiedziałem niepewnie.
„Wiec najpierw od końca!” - zaczął - „Jaka jest, twoim zdaniem różnica między mózgiem a umysłem?”
„Zasadnicza!” - odpowiedziałem - „Zasadnicza i prosta! Mózg to całość organu, który według wiedzy medycznej mieści się w głowie człowieka, pod czaszką. A umysł, to ta część tego organu nazywanego mózgiem, która działa! Która działa nie tylko w sensie fizjologicznym - bo w tym sensie działa cały mózg - ale w sensie właśnie umysłowym! Która działa myśląc! Nie tylko odbierając i segregując jakoś tam przyjmowane bodźce zmysłowe! Umysł to ta część mózgu, która aktywnie poznaje. To przecież zasadnicza wręcz różnica!”
„W porządku! Rozumiem! Masz rację!” - zgodził się - „Teraz kolejne pytanie. Czym w przypadku naszego poznania jest ten horyzont syberyjskiego chłopa?”
„Jest granicą naszej struktury!” - wyjaśniłem - „Tak jak on ma swój horyzont, tak kultura europejska posiada - nakreślony i ustalony przez siebie samą - horyzont, granicę! Jest nią koniec świata stwierdzalnego zmysłami ludzkimi!”
„Nie do końca rozumiem!” - powiedział.
„Nasza kultura jako całość stoi na stanowisku, że poznawać, badać można jedynie to co da się dostrzec! I to co umysł ludzki - uwaga! - tylko umysł ludzki jest w stanie zweryfikować! To jest ten horyzont! Ta granica!”
„Tak! Teraz rozumiem.”
Chwilę się namyślił.
„Powiedziałeś, że wszystko co istnieje znajduje się wewnątrz tego układu, który starałeś mi się przedstawić.” - po krótkiej pauzie zapytał z naciskiem - „Gdzie? W którym jego miejscu my na przykład się znajdujemy?”
W jak straszliwie trudne rojony zabrnęliśmy! Pytał mnie tak, jakbym posiadał całość wiedzy! Jakbym był Bogiem! A przecież ja nie tylko wiedziałem, jak bardzo ograniczona jest moja wiedza o całości, o której wiedziałem tylko, że nie jest abstrakcją, że do jej struktury można docierać i można wobec tego ją badać! Moje odkrycie, albo lepiej -

przekroczenie granicy kultury polegało na razie jedynie na tym, że wiedziałem iż w innych dymensjach, w innych poziomach istnienia też można uczestniczyć. Uczestniczyć, czyli poznawać ich prawa, strukturę, zasady, że można je wykorzystywać!
To śmieszne, ale musiałem się szybko w jego oczach... przede wszystkim jakoś odboszczyć! Musiał zrozumieć, że mimo innej wiedzy niż kultura nam przynależna, nie posiadałem odpowiedzi na wszystkie pytania. Na przykład na pytanie, gdzie jest nasze miejsce w tym univesrum, lub jaka dokładnie jest nasza osobnicza rola w całości jego rozwoju.
Powiedziałem więc wprost.
„Nie wiem! Nie wiem dokładnie gdzie w tej całościowej strukturze się znajdujemy.” - ale też dodałem szybko mą roboczą hipotezę - „Podejrzewam jednak, że jesteśmy w środku któregoś z tych węzłów.”
Wyraźnie nie wystarczała mu ta odpowiedź, więc starałem się dalej wyjaśniać, zdając sobie sprawę z tego, że wyjaśnienia moje mogą mu jedynie rzecz całą zaciemnić.
„Problem w tym, że musisz zrozumieć naszą znikomość wobec tej całej struktury! Nie wiem, czy gdyby mierzyć to wszystko - co jest absurdem, gdyż nieskończoności mierzyć niepodobna - to czy byłyby jednostki dość małe, by nasze człowieczeństwo w ogóle ująć.”
„Wiec wszystko to jest bez sensu!” - niemal krzyknął oburzony - „Wszystko to jest absurdem i rzeczą bez znaczenia! Zwłaszcza człowiek!”
„Wręcz odwrotnie!” - zaprotestowałem teraz równie gorąco - „Przenigdy!”
Emocje dużo kosztują w tak rzadkim powietrzu. Ale człowiek nie jest maszyną dającą się w pełni rozsądnie programować. Dyszałem, gwałtownie, z trzdem łapałem powietrze, ale mówiłem dalej.
„Zrozum! Ten układ nie mógłby istnieć, gdyby zabrakło w nim najmniejszej jego cząstki, która jest jego składnikiem! Całość tej niebywałej harmonii polega właśnie na tym, że wszystko jest absolutnie niezbędne i wieczne!”
Nic nie odpowiedział, tylko siedział naburmuszony. Mówiłem więc dalej.
„To trudne! Ja wiem! Ale tak to jest!
Te węzły, być może, posiadają znowu wewnątrz taką samą strukturę jak całość. I tam gdzieś my jesteśmy...”
„Chwileczkę!” - znowu się zaktywizował - „Powiedziałeś przed chwilą, że to wszystko jest wieczne. Człowiek też?”
„Niewątpliwie!” - odpowiedziałem, ale też natychmiast dodałem - „Ale czymże jest człowiek w tej całości...”
Ostatnie moje zdanie nie miało być wcale pseudofilozoficznym wykrzykiem jedynie! Chciałem dalej mówić, ale przerwał mi znowu nerwowo.
„Właśnie! Czym jest człowiek w tej całości?” - opatrzył swe pytanie sarkastycznym zastrzeżeniem - „Jeśli w ogóle jest na takie pytanie odpowiedź!”
„Jest!” - odpowiedziałem możliwie spokojnie.
Starałem się za wszelką cenę uspokoić przebieg rozmowy, bo zdawałem sobie sprawę z tego, że na tej wysokości ostrego tępa mówienia organizm nie zaakceptuje i zmusi nas do przerwania.
Szczęśliwym trafem prowokacyjne pytanie mego Rozmówcy pozwoliło mi teraz wziąć jakby w cugle jego emocje i temperament, a jednocześnie samemu się opanować. Bo przecież nie można sobie wyobrazić, by ktoś zrezygnował z usłyszenia odpowiedzi na pytanie - czym jest człowiek? Zwłaszcza w takiej sytuacji, w jakiej znajdował się teraz mój Rozmówca.
Skoro więc zdecydował się zadać takie pytanie, a ja zadeklarowałem, że udzielę na nie odpowiedzi - był przez jakiś czas zupełnie w moim ręku. Musiał zaakceptować narzucony przeze mnie rytm, jeśli rzeczywiście oczekiwał wyjaśnień.
Mówiłem więc teraz znowu powoli, jakby cedząc każde słowo przez gęste sito zastanowienia, przypominając przy okazji najważniejsze elementy tego zagadnienia, które

już wcześniej zasygnalizowałem.
„To, że jest wspaniałym i przedziwnym wybrańcem, pamiętasz?”
„Pamiętam, chociaż...”
„Później!” - przerwałem mu dość brutalnie, ale korzystałem ze swej obecnej przewagi.
„Ale zostawmy na razie to wybraństwo, które cię tak interesuje!” - kontynuowałem - „Są rzeczy ważniejsze!”
Po tak obiecującej informacji pozwoliłem sobie na krótki odpoczynek. Podjąłem temat od razu w samym jego sednie.
„Człowiek, jak wszystko co postrzegamy naszymi zmysłami - jest szczególną i chwilową formą istnienia tej wszechobecnej energii! Ona postaciuje się niejako! Przybiera przejściowe, a więc będące w stałym rozwoju i doskonaleniu kształtu, formy! Formy, które są jej potrzebne, konieczne do jej samej - bezustannego rozwoju! Proste?”
Nie odpowiedział mi, bo też takie pytanie było zwykłą prowokacją. Oczywiście nic tu nie było proste. Zwłaszcza, gdy zdać sobie sprawę z konsekwencji takiego stanowiska. Mówiłem więc znowu.
„I o tyle, o ile jest rozwojową formą wiecznie i wszędzie istniejącej energii, jest oczywiście też wieczny! To logiczne i proste jak świeczka!
Natomiast prymitywne pytanie, czy jest wieczny jako kształt nam znany znajduje swą odpowiedź po prostu w biologii. Do tego nie potrzeba żadnej znajomości struktury zasadniczej. Wystarczy pójść na cmentarz.”
Teraz już mój Rozmówca nie wytrzymał.
„Czyli ten wieczny człowiek po pewnym czasie istnienia w swej formie roztapia się w całości tej energii! Czyli po prostu znika i tak na zdrowy rozum przestaje istnieć jako coś konkretnego poza masą całości! Czyli nie istnieje! Istnieje tak jak rozwiana chmura pary w całości nieogarnionej rzeczywistości universum!”
„Bzdura!” - zareagowałem natychmiast - „Tak by było, gdyby człowiek był jedynie materialną formą tej całościowej energii! Ale tak nie jest! Jako istota wybrana, a więc nie tylko materialna, ale i umysłowa człowiek w procesie rozwoju tworzy też niezbywalne elementy tej całości. Wnosi w nią swój rozwojowy wkład! I ani ten wkład nie ginie, nie rozpływa się, ani sam człowiek. I wcale nie chodzi mi tutaj o jakieś nowe jego przyszłe wcielenia! To co niektóre kultury nazywają reinkarnacją ja w całości odrzucam. Istnienie w kolejnym etapie rozwoju energii nie jest reinkarnacją, bo w nic się nie wciela!
To stosunkowo łatwo sobie wyobrazić! Wartość nie koniecznie musi się uosabiać z pieniądzem, który jest jej parytetowym znakiem. Wartość czegoś istnieje bez jej konwencjonalnych jednostek. I teraz gdyby powiedzieć, że znaczenie wynikające z samego istnienia człowieka jest czymś w rodzaju wartości, to wcale ona nie potrzebuje się reinkarnować w pieniądz, złoto,czy jakieś tam brylanty, by istnieć dalej.”
Zaczynałem odczuwać zmęczenie. Zwykłe fizyczne zmęczenie. Ale wiedziałem też, że jeszcze kilka godzin nie będą mógł tak naprawdę odpocząć. Klimat nie pozwoli na to. Dopiero sztuczny klimat w wielkim samolocie przyniesie ulgę organizmowi mieszkańca nizin.
Mój Rozmówca też musiał to odczuwać, niemniej starał się jeszcze aktywizować swój mózg. Po chwili ciszy zapytał.
„Powiedz mi! Po co mi to wszystko opowiadasz?”
Zaskoczył mnie tym pytaniem, to też dałem wyraz memu zdziwieniu.
„Nie rozumiem!”
„No... po co szukałeś słuchacza wtedy, gdy spotkaliśmy się na moście... po co ci w ogóle słuchacz... dlaczego potrzebujesz mówić... z jakiegoż to ważnego powodu musisz mówić na te tematy? Chcesz koniecznie być jakimś nauczycielem?”
„Przenigdy!” - zaprotestowałem gwałtownie.
„Więc co?” - zapytał brutalnie.
Sprawiło mi to niekłamaną przykrość.

Rozumiałem jednak, że i w nim napięcie wynikające z sytuacji gwałtownego przewartościowywania całości istnienia wytwarzało tą agresywną postawę. Człowiek właściwie zawsze broni się poprzez agresję.
Szkoda!
Czy nie można by bronić się współdziałaniem?
Odpowiedziałem.
„Mój drogi! Nauczycieli jest na tym świecie chyba więcej niż uczniów! Natomiast niewielu jest potrzebujących."
Natychmiast zdałem sobie sprawę z tego, że ostatnie zdanie, które powiedziałem przed chwilą, może dla niego nic nie znaczyć, albo sygnalizować jedynie me załamanie czy wręcz histerię.
Nie myliłem się, bo też zapytał.
„Ty jesteś potrzebujący?
„W pewnym sensie!" - odpowiedziałem - „W pewnym zasadniczym sensie!"
Ostatniej mej wypowiedzi nadałem ostry ton, by tym samym dać jasny sygnał, że o żadnej histerii z mej strony mowy być nie może.
I już bez wątpliwości mówiłem dalej.
„Ja chcę być, mój drogi, przedmiotem, a nie podmiotem!"
Dalsze słowa uwięzły mi w gardle, ale postanowiłem mimo wszystko wyjaśnić mu tę sprawę do końca.
„Ja nie chcę nikogo niczego nauczać! Czy nie widzisz, że robię wszystko, by nawet tobie, teraz i zawsze, pozostawić zupełnie wolną rękę! Wolną rękę w decydowaniu, czy uznasz to, o czym cię informuję za ważne, czy też uznasz to za bzdurę?
Gardzę tymi, którzy posiadłszy jakąś tajemnicę przemieniają się od razu w nauczycieli o rzeczywistości. Wielu z nich, jeśli nie wszyscy oni, wiedzą o istnieniu bez porównania mniej niż ja. Gdy ich słucham, gdy patrzę na ich działania, ogarnia mnie jedynie śmiech! Rozumiesz!
Ogarnia mnie śmiech! Bo oni postępują jak szarlatani! Marnują to zdarzenie, które polega na tym, że człowiek coś więcej zrozumie! Przemieniają to w pieniądze, popularność, a głosząc swoje półprawdy wyrządzają ludziom wiele zła! A mogliby wyrządzić dobro! Rozumiesz?" - niemal krzyknąłem.
„Nie rozumiem!" - odkrzyknął.
„A więc powiem ci wprost!" - teraz nie oszczędzałem już mego organizmu - „Ja chcę być przedmiotem badań! Ja nie chcę popisywać się swymi umiejętnościami wynikającymi ze znajomości struktury całości. Ja chcę zmusić naukę, chcę zmusić kulturę, by zajęła się rzeczą która istnieje, a która do dziś jest w tej kulturze tabu. Której nie bada się, bo należy - dla tej kultury - do świata parapsychologii, parabiologi, parafizyki, do świata określanego w tej kulturze jako paranormalny!
A to nie jest żaden świat paranormalny! To jest świat jaknajbardziej normalny i bliski nam wszystkim. Ja chcę by stał się on własnością tej kultury! Tylko wtedy będzie własnością wszystkich was!
Ja chcę zmusić kulturę do przekroczenia granicy i do tego jest mi potrzebna ta próba języka! Próba, czy za pomocą języka tej kultury da się o tym wszystkim mówić, czy za pomocą tego języka można się w tych sprawach porozumiewać, informować.
Rozumiesz teraz!"
Kiwnął tylko głową na znak, że trafiłem swymi słowami do jego przekonania.
Posmutniał.
Ja byłem zmęczony do granic. On też nie był wypoczęty.
Wsunęliśmy się bez słowa do naszych śpiworów, z nimi razem do namiotu, i chociaż natura nie pozwalała nam na sen, próbowaliśmy dać odpoczynek naszym ciałom w tych ostatnich godzinach przed świtem, gdy to nasz mały samolocik przyleci po nas i zwróci nas nizinom, naszej europejskiej cywilizacji.

ROZDZIAŁ VI - PODROZY DZIEN PIATY.
PYTANA... TAJEMNICE...

Jak zawsze, tak i tym razem opuszczałem dolinę z żalem.
Lubiłem to miejsce na ziemi, spędziłem tu wiele wspaniałych dni i tym razem pozostawiałem pośród spokojnych gór ważne wspomnienie mej wielkiej próby języka.
Mój Rozmówca również pozostawał pod urokiem tego miejsca.
Gdy udawaliśmy się wolnym krokiem w kierunku naszego przekolorowego samolociku, który dokładnie o umówionej godzinie przyleciał po nas spoza przełęczy, spoglądał wokół, jakby chcąc zabrać ze sobą wszystkie te widoki.
„Może wrócę tu kiedyś jeszcze?” - powiedział jakby do siebie.
„Może!” - potwierdziłem.
Teraz dolina żyła.
Wokół domków kręcili się tu i ówdzie ludzie, z największego domu znów wyszło trzech mężczyzn udając się w kierunku naszego namiotu, by zabrać go z powrotem.
Oni szli sprzątnąć po nas, a my jak po promenadzie europejskich miast, z swymi jedynie małymi torbami podróżnymi na ramieniu i wolnym, spacerowym krokiem szliśmy w kierunku samolotu.
Komuś, kto nie zna stosunków w tym kraju, albo nie zastanowił się nigdy poważniej nad tym co tu się dzieje - może się to wydawać jakąś niemiłą pozostałością po kolonialnych stosunkach wprowadzonych tu przez Brytyjczyków!
Nic bardziej błędnego!
Opłacana przez przybyszów pomoc tutejszych mieszkańców wynika z poważnego i posiadającego wielowiekowe już, jeszcze przedkolonialne tradycje w obyczajowości tych ludzi.
Pomoc, o którą tu łatwo... a właściwie niemal instynkt pomocy... wynika z jasno uświadomionej sobie wiedzy, że przybysz z dolin jest w tym miejscu niemal bezbronny, nim poznawszy świat gór stanie się równorzędnym partnerem człowieka tu mieszkającego. Oczywiście nigdy mu nie dorówna pod pewnymi względami, bo czas jednego życia ludzkiego to zbyt krótki okres na pełną adaptację. Ale to partnerstwo może wynikać z pewnego podstawowego quantum zdobytej wiedzy o otaczającej przyrodzie, miłości do niej, a także z zasadniczego przynajmniej przygotowania własnego organizmu do działań w tym otoczeniu. Mieszkaniec gór potrafi cenić możliwości przybysza! Chociaż zawsze, pod pewnymi względami pozostanie odeń lepszy.
Z kolei zapłata jest rodzajem normalności kontaktów między ludźmi, z których jedni ofiarowują swe wyjątkowe możliwości, a drudzy chcą z nich skorzystać. W ten sposób ma to charakter współdziałania, a nie posługi.
Zresztą zapłata ta pozostaje tu od dawna niska! I znowu nie jest prawdą, że nie dałoby się jej podnieść, że mieszkańcy gór są na te niskie zarobki skazani! W sezonie wspinaczkowym ruch tu bywa bardzo duży, napływ spragnionych wrażeń turystów obfity, a monopol na tę konieczną pomoc wydaje się nie do podważenia. Jednak mieszkaniec gór nie chce na swej pomocy robić przysłowiowych dużych pieniędzy. Wówczas jego pomoc przestałaby mieć charakter właśnie pomocy i przemieniłaby się w pracę. Zostałby naruszony jej odwieczny charakter, a to z kolei mogłoby mieć szereg negatywnych, a nawet groźnych skutków dla osobowości tych ludzi. Mogłoby naruszyć ich suwerenność - naruszyć rozumiane przez nich miejsce w całości istnienia.
Pobierają więc tylko taką opłatę, która wydaje im się rzeczywistą rekompensatą ich trudu. Która im wystarcza!
Rzadko kiedy zwracamy uwagę na głębszy sens pewnych obyczajów ludów silnie i odwiecznie związanych z ekstremalnie trudną przyrodą.
Dwa silniczki naszego pojazdu, które pilot pozostawił w ruchu, skutecznie i absolutnie

likwidowały teraz zwyczajną tutaj ciszę. Ich hałas odbijał się od otaczających dolinę skał, zwielokrotniając dźwięk. Przypominał mi brzęczącą muchę zamkniętą w wielką, szklaną i pustą bańkę do wina, poszukującą wylotu wokół śliskich i zimnych powierzchni.
Po godzinie siedzieliśmy już w brzuchu skrzydlatego wieloryba unoszącego nas z powrotem ku sercu naszego starego kontynentu.
Tym razem wykorzystaliśmy siedmiogodzinny lot na zasłużony sen. Zaraz po śniadaniu powiesiliśmy na oparciach naszych foteli plakietki informujące, że prosimy o tak zwany święty spokój, że nie interesują nas napoje, cukierki i inne atrakcje serwowane w tej linii mniej więcej co godzinę. Stewardesy zastosowały się do tego naszego życzenia i obudziły nas dopiero tuż przed samym lądowaniem.
Sen nas pokrzepił wyraźnie. Reszty dopełniła silna i wspaniałe kawa już w hali lotniska, gdzie oczekiwaliśmy na nasze niewielkie torby, bo tym razem cały bagaż trzeba było oddać.
Jak zwykle z fantazją wykorzystując najmniejszą nawet ilość miejsca jezdni w popołudniowym ruchu iskrzącego się życiem śródmieścia, taksówkarz przywiózł nas pod spokojny hotelik. Wzięliśmy krótki prysznic i odświeżeni wyruszyliśmy spacerem w najpiękniejszy na świecie, renesansowy kompleks miejski.
Ludzie budujący te wspaniałe harmonijne budowle, wierze o najcudowniejszych proporcjach i rysunku, przeczyste w formie sklepienia, łuki, okna i nadproża dostojnych bram, wtedy właśnie w radosnym nastroju uwolnienia od mrocznych tajemnic bytu wynosili umysł ludzki na niebotyczny piedestał, czyniąc zeń na wiele stuleci początek i koniec człowieczeństwa.
„Tak gwałtownie protestowałeś w nocy przeciw podejrzeniu, że można by cię określić nauczycielem.” - powiedział w pewnym momencie mój Rozmówca - „Czy to rzeczywiście napawa cię taką niechęcią?”
„Naprawdę!” - odpowiedziałem wprost.
„Ale dlaczego? Czy mógłbyś mi to teraz spokojnie wyjaśnić?”
„Oczywiście.”
Zastanowiłem się przez moment, by wyjaśnienia uczynić absolutnie jasnymi:
„Posłuchaj...”
Rozpocząłem spokojnie swą odpowiedź na ważne skąd innąd pytanie.
„Najpierw należy zdać sobie sprawę z tego, że nie wszystko może być przedmiotem jakiegokolwiek nauczania, a więc i nauczycielstwa!
To niesłychanie ważne!
Bo sam proces nauczania kogoś czegoś jest sprawą poważną i odpowiedzialną.
Właściwie przedmiotem nauczania powinna być tylko wiedza! Tylko to co zostało możliwie dogłębnie zbadane, solidnie zweryfikowane. Coś, co nie jest jakąś wyłączną własnością jakiegoś „wiedzącego” czy jakiejś, stosunkowo niewielkiej grupy tych, którzy zgodzili się między sobą, że coś wyglądy tak a tak, lub jest tym i tym. To jeszcze przecież nie jest wiedzą o czymś - to jest zazwyczaj dopiero jakimś przeczuciem, podejrzeniem.
Ta zasada powinna obowiązywać nawet wtedy, gdy mamy do czynienia z przeczuciem, czy podejrzeniem podstawnym, takim które w przyszłości okaże się weryfikowalne! Rozumiesz?”
„No tak!” - odpowiedział.
Tłumaczyłem dalej.
„Zwłaszcza, gdy coś dotyczy zjawisk rzadkich, albo dopiero co ujawnionych - trzeba zachować niesamowity umiar w ich przekazywaniu. Nim zacznie się czegoś nauczać innych należy taką wiedzę zweryfikować.
A więc jej odkrywca musi zrozumieć, że nie jest jej jakimś właścicielem, czy jedynym posiadaczem. Ma zatem obowiązek znaleźć niezależnych współpracowników do zbadania takiego zjawiska. Niezależnych, a więc przede wszystkim wolnych od fascynacji tym zjawiskiem, które ma być badane! Muszą to być badacze dość sceptyczni, aczkolwiek

otwarci na zjawiska nieznane. Nie aż na tyle sceptyczni, by z góry odrzucać wszystko, co grozi jednak koniecznością weryfikacji dotychczasowych obowiązujących sądów.
Dlatego powiedziałem ci wczoraj, że ja nie chcę być podmiotem nauczającym, a raczej przedmiotem badania!
Ja wiem jak badacza wprowadzić na przyszły teren badań i to jest właśnie moim celem. Ja naprawdę nie mogę być nauczycielem, bo ja nie wiem czego mógłbym nauczyć! Ja sam nie wiem właściwie jakie prawa rządzą tą strukturą! Ja wiem przede wszystkim to, że ona jest przez mózg ludzki osiągalna i że można i należy za pomocą tego mózgu zacząć ją poznawać, tak jak kiedyś zaczęto poznawać nieznane oceany, lądy, przestrzenie międzygwiezdne, prawa rządzące wnętrzem atomu, genami itd."
„Rozumiem!" - powiedział - „Dlatego też tak bardzo protestujesz przeciwko nazywaniu zjawisk, które opanowałeś jako paranormalne."
„Właśnie!" - dodałem - „Przecież tak zwana normalna nauka nigdy nie zajmie się czymś co uważa za paranormalne. Musi najpierw zrozumieć, że przedmiotem jej badań ma być w tym przypadku rzeczywista normalność, tyle że nowa. Dopiero odkryta."
Postanowiłem też dodać jeszcze jedno, bardzo istotne stwierdzenie.
„Ale jest jeszcze jeden ważny aspekt tego wszystkiego!
Ja twierdzę, że takie możliwości jak ja ma każdy człowiek!
To jest mój dowód na normalność.
Oczywiście nie każdy w tym samym stopniu, tak jak nie każdy może biegać sto metrów poniżej dziesięciu sekund. To jasne! Ale biegać może każdy zdrowy człowiek i każdy, w miarę uprawianych ćwiczeń może biegać coraz szybciej czy dłużej.
Oczywiście nie jest dobrze, gdy ktoś, kto zaledwie wie że może biegać, chce od razu innych ludzi uczyć biegania! Może im w ten sposób wyrządzić dużo krzywdy.
Przeciwko takiemu nauczycielstwu ja protestuję i nigdy nie chciał bym się do takich ludzi zaliczać.
A niestety!
Wszyscy ezoterycy, wszyscy szamani zjawisk odmiennych od powszechnie znanych, są dla mnie takimi niebezpiecznymi nauczycielami. Uczą, zamiast badać, albo uczą już nie do końca zbadanej pseudowiedzy.
Na tym polega ich niebezpieczeństwo i głupota."
„A buddyzm?" - zapytał - „To przecież wiedza z wiekowym doświadczeniem! Czy tych nauczycieli też oceniasz tak samo ostro?"
„To zupełnie inny sprawa!" - powiedziałem.
„Na czym polega ta inność?" - zapytał.
Nie byłem zadowolony z tego, że weszliśmy na taki grunt, ale cóż! Gdy się mówi „A" to nie można migać się przed powiedzeniem „B".
„Widzisz..." - kontynuowałem więc - „Sam buddyzm jest mądrzejszy od tych, którzy się nim nieodpowiedzialnie po całym świecie posługują, nauczając po prostu głupstw.
To jest rozległa i wspaniała wiedza nie tyle o świecie, nie tyle o człowieku, co o jego organizmie.
To jest głównie technika dokonywania z organizmem człowieka rzeczy często bardzo mu potrzebnych. Ale z organizmem, nie z człowiekiem. To wspaniałe techniki skupienia, opanowywania fizjologicznych reakcji poszczególnych organów i tak dalej.
Te techniki i wiedza o tych technikach jest wielka i wspaniała. Ale to nie jest nic więcej!
Za pomocą tych technik może człowiek przeżyć szereg wyjątkowo efektownych stanów, odczuć, wrażeń. Jeżeli są mu do czegoś potrzebne to doskonale, niech sobie każdy z tego korzysta, jak go dobrze nauczą stosowania tych technik.
Ale za pomocą tych rzeczy nie można się niczego o niczym dowiedzieć!
To jest jakaś doskonałość w uzyskiwaniu bierności. Jeżeli to otwiera jakieś horyzonty, to tylko pasywne jak gdyby. Uczy co człowiek może zrobić ze swym organizmem.
Mnie natomiast interesuje przede wszystkim jak człowiek może swój organizm użyć dla

poszerzania wiedzy o istnieniu. Nie swoim tylko, ale o istnieniu całościowym. Jego zasadach i formach.
Pod pewnym względem ci nauczyciele są ważni!
Tak samo jak każdy dobry trener! Uczą jak opanować i używać organizm dla niego samego. Ci ludzie przynajmniej wiedzą czego uczą. Ja ich szanuję jako fachowców, ale to nie jest dla mnie najważniejsze.
Dla mnie człowiek jest przede wszystkim istnieniem poznającym i na tym polega jego wybrańswo. Ma też więc i taki obowiązek!
Wszelkie stany nirwany, wszelkie stany wyłączenia człowieka z procesu poznawania - a więc wszystko co można by nazwać ideologią odpoczynku i zasadniczym akcentowaniem tego odpoczynku - są dla mnie po prostu zaprzeczeniem sensu i wybraństwa człowieka aktywnego - poznającego."
Na ulicach zaczynał powoli panować nastrój wieczornego odpoczynku. Zapełniały się powoli winiarnie i restauracje, ludzie śmiali się, żartowali, prowadzili ożywione rozmowy.
Mój rozmówca zapytał.
„Czyli głównym twoim celem jest doprowadzić do badań układu energetycznego, który poznałeś?"
„Coś w tym rodzaju!" - odpowiedziałem - „A właściwie do spopularyzowania tych badań - ich nasilenia na potrzebną skalę.
Nie jest na szczęście tak, że nikt na świecie nie interesuje się dziś takimi badaniami. Już kilka instytutów prowadzi je na dość poważnym poziomie.
To co ci opowiedziałem, ta cała kolorowa struktura wszechogarniającej wszystko energii ma już nawet swą roboczą nazwę. Określa się to jako pole monogenetyczne, czyli pole jednorodne, niepodzielne i wszechogarniające. Ale to wszystko mało. Znacznie za mało środków się w to angażuje."
„Dlaczego?" - zapytał.
„Bo ciągle jeszcze za wielu naukowców uznaje to za zjawiska paranormalne." - odrzekłem.
„Nie o to pytam!" - poprawił się - „Chciałbym wiedzieć, dlaczego te właśnie badania uważasz za takie ważne? Czy dlatego, że znasz ten poziom, tą dymensję?"
„Oczywiście! Ale nie chodzi o to, że jest to ważne, bo ja to znam. Tu nie chodzi w najmniejszym stopniu o mnie!"
„Więc o co?"
„Chodzi o to, że poznanie praw i zasad rządzących, albo obowiązujących w tej innej, głębszej, albo zwierzchniej strukturze musi automatycznie udzielić odpowiedzi na niemal wszystkie pytania stawiane dziś sobie przez naukę."
„Na wszystkie?" - aż krzyknął zaskoczony.
„No, prawie. Trudno przewidzieć. Ale pewnie na większość."
„To jakieś szaleństwo! To jest koniec nauki!" - oponował.
„Skądże!" - broniłem mego poglądu - „Wręcz odwrotnie! To dopiero początek nauki! Tylko nauki opartej o zupełnie inny horyzont!"
„Jak to sobie wyobrażasz?"
„Dość prosto! Pewnie za prosto, bo nie jestem naukowcem.
Tu potrzeba specjalistów - metodyków nauki, czyli określenia form badań, potrzeba solidnego filozoficznego zrozumienia sensu badań na tym poziomie i tak dalej i tak dalej...
Konieczny jest cały nowoczesny warsztat naukowy z koniecznym sprzętem, normalnymi funduszami na poważne laboratoria, nowe technologie, potrzebne do badań takiego przedmiotu. Z takim tematem nie mogą spierać się jedynie jacyś nawiedzeni odkrywcy, czy tacy ludzie jak ja. My możemy stanowić jedynie bramę, przez którą nauka profesjonalna tam wejdzie. Wtedy wiele pytań uzyska konieczne odpowiedzi, ale pojawią się nowe, na zupełnie innym poziomie.
To nie jest koniec nauki, to jej kolejny początek.
Zrozum!

To byłby moment taki, jak po odkryciu Kopernika.
Przed nim badanie układów międzyplanetarnych nie było możliwe. Dopiero odkrycie rzeczywistej struktury umożliwiło jej badanie."
„No tak, ale..."
Poprosiłem, żeby jeszcze chwilę mi nie przerywał. Chciałem jeszcze coś wyjaśnić.
„Gdy kilka lat temu genetycy stanowili konkurencję (w sensie funduszy) dla badaczy zjawisk nowotworowych, gdy po prostu jakby zabierali im część pieniędzy na badania, to podnosił się krzyk, że walka z rakiem na tym ucierpi. Tak myślał przeciętny człowiek bojący się raka. Wolałby, żeby dalej badano samą chorobę.
A tymczasem dziś już wiadomo, że postęp w genetyce jest w stanie wręcz zrewolucjonizować wyniki badań prowadzące do zwalczania nowotworów.
Można by to tak powiedzieć; - po co zajmować się szczegółem, skoro zbadawszy całą maszynę, jej zasadniczą funkcję, zasadniczy mechanizm, jej całościową zasadę niemal automatycznie rozumiemy ten szczegół. Dalsze jego badanie jest już stosunkowo łatwe.
Dlatego uważam, że zawsze należy - w miarę możliwości - poznawać rzeczywistość od najwyższego jej poziomu jaki jest dostępny?
Odpowiedzi na wielkie pytania naukowe mieszczą w sobie setki odpowiedzi na pytania szczegółowe."
Krążyliśmy dalej wśród kolorowego tłumu.
Poczuwszy zmęczenie postanowiliśmy znaleźć przytulny stolik w którejś z winiarni.
Zajrzeliśmy do kilku, aż wybraliśmy jeden otoczony łagodnie pachnącymi kiściami białych, podobnych do akacji kwiatów.
Był to lokal przeznaczony przez właściciela widocznie dla starszej wiekiem klienteli, gdyż z dobrych głośników słychać było dyskretnie brzmiącą, właśnie renesansową muzykę. Nasz wewnętrzny ogródek nie zapełnił się jeszcze gośćmi i dłuższy czas byliśmy w nim zupełnie sami z butelką doskonałego, lekko musującego wina zawierającego niewielki procent alkoholu. W połączeniu z kolejną kawą orzeźwiło nas ono wspaniale, a myślom naszym nadało cudowną wręcz lekkość i poczucie radości.
Mój Rozmówca był całkowicie rozluźniony. Rozciągnął się niemal na wygodnym wiklinowym fotelu i spokojnie palił papierosa.
„Na czym polega teraz różnica między nami?" - zapytał - „Tak wspaniale mi przekazałeś tą strukturę w twym opowiadaniu, że widziałem ją dokładnie. Czy to już jest ta obecność w niej, czy polega to na czymś jeszcze innym?"
„To jeszcze nie to o co mi chodzi, ale myślę, że niedługo pomogę ci żebyś tam był." - wyjaśniałem mu.
„To co poznałeś jest ważnym sygnałem, byś potem stykając się z tą strukturą już częściowo ją znał, żebyś wiedział wobec czego stajesz.
Ale na razie była to pewnie projekcja wyobraźni. Zobaczyłeś obraz, który ci opowiedziałem. To tak, jakbyś dowiedział się dużo na przykład o wiecznych lodach Arktyki i wyobraźnia pozwoliłaby ci zebrawszy te wszystkie informacje zbudować jakiś ich obraz.
Ale co innego jest widzieć, a co innego być wewnątrz. Gdy jesteś tam, możesz używać tego wszystkiego. Możesz ułamać kawałek lodu, ostudzić nim czoło i tak dalej! Z obrazem jeszcze tego nie zrobisz, ale poznać obraz to jest już dużo."
„No dobrze! Powiedziałeś, że nazywają to polem monogenetycznym. Ale jak zwykle, takie techniczne określenie naukowe dla przeciętnego człowieka niesie najmniej informacji.
Zazwyczaj służą one do szybkiego porozumiewania się specjalistów.
Czy mógłbyś mi nieco to przybliżyć, określić to jakimś łatwiejszym, prostszym językiem?"
„Spróbuję!" - zgodziłem się - „Może się uda?"
„W porządku!" - ucieszył się - „Wobec tego - co to jest ta uporządkowana, stale rozwijająca się energia, której jesteśmy częścią, czy jedną z form jej mutacji?"
„Jest całością!" - powiedziałem - „Tak można by to najprościej powiedzieć."
„Czego całością?"

„Wszystkiego! Jest wszystkim.”
„Trudne!” - powiedział cicho - „A więc jest Bogiem?”
Nie można było się dziwić takiej asocjacji, ale nie chciałem by, utrwaliło się w nim takie pojmowanie całości. Wyjaśniałem więc dalej.
„Gdy zacznie się porównywać to co o tej całości możemy powiedzieć i to co nasza kultura przypisuje pojęciu Boga - to rzeczywiście większość atrybutów mogłaby być identyczna.
Ale ja tego tak nie nazywam i przestrzegałbym cię przed likwidacją jednego pojęcia drugim. Na terenie naszego systemu pojęć nie jest to bezpieczne. Powiem ci zresztą później, dlaczego tak uważam.
Inne kultury są w tym względzie ostrożniejsze.
Na przykład w filozofiach wschodu używa się określenia Prana czy Chi, Hippokrates mówił o uzdrawiającej sile natury i tak dalej. Ale ani Prana, ani Chi, nie jest w tych filozofiach bogiem jako takim.
Rozumie się tam, że owa struktura powinna być pojmowana bardziej w kontekście naturalnym niż mistycznym. To tak, jakby ci filozofowie zwracali uwagę na to... co dla mnie jest też niesłychanie ważne...
...że to jest całość naturalna, tylko istniejąca na innym jakoby piętrze.
Całości zawierająca w sobie jej odwieczny plan rozwoju istnienia. Jakby była samym tym planem, czy jego zasadą.
Co do boga religii monoteistycznych czyli pojmujących całość istnienia podobnie do judeochrześcijaństwa... rzecz jest trudna, jeśli temu bogu nie chce się odebrać jego istotnego atrybutu, jakim jest jego osobowość. Stanowisko, że jest osobą!
Dla mnie to co poznaję trudno byłoby uznać za osobę jako całość, więc nie nazywam tej całości Bogiem. Chociaż wydaje mi się, że tym właśnie byłby Bóg - gdyby chciał, by go poznano umysłem człowieka jako byt!”
„Czy nie obawiasz się tego, że to co powiedziałeś teraz może być potraktowane jako bluźnierstwo?” - zapytał patrząc na mnie uważnie:
„Bo ja wiem?” - zamyśliłem się na chwilę.
„Bo przecież judeochrześcijanie mają Biblię, muzułmanie Koran... To są objawienia, czyli Bóg chciał tak właśnie objawić się człowiekowi?”
„To też ja nie mówię, że poznaję, czy przekazuję Boga!” - powiedziałem - „Dlatego właśnie zwracałem uwagę na niestosowność takiego porównania!”
„Ale twierdzisz, że jest to absolutnie wszechcałością.”
„Tak to poznałem.”
„I że nic poza tym być nie może!”
„Tego nie wiem! Wiem tylko, że to jest wszystko.”
„A czy to się nie wyklucza?”
„Dla mnie nie!
Ale na terenie języka, którym musimy się posługiwać, bo innego narzędzia komunikacji nie mamy - na terenie tego języka - masz rację! Zachodzi duże niebezpieczeństwo!”
Doprawdy nie było wyjścia z tej kwestii. Ale broniłem się dalej.
„Zrozum!
Przecież nie można uciec od czegoś co się wie. Ja nie mogę tego inaczej sformułować.
Natomiast powiedziałem ci już!
To jest początek drogi, a nie jej koniec!
To nie są generalne odpowiedzi na wszystkie pytania! To są właśnie pytania! Badanie tej struktury przyniesie odpowiedzi.
Mam nadzieję!”
Wydawało mi się, że jeszcze bardziej się zaplątałem, to też skończyłem oczywistym sloganem.
„Bez odkrycia Kopernika nie można było nawet stawiać pytań o na przykład zaćmienia słońca. Wiedziano tylko, że coś takiego istnieje.

To odkrycie też postawiło więcej pytań niż udzieliło odpowiedzi!
Odkrycie to jest droga - nie jej cel.”
Teraz już tylko można było powtarzać w nieskończoność te same argumenty. Mój Rozmówca też zrozumiał tą sytuację, więc nie drążyliśmy dalej tej sprawy. Zapytał jednak po chwili o coś innego.
„Jak się czujesz wiedząc to co wiesz, wśród ludzi, którzy o tym nie wiedzą? Którzy wobec tego budują swe postępowanie na błędnych podstawach?”
„Jak dłużnik! - odpowiedziałem bez namysłu.
„To chyba niezbyt miłe? Takie samopoczucie do przyjemności nie należy.”
„Słusznie!” - przyznałem mu rację - „Ale jak widzisz, staram się ten dług zmniejszać.”
„Nie patrzysz na nas jak na idiotów?”
„Na przeciętnych ludzi nie! Przyznam jednak, że denerwują mnie ci, którzy z tym tematem aktywnie walczą.”
„Różni święci, stygmatycy, wizjonerzy, którzy mieli objawienia, byli przeważnie obarczeni ciężkimi cierpieniami. Czy ty...”
„Nie!” - przerwałem mu - „Może dlatego nie można mówić tu o jakimś objawieniu, a jedynie o poznaniu.
W zasadzie taki kontakt jest nadzwyczaj przyjemny. Ale ta wiedza nie oddana ludziom potrafi ciążyć. Przede wszystkim drażni czasem.
Denerwuje! Domaga się czegoś!”
„Tak!” - powiedział znów jakby do siebie - „Rozumiem to. To może być rzeczywiście męczące.”
Lekka kolacja złożona z „wszystkiego co pływa” urozmaicona lekkim, cierpkim, białym winem towarzyszyła naszej dalszej rozmowie. Rozmowie przerywanej dłuższymi przerwami, bo dziś mój Rozmówca jakby porządkował dostarczone mu przeze mnie informacje, sprawdzał czy da się z nich zbudować jakiś porządek, czy w konstruowaniu tego potrzebnego mu porządku niema jeszcze jakichś drastycznych luk, które me dalsze wyjaśnienia mogłyby jeszcze wypełnić.
Byłem z tego nad wyraz zadowolony!
Podróż nasza właściwie dobiegała końca. Dzień dzisiejszy był jakoby ostatnim dniem mej próby języka, a dla mego Rozmówcy ostatnim dniem teoretycznej części naszych rozmów. Jutro mieliśmy przystąpić do czegoś w rodzaju części praktycznej, czyli do rad dotyczących możliwości podążenia mym tropem w praktyce. Jutro miał się dowiedzieć czego potrzebuje jego mózg, by poruszać się swobodnie jak mój teraz po terenach tajemniczych - energetycznej struktury istnienia.
Widać znalazł jeszcze tematy dlań interesujące, bo w pewnym momencie powiedział.
„Często ludzie posiadający podobne do twych umiejętności zajmują się leczeniem chorych. Z tego co o tym wiem - obdarzają ich poważną porcją posiadanej przez siebie energii - energii im potrzebnej dla uzyskania zdrowia.
To przecież szlachetna działalność? Nie robisz tego?”
Jego pytanie kryło w sobie szereg poważnych zagadnień. Postanowiłem spróbować wyjaśnić mu moje wątpliwości w tej znanej i popularnej sprawie.
„Próbowałem!
Musiałem nawet spróbować tych działań, gdyż w dzisiejszym świecie badań nad tymi zjawiskami jest to jakby elementarz... musiałem sprawdzić swoje możliwości w tym względzie...
...i nie ustępują one tym czynnym w tych sprawach uzdrowicielom.
Ale zaniechałem tego...
...zaniechałem z bardzo zasadniczych powodów.
Było ich trzy!
Pierwszy... może najmniej ważny to ten... że czułem się jak przedmiot... nie jak człowiek...
...jak jakiś przyrząd elektrostatyczny...

...jak akumulator specyficznego rodzaju.
Nie mogłem odnaleźć w tym siebie jako człowieka... pomagającego drugiemu człowiekowi...
...nie czułem tego...
...że pomagam... dowiadywałem się raczej od organizatorów tych seansów...
Gwałtownie zapytał!
„A nie od pacjentów! Nie poprawa ich stanu zdrowia była dla ciebie najważniejsza?”
Starałem się studzić jego emocje.
„Nie!”
Oczywiście zdziwił się, więc znowu zaatakował.
„Nie odczuwali poprawy? Nie dowiadywałeś się o polepszeniu ich stanu zdrowia?”
„Oczywiście!” - odpowiedziałem spokojnie - „Ale miałem co do tego zasadnicze wątpliwości.”
„Jakież? Przecież poprawa stanu zdrowia chorego jest jaknajbardziej konkretnym dowodem na twoje uzdrowicielskie działanie!”
„To nie jest jednak takie proste!” - oponowałem i starałem się wyjaśnić sprawę do końca.
„Skutek, który obserwujesz... który przecież łatwo zaobserwować...
...nie koniecznie musi oznaczać właśnie to... co na pierwszy rzut oka się narzuca...
...wytłumaczę ci to na pewnym prostym przykładzie.
Samochód nie może ruszyć z miejsca, bo ma zepsuty akumulator... nie daje on już prądu potrzebnego do pracy rozrusznika...
...inny samochód użycza więc mu swego prądu... sytuacja znana każdemu niemal kierowcy... można ruszyć... dojechać do domu lub najbliższego warsztatu... można nawet jechać dalej...
...ale czy sam fakt jazdy... czy to, że ten samochód jedzie... znaczy już że akumulator został naprawiony... że samochód został naprawiony...?
...przecież wcale tak nie jest!
Może tak być, jeśli akumulator jest w miarę nowy...
...to wówczas pracująca prądnica jeszcze go naładuje... jeszcze przywróci go normalnym funkcjom...
...ale tak czy owak... takie użyczenie prądu nie załatwia sprawy generalnie!
Nigdy nie miałem pewności czy po wyczerpaniu dostarczonej przeze mnie energii mój pacjent nie umrze.
Organizm człowieka można pobudzić... jak serce defibrylatorem...
...ale defibrylator nie leczy przecież tego serca!
Uważałem po prostu, że medycyna dzisiejsza...
... medycyna walcząca często o spektakularny efekt...
...wie wiele za mało na temat energii, którą ja dysponuję...
...by używać jej na żywym człowieku!
Efekt...?
...owszem... można uzyskać...
...ale czy na długo?
To były moje drugie wątpliwości!”
„A trzecie?” - zapytał.
„Trzecie...
...to był właściwie żal... ja wiem...?
...to było jakieś głębokie niezrozumienie powodów...
...dlaczego się tych zjawisk bioenergetycznych używa...
...zamiast solidnie je badać?
Przecież... gdyby zapoznać się z wynikami badań, którym poddano tych najbardziej znanych... największych uzdrowicieli... tych którzy mieli najlepsze wyniki...
...to okazałoby się, że wiedzę o nich... o zjawiskach, którymi się posługują...

...można by zmieścić... ja wiem... na jednej stronie maszynopisu!
Dlaczego używa się tych ludzi dla uzyskiwania efektu...
...zamiast za ich pomocą docierać do odkrycia w całości tych zjawisk...
...oczywiście... by potem używać ich do leczenia...
...ale już na podstawie wiedzy... a nie zaledwie obserwacji, że to czy tamto dzieje się za ich pomocą...
...definitywne zbadanie zjawiska czyni z niego w rękach nauki potężny instrument...
...dzisiejsza wiedza na ten temat pozwala tylko na uzyskiwanie incydentalnych rezultatów!
Kopernik był zdolnym człowiekiem...
jego zwierzchnicy wiedzieli o tym... i gdyby miast pozwolić mu badać wszechświat... ten nasz niewielki jego kawałek...
gdyby kazali mu... korzystając z jego zdolności... rysować sobie gwiezdne modele by ozdabiać nimi ściany swych gabinetów...
...zlikwidowaliby szansę na jego odkrycie!
Zresztą mniejsza o historyczną prawdę dotyczącą Kopernika. Obojętne w jakich warunkach doszedł on do swych wyników.
Rozumiesz, prawda!
Chodzi mi w tym przypadku o przykład metody...
...przykład metody ustawienia priorytetów w badaniach w stosunku do korzystania z czyichś możliwości..."
Przerwałem na chwilę, by w końcu wykrztusić z siebie ten mój zasadniczy żal do współczesnego nam świata nauki:
„Przecież poznanie zasad rządzących energetyczną strukturą rzeczywistości pozwoliłoby prawdopodobnie na generalną zmianę całego pojęcia choroby ludzkiego organizmu - skoro okazuje się że to w dużym stopniu - a ja twierdzę że w zasadniczym - procesy energetyczne - ich zakłócenia - są z nim związane?
Czemu likwidować skutki, gdy dziś można wtrącać się w przyczyny i je likwidować?"
Mój rozmówca znów milczał dłuższą chwilę.
„Tak!" - powiedział po chwili głęboko zamyślony - „Nigdy nie przyszło mi do głowy, że w tak wydawałoby się prostej sprawie może tkwić tyle istotnych problemów."
I nagle jakby coś istotnego przyszło mu do głowy. Zapytał mnie wręcz agresywnie.
„Ale chwileczkę! Coś mi tu nie gra! Czy...?"
Jeszcze chwilę zastanawiał się, aż w końcu powiedział.
„Gdyby tak przełożyć to twoje stanowisko na inne sytuacje... gdyby uznać je za zasadniczo słuszne... to przecież...
...to przecież można by powiedzieć, że wszyscy medycy praktycy są idiotami... ...bo przecież powinni raczej siedzieć w instytutach i te choroby badać...
...zamiast pomagać pacjentom...
...co gorsza...
...twoja postawa definitywnie odbiera sens tej całej gałęzi medycyny, która świadoma swych niedoskonałości...
...zajmuje się jedynie doraźną pomocą pacjentom...
...na przykład tylko likwiduje ból... wcale nie mając ambicji zlikwidować choroby...
...a to przecież wielka i wspaniała dziedzina pomocy człowiekowi w cierpieniu...
...przecież nie możesz atakować jej oczywistego sensu i znaczenia!"
„To też nie robię tego!" - odpowiedziałem.
„Jak to? Przecież wszystko co powiedziałeś przed chwilą...
...to właśnie dla mnie znaczyło!"
Cóż za prymitywny błąd popełnił teraz w swym rozumowaniu mój Rozmówca! A przecież nie był idiotą! Udowodnił to już dziesiątki razy w czasie tych kilku dni naszego wspólnego przebywania.
Dało mi to sporo do myślenia!

A więc to tak łatwo się pomylić?
Skoro zdarzyło się to jemu, dlaczego nie miało przydarzyć się milionom mniej rozsądnym niż on? Cóż za straszliwą siłę w kulturze posiadają takie pojęciowe kalki! Stereotypy, których od dawna już nikt nie sprawdza, nie zastanawia się nawet czy tkwi w nich jeszcze chociażby cień sensu.
Bo to na tym właśnie polegał jego błąd!
Musiałem mu to jaknajszybciej wykazać. Powiedziałem więc.
„Posłuchaj, mój drogi!
W tym co powiedziałeś... przykro mi bardzo... nie ma ani krzty sensu!
Albo powiedzmy jest jawna nielogiczność...
...jawne samozaprzeczenie sobie!
Bo gdybyśmy napisali na kartce wszystko to co powiedziałeś...słowo w słowo... ...to przy analizie okazałoby się, że odpowiedź likwidująca sens pytań jest już w tym tekście zawarta...
...nie zwróciłeś tylko na to uwagi!"
Moja słowa zrobiły na nim piorunujące wrażenie!
„Udowodnij więc!" - powiedział naburmuszony.
„Proszę bardzo!" - zgodziłem się!
„Mówiliśmy już o znaczeniu wiedzy... czym ona właściwie jest...
...działanie oparte na wiedzy... z niej wynikające...
...wszystko to było w tym twoim na mnie ataku!
A teraz pomyśl...
...czy ci ludzie podający choremu morfinę... tylko w celu likwidacji bulu...
...nie wiedzą wszystkiego o jej działaniu... o niej samej...?
...wiedzą...
oni wiedzą!
Czy ci, którzy opuszczają laboratoria badawcze i akademie by wycinać chorym wyrostki robaczkowe posiadają gruntowną wiedzę na ten temat...?
...oczywiście...
...oni wiedzą!
Rozumiesz?
Rozumiesz co znaczy to słowo?
Gdy człowiek posiada na jakiś temat wiedzę, to już jakoby jedynie w kategoriach etycznych ocenić można to, do czego jej używa. Też już o tym mówiliśmy, tylko w innym kontekście!
Prawo do korzystania z wiedzy jest oczywiste!
I tylko sprawą wyboru tych ludzi jest - czy pozostaną na terenie coraz to głębszych badań... w laboratoriach i akademiach... poszukując rozwiązań zasadniczych...
...czy zdecydują się na używanie swej wiedzy w praktyce!
Natomiast protestowałem już też na temat używania czegoś, co jest póki co jeszcze jedynie szansą na tej wiedzy uzyskanie.
Gdy robi to ktoś, kto nigdy nie słyszał tych pytań... jakiś szaman czy ludowy cudotwórca... to nic mnie to nie obchodzi!
Podobnie reaguję, jeśli czynią tak niedokształceni entuzjaści!
Ale do szału doprowadza mnie to, gdy jest to udziałem ludzi wykształconych w europejskiej kulturze, w której świadomość tych pytań trwa od wieków!
To jest jednak zasadnicza różnica!"
Nie powiem! Sam zdałem sobie teraz sprawę z tego do jakiego stopnia ostro skarciłem mego Rozmówcę! Ale też problem był zasadniczej wagi i doskonale nadawał się do zwrócenia mu uwagi na błąd, którego powinien wystrzegać cię do końca życia.
Nie odezwał się chwilę ni słowem, tylko zastanawiał się nad tym co usłyszał. Po jakimś czasie spokojnie spojrzał na mnie i szeroko się uśmiechnął. Teraz dopiero powiedział.

„Masz rację! Przepraszam cię! To rzeczywiście było kompromitująco niesolidne!”
Dzień dobiegał powoli końca.
Pustoszały winiarnie i restauracje, rzedniał ruch na ulicach, a i nasze możliwości koncentracji na sprawach istotnych były na wyczerpaniu.
Spacerem wróciliśmy do hotelu żartując jeszcze po drodze na tematy zgoła niepoważne.

ROZDZIAŁ VII - PODROZY DZIEN SZOSTY
JAK POZNAC STRUKTURE I CO Z TEGO WYNIKA?

Gdy się obudziłem, do mego pokoju poprzez szeroko otwarte okno zaglądał świt.
Właściwie obudziły mnie ptaki rajcujące fantastycznie w koronach rosnących w pobliżu drzew.
Zawsze rozpoczynają swój codzienny, poranny sejmik natychmiast, gdy tylko pęknie ciemność nocy. Zrazu odezwie się jeden, jakby czuwający strażnik poranka, po chwili drugi, niczym sygnalista dający odzew na usłyszane hasło, ale w przeciągu minuty po tym pierwszym, samotnym powitaniu wschodzącego słońca obecni są już wszyscy mieszkańcy rozłożystych gałęzi, a także przygodni przybysze, którzy znaleźli tu przystań na tę jedną noc i niebawem udadzą się w dalszą swą drogę.
Jeden z moich bliskich przyjaciół twierdzi, że są na tym świecie miejsca lepsze i gorsze, a do lepszych zalicza te, gdzie żyje dużo ptaków.
Rozumiem go!
Ptak ucieka z miejsc złych, niespokojnych, miejsc w których i człowieka i ptaka ogarnia stres. Ptak jest istotą wolną - swą możliwością poruszania się w przestworzach. Nie musi trwać tam, gdzie nie czuje się bezpieczny, gdzie otoczenie jest dlań nieprzychylne.
Czekałem na ten ptasi koncert. Wiedziałem, że nastąpi i że obudzi mnie wcześnie w przedostatnim dniu naszej podróży - dniu pewnie najważniejszym dla mego Rozmówcy.
Zrozumiał dotąd tyle, ile byłem mu w stanie powiedzieć. Teraz czekał na coś w rodzaju praktycznej części naszej przygody. Obiecałem mu na początku, że wyjaśnię na czym polega możliwość przekraczania tej granicy - jak można tego dokonać - jak on również może to zrobić - kędy prowadzi droga ku furtce, którą można otworzyć zawsze.
Dziś miałem mu tę drogę wskazać.
Moja próba języka dobiegła właściwie końca! Mniej więcej wiedziałem już, co z mej wiedzy jestem w stanie przekazać za pomocą tego środka komunikacji, jakim jest mowa ludzka.
Czy byłem zadowolony?
Nie wiem!
Zastanowię się nad tym później.
Nie był to jednak na pewno czas dla mnie stracony!
Wyjrzałem przez otwarte okno w kierunku pokoju mego Rozmówcy. Mieszkał piętro wyżej, po drugiej stronie niewielkiego zadrzewionego podwórka. Jego okno było również szeroko otwarte, żaluzje podciągnięte, a więc było wręcz niemożliwe by spał jeszcze. Znaczyło to, że też niecierpliwie czekał na początek dzisiejszego dnia.
Gdy zawołałem, pojawił się w oknie natychmiast i by nie budzić sąsiadów gestem pokazał, że oczekuje mnie w holu na dole. Zszedłem zaraz zadowolony, że w ten sposób dzień ten znacznie się przedłużył.
„Dzień dobry!” - powiedział, gdy zobaczył mnie schodzącego ze schodów.
„Dzień dobry!” - odwzajemniłem konwencjonalne pozdrowienie.
„Jakoś nie mogłem spać dłużej!” - powiedział jakby usprawiedliwiając się.
„Ptaki!” - powiedziałem, wskazując bezpośrednią przyczynę - „Trzeba było nad ranem zamknąć okno!”
„A ty?” - zapytał.
„Ja chciałem wstać o świcie.” - powiedziałem, nie ukrywając mych intencji.
„Ja też chciałem!” - przyznał się w końcu.

Wzajemny uśmiech zrozumienia dopełnił tego porannego powitania.
Do śniadania pozostało jeszcze około dwóch godzin, więc opuściwszy hotel ruszyliśmy spacerem przez puste o tej porze miasto, malowane łagodnymi barwami wstającego leniwie dnia.
Rześkie powietrze znakomicie zastąpiło chwilowy brak kawy.
„Obiecałeś!" - przypomniał.
„Tak! Obiecałem i dotrzymam słowa." - uspokoiłem go.
„Możesz teraz zacząć?" - z wyraźną niecierpliwością starał się pobudzić mą aktywność.
Ta jego dziecięca niemal zachłanność rozbawiła mnie szczerze.
„Oczywiście! - powiedziałem hamując uśmiech, który pewnie by go speszył - „Ale nie wiem czy jest do czego się tak śpieszyć. To co ci powiem to żmudna, niekiedy ciężka i nie zawsze wdzięczna praca."
„Jestem na to przygotowany." - stwierdził konkretnie i poważnie - „Wiem, że ważnych rzeczy nie osiąga się łatwo."
A więc moja próba języka nie była zupełnie chybiona. „Ważne rzeczy"! Czyli mówiąc, można jednak przekazać tą „ważność"! Właściwie powinienem być bardzo zadowolony.
„O.K!" - ożywiłem się - „Przede wszystkim pamiętaj o jednym! Wszystko co ci dziś powiem wolno ci w całości odrzucić. Decyzja należy w zupełności do ciebie!
To bardzo ważne! Bo gdy zastosujesz się do moich rad - reszta odbywać się będzie już na twoim terenie. To będą już twoje własne przeżycia. Nie zawsze przyjemne, jak powiedziałem. Za takie rzeczy każdy musi sam odpowiadać. Rozumiesz to?"
„Rozumiem!"
„I nie będziesz rzucał się w to wszystko nieodpowiedzialnie...?" - pytałem teraz z niekłamaną troską.
„Postaram się." - przerwał.
„...bez zastanowienia i od razu?" - dokończyłem swe przerwane przed chwilą pytanie.
„Przyrzekam!"
„Radziłbym rozpocząć nie wcześniej jak za parę dni. Jak już poukładasz sobie tą całą mozaikę. Jak już na spokojnie zrozumiesz wszystkie elementy moich opowieści z tych wspólnych dni, gdy te często niedokładne informacje staną się dla ciebie jakąś całością, której wartość będziesz mógł na zimno ocenić i zdecydować ostatecznie, czy rzeczywiście cię to do tego stopnia interesuje, by w to wejść."
Nie wolno mi było rozpocząć dzisiejszego tematu bez tych zasadniczych zastrzeżeń. Po zastosowaniu się do mych rad, człowiek ten będzie już przecież niemal inną osobą. Jego spojrzenie na świat, na rzeczywistość - ulegnie radykalnej zmianie. Może również zmienić się jego podstawowy stosunek do ludzi! Tych wszystkich procesów nie byłem przecież w stanie kontrolować, a nawet w jakiś zasadniczy sposób wpływać na nie w przyszłości. Nie wiem przecież - nie jest to w żadnym wypadku moją specjalnością - jak w zestawieniu z jakąkolwiek zdobytą wiedzą zachowa się charakter poszczególnego człowieka. Do czego tej wiedzy użyje?
Co z nią zrobi?
I nie jest to chyba moim obowiązkiem!
Czy uniwersytety obciążają odpowiedzialnością swych profesorów za to, co z uzyskaną wiedzą robią potem ich studenci?
Oczywiście, że nie!
Byłoby to nawet technicznie niemożliwe!
Ale warto od czasu do czasu postawić takie pytania!
Gdybym nie miał najmniejszych wątpliwości, że w moich możliwościach, w mych działaniach nie ma nic nienormalnego - nie decydowałbym się na przekazanie tego komukolwiek. Skoro jednak jest inaczej - przekaz taki uważam wręcz za obowiązek.
„Możesz się skoncentrować tak przed śniadaniem, bez kawy...?"
W tym moim pytaniu była tylko część żartu. Sam nie wiedziałem czy moje informacje będą

dość precyzyjne. Niemal absolutny spokój ludnych już niedługo ulic sprzyjał wprawdzie rozmowie, ale temat był długi i skomplikowany, toteż możliwe było teraz przekazanie tylko kilku wstępnych informacji. Te jednak, były istotne dla dalszego rozumienia mych rad.
„Nie wygłupiaj się!” - skarcił mnie - „Przecież wiesz, że gdybym nie był w stanie się skupić, nie namawiałbym cię na rozmowę.”
„No więc dobrze!” - zacząłem teraz bardzo powoli i uważnie - „Wróćmy na chwilę do mózgu...
...mniejsza w tej chwili o anatomiczną czy fizjologiczną ścisłość...
...wyobraź sobie, że z jego dwóch półkul tą działającą jest tylko jedna, a tą nie działającą częścią jest ta druga półkula...
...zgoda?”
„Zgoda!”
„Ta działająca jest już niemal pełna informacji... bo jest właściwa... jak gdyby przeznaczona... do kontaktów z naszą normalną dymensją... z tą, do której jesteśmy przyzwyczajeni... do poznawania, opisu i zrozumienia... a także do późniejszego działania... w świecie zmysłowo poznawalnym...
...ta drugą może poznawać rzeczywistość pozazmysłową...”
Przerwał mi jednak.
„Chwileczkę! Mam bardzo ważne pytanie!”
„Jakie?” - zapytałem niezbyt zadowolony.
„Rzeczywistość pozazmysłowa, to przecież również twory ludzkiego umysłu! Na przykład logiczne konstrukcje filozoficzne, idee nie dotyczące wcale materii. Chociażby etyka, ontologia, czyli cała niemal abstrakcyjna teoria bytu. Czy ta druga półkula...”
„Nie!” - teraz ja mu przerwałem - „Wszystko to, o czym mówisz jest rzeczywiście działaniem w dziedzinie pozamaterialnej, pozazmysłowej niejako, ale w sferze... w dymensji jak najbardziej zmysłowej!
Chodzi o to, że te filozoficzne pytania... te problemy rozpatrywane potem w postaci czystych twierdzeń... niewiele mających wspólnego ze zmysłami i materią... to wszystko wynika ze świata zmysłowo poznawalnego. W nim tkwią korzenie tych problemów! Z niego jakoby wynikają! W nim powstają, lub jemu mają służyć! Rozumiesz?”
„Chyba tak.” - odpowiedział niepewnie.
Tłumaczyłem więc dalej.
„Pewne wątpliwości może budzić jedynie teologia, zajmująca się przede wszystkim interpretacją problemów z natury swej pozazmysłowych, pozamaterialnych! Ale one też wynikają z objawienia, czyli przekazu wprawdzie Boskiego, ale zmaterializowanego w Piśmie Swiętym, w postaci jak najbardziej ziemskich konstrukcji, bo dla ziemi i człowieka upostaciowanych. Teologia nie jest więc wchodzeniem w tajemnicę Boga! Jest dociekaniem, interpretacją, analizą tego wszystkiego, co z bardzo materialnej i zmysłowo odbieralnej formy przekazu... z Pisma... wynika. Co, z niesłychaną dyscypliną logiczną i naukową, da się na tym terenie orzec.”
Przerwałem, oczekując reakcji z jego strony.
„No tak! Teraz rozumiem.” - powiedział po chwili namysłu.
„Jedyny wyjątek stanowi samo objawienie, którego doznawali wielcy wizjonerzy... którym zostało ono ofiarowane.... ale w tym przypadku kto wie, czy w ogóle można mówić o czynności mózgu. Pewnie w jakimś sensie tak, ale zostawmy to na razie. Zresztą chyba już trochę o tym mówiliśmy.”
„No dobrze! Teraz rozumiem! A więc zostańmy przy mózgu.” - powiedział spokojnie w pełnym skupieniu.
„No właśnie!” - kontynuowałem przerwaną przed chwilą myśl - „Ta druga, nieczynna półkula... jeśli potrafisz ją pobudzić.... zaktywizować... to ona jest skłonna... zdolna... do poznawania tej innej dymensji... tej podstawowej struktury, o którą nam chodzi.”
Tym razem ja sam przerwałem swój własny wywód, bo postanowiłem opowiedzieć mu coś

poza głównym wywodem - coś, co mogło nam się w przyszłości bardzo przydać przy rozumieniu procesów zasadniczych. Chwilę milczałem, poczym powiedziałem z naciskiem.
„Uważaj! Musimy na chwilę odejść od zasadniczego tematu. Ale postaraj się zapamiętać gdzie przerwaliśmy. Zaraz tam wrócimy. Zgoda?"
„Zgoda!"
„Wyobraźmy sobie na chwilę, że ta druga półkula działa... tak nie jest w istocie, co stwierdzają fizykalnie fizjologowie mózgu... ale załóżmy...
...czy to cokolwiek zmienia...?
...nie...!
...bo poza jej działaniem konieczne jest jeszcze połączenie pomiędzy tymi dwoma półkulami...!!
...połączenie...!
...zapamiętaj to słowo!"
„W porządku!" - zgodził się.
„A więc wracamy do samej półkuli...
...trzeba ją zmusić do działania...
...to jest absolutnie konieczne, bo...
...no bo... powiedzmy, że ona ma też jakieś swoje zmysły... jakby drugi ich komplet... jakieś inne gatunkowo oczy, uszy i tak dalej...
...które potrafią widzieć, słyszeć, dotykać... poznawać w tej innej dymensji... ...na tym innym poziomie istnienia ogólnego."
Zawahałem się. Czy nie tracę z nim kontaktu? Czy nadąża za mą myślą? Zapytałem więc.
„Nie za szybko? Nie za dużo informacji?
„Nie wiem!" - powiedział niepewnie - „Wydaje mi się, że z trudem, ale jednak nadążam za tobą."
Dokończył i przystanął oparłszy się o mur kamienicy.
Zrozumiałem, że muszę teraz jak najszybciej zamknąć jakąś cząstkę tematu, szybko zmierzać do jakiegoś końca wywodu, gdyż za chwilę nie będą miał z kim rozmawiać. Mimo swego zainteresowania mój Rozmówca był silnie zmęczony. Obu nam potrzebna była przerwa, jakieś rozluźnienie, by móc realizować potem dzisiejszy program dalej.
Postanowiłem zamknąć ten fragment opowiadania żartem.
„A więc sprawa w tym by... ruszyć z posad półkulę... mózgu! To może być tak samo trudne, mój drogi, jak kiedyś ruszyć z posad kulę ziemską!"
„O cholera!" - roześmiał się - „Rzeczywiście kopernikański poziom proponujesz."
Miasto budziło się teraz do życia z niesamowitą szybkością. Jeszcze przed piętnastoma minutami puste i ciche, teraz pulsowało już niemal całym swym krwiobiegiem.
Ledwie po spokojnych ulicach przejechały pierwsze, pachnące wozy z świeżym pieczywem i mlekiem, a już w ślad za nimi z garaży i parkingów wysypały się na jezdnie dziesiątki, setki aut, na chodnikach pojawiły się ekipy sprzątaczy w swych pomarańczowych uniformach, by niemal po chwili utonąć w kolorowym tłumie przechodniów. Rozbrzęczały się tramwaje, roztrąbiły autobusy wraz z pierwszymi promieniami słońca wzdłuż równoleżnikowo ułożonych ulic.
Wróciliśmy do naszego hoteliku na śniadanie.
Pusta jeszcze sala pachniała kawą i słodkawym zapachem świeżych korneto. Lekko lśniące krochmalem, bladoniebieskie obrusy zapraszały do przygotowanych dla gości stolików.
Właściciel, jak zwykle już o tej porze wesół i pełen energii przywitał nas lekkim zdziwieniem nie rezygnując z żartu na temat naszej nocnej, jak podejrzewał, wyprawy.
„Gdyby kto panu za to płacił siniore, nie wstawałby pan tak rano! Ale żeby tracić pieniądze... o tak!... noc najlepsza... nie powiem!" - i śmiał się serdecznie - „Ale niech pan się nie martwi! Pańska pidżama spała dobrze w moim łóżku. Jest wypoczęta jak nigdy." - zakończył kaskadą śmiechu, podając mi mój codzienny, ranny komplet.

Byłem tu ostatnio dobre pół roku temu, ale doskonale pamiętał co wtedy jadłem na śniadanie.
„A pan nocny Marku?" - zapytał mego Rozmówcę, okraszając pytanie kolejnym żartem - „Może od razu podam obiad? Nie będziecie panowie musieli opuszczać swych pidżam do wieczora. Im też się coś należy. Nie prawda?"
„Co się pan o nie troszczy teraz? Trzeba było się zainteresować wieczorem. Moja stara... mówię oczywiście o pidżamie, jak pan pewnie się domyśla... musi być ze mnie zadowolona w domu! Jak się okazuje, pod pańskim dachem można wszystkie je spokojnie zostawić. Choćbym był najbardziej zazdrosnym facetem na świecie!"
Z żartów na jego temat nasz gospodarz śmiał się jeszcze serdeczniej.
Mój Rozmówca poprosił o tak zwany „kontynentalny" zestaw z jajecznicą na szynce i normalnym pieczywem z masłem.
„Oczywiście siniore! Reanimujemy pana jak trzeba! Jeszcze trochę pan poszaleje po tym świecie. Ale pora już powoli pomyśleć o ważniejszych rejonach."
Teraz my wybuchliśmy wręcz nieopanowanym śmiechem. Nawet nie wiedział, jak dobrze trafił w sedno. Mieliśmy właśnie taki zamiar zaraz po śniadaniu.
Taksówka do starego opactwa, dziś całkowicie opuszczonego przez mnichów i przemienionego na muzeum wspaniałej, wręcz niepowtarzalnej romańszczyzny, nie kosztowała dużo. Nie było ono daleko od miasta i aż dziwić się należy, że omijały je wszystkie wycieczki. To prawda, że figurowało jedynie w specjalistycznych przewodnikach, ale jego urok był niesamowity. Wiedziałem o tym, więc to właśnie miejsce wybrałem na otoczenie mych dalszych opowiadań.
Cieniste aleje położonego na wysokiej w stosunku do otoczenia górze ogrodu zapewniały chłód potrzebny nam w długich, dzisiejszych rozmowach. Można tu było siedzieć na przedwiekowych, kamiennych ławkach, gdy przyjdzie ochota, można wyciągnąć się na kobiercach soczystej trawy, opierając się o marmurowe głazy ścian wyciągnąć nogi na kamiennych posadzkach, a nawet opryskać w razie zbytniego upału spocone ciała krystalicznie czystą wodą z ogrodowej fontanny. Zgłodniawszy, nie musieliśmy nawet wracać do miasta, gdyż w zachowanej, parterowej części szerokiej, średniowiecznej bramy była niewielka jadłodajnia z dobrą pastą i wspaniałymi sałatami.
Z przedproża roztaczał się cudowny widok na pozostawione w dole miasto.
Usadowieni w cieniu wieży wróciliśmy do naszej rozmowy.
„A więc w zasadzie potrzebne są dwie umiejętności." - zacząłem - „Uaktywnienia nieaktywnych części mózgu i dokonania jego korespondencji, owych połączeń z tą normalnie aktywną."
„Obie rzeczy trzeba realizować jednocześnie?" - zapytał.
„Niekoniecznie!" - odpowiedziałem - „Może to się odbywać po sobie. Natomiast nie powinno tych czynności dzielić zbyt wiele czasu, bo korespondencja może być niepełna. W pierwszym okresie ta niewyćwiczona przecież stałym nie używaniem część ma mniejsze zdolności przechowywania informacji. Ma jak gdyby gorszą pamięć. Ale wrócimy do tego..."
„Chodzi więc o to, by to co się pozna przetłumaczyć na nasz normalny język. „Tak?" - wtrącił się znowu.
„Niejako!" - powiedziałem - „Lepiej to określając można by powiedzieć, że tą nową uzyskaną wiedzę trzeba przyswoić starej. Będzie to szczególnie ważne, gdy będziemy omawiać możliwości praktycznego wykorzystania jej w normalnych warunkach. Ale postaraj się mi nie przerywać tak długo, jak długo wszystko będzie dla ciebie jasne w moim opowiadaniu. Zgoda?" - zaproponowałem.
„Zgoda!" - powiedział i dodał jeszcze - „Rozumiem, że za częste pytania mogą cię rozpraszać."
„Właśnie!"
Uzgodniwszy z mym Rozmówcą formy dalszej rozmowy, przystąpiłem do przekazania

pierwszej konkretnej rady.
„Uważaj! Zeby rozpocząć tę drogę trzeba starać się dokonać czegoś pozornie niemożliwego... czegoś, co jeszcze ci się nie zdarzyło.
Ale musisz dokonać tego ty sam... swoim własnym mózgiem... w wyniku twojego własnego postanowienia...
Rozumiesz?”
„Chyba tak!”
„No więc co to może być...?
...na przykład staraj się zobaczyć siebie jakoby z zewnątrz...
...tylko nie chodzi tu o jakieś bzdury polegające na jakimś wychodzeniu z siebie samego... jak to opowiadają jacyś magicy czy szamani.
Chodzi raczej o dotarcie myślą do swego wnętrza... do swej istoty... a następnie jakby...
...ja wiem...?
...jakieś wyprojektowanie siebie przed siebie... przed swe jakby wewnętrzne oczy...
...wyprojektowanie jak jakimś projektorem...
...żebyś siebie samego zobaczył...
Rozumiesz?”
„Chyba rozumiem.” - powiedział bardzo niepewnie.
„Zastanawiasz się pewnie jak to jest możliwe? Jak tego dokonać czysto technicznie?”
„No właśnie!”
„Otóż to też jest sprawa właściwie twoja! Sprawa każdego z nas.” - powiedziałem zdając sobie sprawę z tego, że nie pomagam mu na razie tą wypowiedzią. Kontynuowałem jednak dalej.
„To jest tak!
Staje przed tobą jakieś nieznane zadanie... na przykład zdarza się, że z jakichś bardzo ważnych powodów musisz przejść przez nieznane ci, groźne góry... nie jesteś alpinistą... nigdy się tym nie interesowałeś... mało... albo wręcz nic na temat wspinaczki nie czytałeś...
...co więc robisz...?
Na początku strasz się sobie wyobrazić to zadanie... na podstawie tego co widzisz... co wiesz... co podejrzewasz... co przypuszczasz...
...wyobrażanie sobie czegoś jest też przecież jakąś specyficzną formą poznania...
...wszystko to musisz jakoś zebrać razem... musi w tobie powstać jakiś obraz... jakaś perspektywa...
...teraz musisz zastanowić się nad sobą... nad swoimi możliwościami... musisz ocenić własne siły... uświadomić sobie własne słabości... wymyślić właściwe dla ciebie sposoby zachowania...zobaczyć jak gdyby siebie wykonującego to zadanie... nieznane zadanie...
A wiesz po co?
Zeby po prostu na tej podstawie... na podstawie tych wszystkich przemyśleń... zdecydować się na jakąś konkretną formę pokonania tej stojącej przed tobą przeszkody.
Ten sposób... ta forma może być dla każdego inna... każdy człowiek inaczej może ocenić swe możliwości... i słusznie...
... wobec tych oczywistych różnic, jakie między nami są...i formy osiągania celu w zasadzie powinny być różne...
Podobnie jest i w tym wypadku.
W zasadzie najlepiej jest, gdy każdy odnajdzie swą własną drogę do tego, określonego przecież celu, drogę jemu właśnie najwłaściwszą, dla niego właśnie najnaturalniejszą.
Nie jest łatwo powiedzieć komuś innemu jak ma poradzić sobie z własnym mózgiem.
To może być bardzo nieskuteczne.
Toteż potraktuj to co ci teraz powiem nie jako ostateczną odpowiedź jak masz tego dokonać...
...będzie to raczej opowieść o tym jak to było w moim przypadku... jak to może być...

...i nie martw się...
...gdzieś w pobliżu jest i twoja forma działania...
... ona może nie być identyczna do tej, którą ci opowiem... ale powinna być podobna. Zgoda?” - zapytałem na koniec swej długiej wypowiedzi.
W przyszłości postanowiłem częściej dawać oddech słuchającemu. Miałem wprawdzie do mego Rozmówcy już wystarczające zaufanie, wierzyłem już, że gdy się zgubi - przerwie mi - ale jednak nie można było wykluczyć jego własnej pomyłki i pójścia swym rozumowaniem w inną, niż wskazywana przeze mnie, stronę. To mogłoby mieć fatalne następstwa i mogłoby prowadzić w konsekwencji do całkowitego zmarnowania czasu naszej rozmowy. Teraz musiał zrozumieć wszystko bardzo dokładnie.
„Zgoda! - odpowiedział.
„A więc można usiąść w możliwie najwygodniejszej pozycji rozluźniwszy wszystkie mięśnie...
...dobrze jest, gdy wokół panuje cisza...
...gdy wiesz, że masz dużo, dużo czasu... i gdy wiesz, że nikt ci nie przeszkodzi...”
Zawahałem się chwilę.
Wiedziałem, że zapomniałem o jakiejś bardzo ważnej informacji. Ah tak! Oczywiście! Pospieszyłem z dodatkowym wyjaśnieniem.
„Oczywiście mówię o samym początku tej drogi! Potem odnajdziesz już własne rozwiązania... na przykład zamiast ciszy może odbywać się to w otoczeniu jakiejś muzyki... muzyki wpływającej na twoje uspokojenie...”
Znowu trzeba było dodać wyjaśnienie.
„Oczywiście samo uspokojenie nie ma sensu...
...musi mu towarzyszyć możliwość aktywnego skupienia... aktywnego, ale właśnie spokojnego... stąd właśnie zwróciłem uwagę na ciszę, czy uspokojenie...
...aktywnego poszukiwania...
...rozumiesz...?
...poszukiwania!”
„Rozumiem!” - odpowiedział.
„A więc...” - kontynuowałem - „...gdy już odnajdziesz to aktywne, spokojne poszukiwanie, to spróbuj zmusić swój mózg do jakiegoś konkretnego zadania...
...na przykład do wyobrażenia sobie... to też jego funkcja... do wyobrażenia sobie...
...na przykład siebie...
...zupełnie przezroczystego...
...tak, żebyś widział wszystkie swoje organy...
...serce, nerwy, płynącą w żyłach krew...”
„Muszę przerwać!” - powiedział.
Spokojnie pozwoliłem mu zadać pytanie zachęcając go nawet do tego.
„Słucham cię! Chcesz o coś zapytać?”
„Tak!”
„Więc pytaj.” - starałem się swym tonem uspokoić go jak najbardziej.
Odebrał ten sygnał i już bez emocji zadał pytanie.
„Przecież ja wiem bardzo mało o anatomii człowieka! Skąd będę wiedział co tam widzę?”
„Posłuchaj!” - odpowiedziałem - „Przecież gdy już wyprojektujesz z siebie ten obraz, to i tak będzie to dziełem... no, tej drugiej części mózgu...
...tej części, dla której cała anatomia nie jest właściwie ważna...
...w tym momencie zobaczysz siebie takim, jakim jesteś naprawdę...
...no... na przykład... gdybyś miał serce z prawej strony... co przecież się zdarza... to bez względu na to czego uczy anatomia zobaczyłbyś siebie takim jakim jesteś w istocie...
...i co więcej...
...będziesz to wszystko jakoś tam rozumiał...
...nie anatomicznie przecież...

...nie jak lekarz...
...tylko tak, jak powinieneś siebie rozumieć...
...zrozumiesz jaki jesteś naprawdę...
...zrozumiesz... zobaczysz swoją strukturę..."
Uznałem, że dawka jest już wystarczająco duża, by pozwolić mu na chwilę odpoczynku. Sam też chciałem się chwilę zastanowić nad dalszym ciągiem mej opowieści.
Słońce wznosiło się powoli, ale konsekwentnie ku zenitowi. Cień wieży skracał się wydatnie. Powietrze wypełniało ciepło zbliżającego się południa.
Uznaliśmy zgodnie, że czas na kolejną kawę, toteż udaliśmy się w kierunku bramy, gdzie zatrzymał się jakiś samochód. Jego pasażerowie weszli do ogrodu, co oznaczało, że właśnie gdy wypijemy swe espresso turyści nasyciwszy się tym miejscem zwiedzać już będą zabudowania klasztorne, a więc jeśli nie przyjadą kolejni, znów będziemy mogli wrócić do poprzedniej ciszy i samotności pośród cierpliwych drzew i krzewów.
Zastanawiałem się teraz czy przyjąć w dalszych wyjaśnieniach zasadę ułatwiającą memu Rozmówcy odbiór informacji, czy też nie zwracać na to w ogóle uwagi.
Obie możliwości miały swe wady i zalety.
Wiedziałem, że temat jest trudny dla niego, toteż mógł go szybko zmęczyć i doprowadzić do niezaplanowanej przeze mnie konieczności dokończenia go nazajutrz w warunkach zgoła odmiennych, w podróży, a więc wiele gorszych i silnie rozpraszających uwagę. To była oczywiście wada skondensowania mej opowieści.
Zaletą jednak było to, że o ile kondycja jego okaże się wystarczająca, - a właściwie nie tyle kondycja, bo z fizycznością nie miało to wiele wspólnego - chodziło raczej o umiejętność długotrwałej koncentracji - to wynik powinien być o wiele lepszy. Ale czy naprawdę mogłem liczyć na to. Czy rzeczywiście był na tyle uważny i zawzięty na poznanie tego o czym mówiłem od kilku dni, a teraz zmierzałem do praktycznego końca?
Gdybym się co do tego pomylił, mój Rozmówca nie skorzystał by wiele.
Pozostałaby jedynie zrealizowana moja próba języka.
On natomiast, byłby potraktowany przeze mnie jedynie jako konieczny mi partner eksperymentu. Użyłbym go po prostu, niczym się nie odwzajemniając.
Informacja intensywna ma w tym wypadku to do siebie, że przyjęta w całości nie jest do końca i zupełnie zrozumiała, ale zapada w pamięć głęboko i przez długi czas działa jak drożdże w kadzi. Powoduje, że poszczególne fragmenty nowej wiedzy przywołuje się po kolei, samodzielnie rozważa i analizuje, chcąc nadrobić słabości zbyt szybkiego pochłaniania danych.
Z kolei przekaz ułatwiony, z wszystkimi wyjaśnieniami trudniejszych elementów, pozwala odbiorcy na głębsze jakoby zrozumienie wszystkiego, a następnie uznanie sprawy za niejako załatwioną i przetrawioną w całości.
Tkwi w tym jednak pewien szkodliwy pozór.
Takie zrozumienie wcale nie jest głębsze!
Wręcz przeciwnie!
Pozostaje zwykle na przyjętym w trakcie rozmowy poziomie i nie zmusza w przyszłości do osobistej aktywności, pracy, dodatkowej refleksji. Kawa na ława - jak to mówią - ale już nic poza ławą.
Oczywiście nie musi tak być w każdym przypadku i z każdym człowiekiem! Ale zwykle tak się zdarza.
Coż jednak z tego, gdy decydują o tym wyłącznie osobiste predyspozycje słuchającego człowieka?
Na coś jednak musiałem się zdecydować!
W trakcie picia kawy, gdy właściwie nie rozmawialiśmy, jeśli nie liczyć zdawkowych i niewiele znaczących uwag na temat pogody, krajobrazu i samej właśnie kawy - znalazłem jeszcze jedno wyjście, które wydało mi się w tym przypadku najbardziej właściwe.
Zrozumiałem mianowicie, że mogę, tak jak już to parokrotnie zrobiłem i nie wyszedłem na

tym źle - pozostawić część inicjatywy memu Rozmówcy.
Do tej pory szczerze, bo pewnie w naturalny sposób, bez dodatkowych intencji sygnalizował zarówno poziom swego zainteresowania jak i zmęczenia. Jeśli takie sygnały są rzeczywiście precyzyjne, to stanowią one jasne określenie sytuacji, z której nie ma wyjścia. Są argumentem ostatecznym.
Zmęczenia umysłu nie da się przełamać z zewnątrz, a rzeczywiste i aktywne zainteresowanie nie może pozostać niezaspokojone, gdyż stanowiąc istotny zawód dla słuchającego, zraża go do całości odbieranego komunikatu.
Takie postawienie sprawy częściowo zrzucało na mego Rozmówcę odpowiedzialność za przebieg i wynik dzisiejszego dnia, ale mimo wszystko uznałem je za najwłaściwsze.
Taka realizacja nakładała też na mnie dodatkowy obowiązek skupienia się na nim - nie tylko na tym co miałem do powiedzenia. Postanowiłem jednak podjąć to szczególne wyzwanie. Teraz zatem wszystko zależało od tego, jak ja wytrzymam to obciążenie. Tym razem musiałem więc podjąć nie mnie potrzebną próbę języka, ale ważną z kolei dla mego Rozmówcy, próbę koncentracji i dyscypliny informatora. On służył mi przez poprzednie dni, teraz ja miałem stać się (o czym przecież nie wiedział wcale) partnerem pracującym dla niego.
Dopiliśmy kawę i wróciliśmy do ogrodu, który zgodnie z mym oczekiwaniem znowu rzeczywiście opustoszał. Skorzystaliśmy tym razem z ocienionej piniami ławy marmurowej oddającej teraz swe dyskretne ciepło naszym skrytym przed słońcem ciałom.
„To musi być wspaniałe przeżycie! Nie prawda?” - rozpoczął rozmowę mój Rozmówca.
„Tak!” - potwierdziłem najszczerzej na świecie - „To rzeczywiście jest niesamowita chwila. Ale muszę ci powiedzieć, że kolejne etapy twojego rozwoju pozwalają ci... prowadzą na ku przeżyciom, sprawom... odkryciom jeszcze bardziej fascynującym. Właściwie po każdym dokonanym kroku naprzód opanowujesz rejony coraz ciekawsze.”
Teraz postanowiłem na chwilę zająć się jakby drugą stroną tego wspaniałego medalu i opowiedzieć mu trochę o wielu trudnościach i kłopotach związanych z tym procesem.
„Musisz jednak też zdać sobie sprawę z tego, jak poważne i trudne zadanie podejmujesz... ...rozruszać nigdy nie używaną część swego mózgu...”
Poszukiwałem dobrego przykładu, by uzmysłowić mu ten stopień trudności zadania. Powiedziałem.
„Może zetknąłeś się kiedyś z procesem rehabilitacji mięśni nogi, lub ręki po długotrwałej kuracji w gipsie... po jakichś wypadkach, skomplikowanych złamaniach?”
„Tak!” - odpowiedział - „Połamałem kiedyś nogę na nartach i parę miesięcy spędziłem w łóżku z gipsem po udo.”
„No właśnie! I pamiętasz pewnie ile pracy kosztowało cię potem, gdy kość już była w porządku, przywrócenie sprawności mięśniom przez ten czas nieużywanym?”
„Oczywiście! Trwało to następne sześć miesięcy codziennych i żmudnych ćwiczeń.”
„I to wszystko tylko dlatego, że mięśnie te miały przerwę... tylko przerwę w swym funkcjonowaniu! Rozumiesz!
A sprawa, o której mówimy, wymaga rozruszania, a potem rozćwiczenia czegoś, co właściwie nie działało nigdy.
Na szczęście mózg to nie noga czy ręka!
Mięśnie kończyn, zresztą większość mięśni człowieka, przy bezczynności zaczyna zanikać. Są jakby szczególnie chętne do lenistwa.
Z mózgiem jest odwrotnie. On - można tak powiedzieć - pali się do pracy! Bezczynność jest sprzeczna z jego przeznaczeniem, z całą jego naturą.
Ta jego nieczynna część cały czas właściwie czeka na zadania. Dlatego nawet rozwija się w sensie fizjologicznym. Zyje tak samo, jak ta druga, czynna ciągle część. Toteż uruchomienie jej, gdy stosujesz odpowiednie środki, gdy rzeczywiście żądasz od niej tego - nie trwa tak długo.
Ale jednak nie następuje od razu!

Musisz więc liczyć się z tym, że w pierwszej fazie może ci się to nie udawać, że możesz mieć trudności, a nawet odnosić wrażenie, że ponosisz zupełne fiasko.
Najważniejsze jednak w takim momencie... oczywiście gdy postanawiasz twardo tego dokonać...
...najważniejsze nie przejmować się tym...
...sukces jest pewny.
Problem tylko w tym ile walka ta zajmie czasu i twojej energii.
To też jest sprawa indywidualna!
Zależna od kondycji, od pewnych zdolności energetycznych poszczególnego człowieka.
Bo dokonuje się tego za pomocą energii, którą człowiek posiada.
To jest proces energetyczny.
Zresztą - dokończyłem - to nie są jedyne trudności! Będziemy o tym jeszcze mówić."
Nie zauważyłem, by przedstawiona przeze mnie konieczność cierpliwej pracy zrobiła mu jakiś zawód. Albo był na tyle rozsądny, albo na tyle już zdecydowany podjąć tę próbę, że ewentualne trudności nie grały dlań żadnej roli.
Po krótkiej przerwie opowiadałem dalej.
„Pocieszające w momentach załamań jest...
...nawet nie ta pewność sukcesu, bo mózg czeka na to...
...ale to właśnie, że na drodze tej niema pracy straconej...
...wszystko co uzyskujesz jest już kapitałem, zdobyczą, krokiem we właściwym kierunku i to krokiem nieodwracalnym, jeśli drogą tą dalej podążać.
Dlatego ważne jest, by przystępując po raz kolejny do tej próby... po kilku godzinach... czy następnego dnia...
...nie rozpoczynać wszystkiego od nowa...
Rozumiesz?"
„Nie rozumiem!" - odpowiedział zaskoczony tą ostatnią radą.
„Koncentrując się na jakimś tego typu zadaniu i wkładając w to określoną ilość energii... jeśli oczywiście nie robi się tego bezsensownie krótko za każdym razem... to musi zawsze trwać kilka godzin... zwłaszcza na początku...
...koncentrując się tak...
...zawsze coś uzyskasz...!"
„Zawsze?" - przepełniało go zdziwienie.
„Tak!" - powiedziałem - „Nie znam przypadku, żeby ktoś w ogóle nie ruszył z miejsca. Znam jednak przypadki poniechania drogi.
Na tym polega moje przekonanie, że całość tych zagadnień jest dostępna każdemu... że to jest człowiecza normalność!"
„No dobra! Zdaje się, że znowu ci przerwałem!"
„Nie szkodzi!" - powiedziałem spokojnie - „W końcu to jest rozmowa, nie wykład."
„To wobec tego powiedz mi co takiego można uzyskać na pewno na początku?" - skwapliwie skorzystał z mej zachęty.
„Trudno tak konkretnie odpowiedzieć!
To jest też sprawa indywidualna.
To tak, jakby każdy rozpoczynał od pobudzania nieco innych nieczynnych komórek... jest ich przecież miliardy...
...dla jednego może to być na przykład poczucie jakiegoś oddalenia od wszystkiego i poczucie jakiegoś wyjątkowego spokoju...
...inny może w pierwszym okresie czuć jakieś nadzwyczajne zaciekawienie połączone z jakoby wzrastającą pewnością jego zaspokojenia...
...bardzo trudno powiedzieć...
...spróbujesz, to zobaczysz...
...jak się naprawdę skoncentrujesz, to sam zrozumiesz co jest początkiem tej drogi i czy na nią wchodzisz...

...gdy dokonasz jakiegoś odkrycia, to na pewno będziesz o tym wiedział...
...a odkryciem jest właściwie wszystko...
...jakiś aktywny spokój...
...jakiś obraz...
...wszystko, co było ci do tej pory nieznane...
...takie odkrycie jest właśnie dowodem na to, że pobudzona została ta część twego mózgu, która do tej pory nie pracowała..."
Ale nie pytał teraz więcej, więc ciągnąłem dalej.
„Powiedziałem, że kolejne działanie należy zaczynać od miejsca w którym się skończyło poprzednie.
Tak jest!
Ale muszę ci tu kilka ważnych rzeczy jeszcze wyjaśnić.
Po pierwsze...
...by móc zacząć w tym samym miejscu... trzeba je dobrze zapamiętać...
Nim przerwiesz to skupienie... ten proces...
...postaraj się dobrze zapamiętać ten obraz...
...to poczucie...
...zapamiętać tak dobrze, by móc je sobie jaknajdokładniej w każdej chwili przypomnieć...
...przypomnieć nawet bez szczególnego skupienia...
...na przykład w tramwaju... na ulicy... wszędzie!
Wiesz co to jest - takie zapamiętywanie?
To jest po prostu przeniesienie tego odkrycia do tej aktywnej części mózgu, którą użyć możesz w każdych warunkach. Przecież w każdych właściwie warunkach - oczywiście poza zupełnie ekstremalnymi - możesz ze swej pamięci skorzystać - przypomnieć sobie na przykład budynek gimnazjum, w którym robiłeś maturę czy coś w tym rodzaju.
Za pomocą takiego przeniesienia... takiego zapamiętania... każde twoje odkrycie staje się już na zawsze elementem twojej wiedzy...
Na początku będą to rzeczy mało ważne...
...jakieś takie dziwnostki...
...ale z czasem to będą coraz ważniejsze sprawy...
...te wszystkie, nad którymi będziesz pracował.
Rozumiesz?"
Kiwnął tylko głową potwierdzając.
„Wiesz co to jest? Takie przeniesienie?"
„Wiem!" - odpowiedział tym razem.
„Co?" - zapytałem - „Określ to!"
„To jest pierwsze uruchomienie tych połączeń między półkulami, połączeń o których mówiłeś rano."
„Tak!" - potwierdziłem z satysfakcją - „To jest właśnie to! Chyba najważniejsza rzecz w całym procesie! Tak właśnie wygląda jej początek!"
Znowu postanowiłem ofiarować nam chwilę odpoczynku.
„Przejdźmy się trochę!" - zaproponowałem.
Kiwnął głową. Wstaliśmy z naszej ławki i ruszyliśmy wolnym krokiem ku resztkom warownych murów.
„Wiesz co!" - zagadnął po chwili - „Gdyby zrobić statystykę twoich wypowiedzi... statystykę słów, których używasz... to jednym z najczęściej przez ciebie używanych jest cała kombinacja słów „spokój" i „skupienie". Przywiązujesz do tego tak wielką wagę?"
„Oczywiście!" - odpowiedziałem, starając się teraz naszej rozmowie nadać jaknajluźniejszy ton - „Uważam, że spokój i skupienie są najnaturalniejszymi stanami człowieczeństwa. To podstawa normalnej i skutecznej egzystencji!"
„A jednocześnie nie lubisz tych technik, które się tym z zasady zajmują?" - drążył dalej.
„Bo one kończą swe działanie... jakby osiągają swój cel w tym miejscu, w którym dla mnie

się wszystko dopiero zaczyna. Spokój i skupienie nie jest żadnym celem! Może być co najwyżej środkiem do osiągania celów. Mówiliśmy już o tym."
„Tak, ale chciałem jeszcze raz dobrze zrozumieć tę różnicę." - powiedział i zamilkł.
Z ruin opactwa rozciągał się wspaniały widok na tą wspaniałą ziemię.
Łagodne wzgórza układające się w ciekawej kompozycji wypełniały przestrzeń po horyzont, urozmaicone strzelistymi pionami cyprysów nadzwyczajnej delikatności rysunku i ruchu na niewielkim wietrze. Na zboczach płaszczyzny winnic o geometrycznych krawędziach, gdzieniegdzie sepiowego koloru wille - tu każdy dom chłopski zasługuje swym kształtem i proporcjami na to miano. Ich naturalna zgodność formy i koloru z otaczającą przyrodą powodowała, że wydawały się stare jak ona sama i jak przyroda niezmienne w swym rozwoju.
Nad doliną wisiała wieczna lekka mgiełka odbierająca niepotrzebną ostrość całości rysunku.
Patrzyliśmy jeszcze chwilę i bez słowa wróciliśmy do ogrodu.
„Pierwszy okres działań, jak każdy początek czegokolwiek, niesie z sobą szereg powiedzmy - niebezpieczeństw, o których należy pamiętać by po prostu nie zmarnować własnej pracy." - rozpocząłem - „Chodzi głównie o to, by te pierwsze osiągnięcia, te wrażenia, zdobycze, które osiągniemy - nie zwiodły nas na boczne tory!
Jak już powiedziałem, i te pierwsze odkrycia są często pociągające, przyjemne wspaniałe, a przede wszystkim bardzo ciekawe. Na przykład odczuwasz jakąś silną przyjemność samego istnienia. Jest ci najzwyczajniej dobrze, lepiej niż kiedykolwiek było. To wspaniale...
...ale teraz trzeba uważać... gdy się już to zapamięta i gdy w ponownym działaniu znowu w to miejsce wrócisz...
...by nie zafascynować się za bardzo tym stanem...
...by nie zająć się wyłącznie jego badaniem...
...by w nim za długo nie pozostać.
To grozi odkryciem dla samego odkrycia...
...grozi tym, że po takim kroku nie nastąpi następny...
...że pozostaniesz w tym miejscu na zawsze.
Można by to porównać do człowieka, który wybiera się na jakiś szczyt w górach. Idzie i po drodze wstępuje do schroniska. W tym schronisku odbywa się na przykład wesele. To wesele tak mu się podoba, tak go fascynuje swymi przyśpiewkami, ciekawym obyczajem, radosną atmosferą - że już tam zostaje, rezygnując z dalszej realizacji swego planu.
Następnego dnia, gdy wesele się już skończyło, powiedzmy pogoda nie pozwala na ponowne podjęcie zaniechanej wspinaczki.
Co więcej!
Nawet trudno wrócić do domu! Trzeba stracić następny dzień, by się chociażby cofnąć.
Oczywiście! Pobyt na takim weselu, jego urok, wiedza z tego pobytu wynikająca, nie jest niczym złym czy bezwartościowym.
Wręcz przeciwnie!
Może być czymś bardzo ważnym dla człowieka, który zaniechał wspinaczki! Niemniej jest już zupełnie czym innym niż zaplanował!
Zdobycie góry trzeba będzie zaczynać po paru dniach od nowa, jeśli w ogóle jeszcze będziesz miał na to ochotę.
Podobnie jest w naszych sprawach.
Z tego też powodu należy stosunkowo szybko wyznaczyć sobie jakiś cel i następnie się go trzymać...
...starać się go konsekwentnie realizować... by nie błąkać się właściwie bezładnie po przestrzeniach zdobywanych...
Nie jestem ekstremistą celu...
...toteż nie uważam za rzecz złą pozostania na jakiś czas w miejscu, które nas fascynuje...

...na jakiś czas, powiadam...
...można je przecież zapamiętać i wrócić tam kiedyś na dłużej...
...jednak lepiej jest to zrobić po realizacji naszego zasadniczego celu, który założyliśmy na początku drogi...
Rozumiesz?” - zapytałem - „To jest właściwie sprawa jedynie metodyczna i w niczym nie zmienia całości zagadnienia, ale jednak wydaje mi się na tyle ważna, byś o tym pamiętał.”
„Rozumiem!” - odpowiedział - „To jasne.”
Mówiłem więc dalej.
„Powiedzmy teraz...
...wróćmy do tego przykładu...
...że po solidnej pracy potrafisz wyprojektować sobie siebie... cały swój organizm...
...teraz możesz się mu do woli przyglądać...
...obserwować... poznawać.
Gdy poświęcisz temu wystarczająco dużo czasu...
...wystarczająco dużo energii...
...to będziesz mógł zrozumieć... poznać...
...jego energetyczną strukturę...
...zobaczysz gdzie są w nim energetyczne centra...
...jak ta energia jest dostarczana w różne miejsca...
...zrozumiesz nawet gdzie jej jest za dużo... bo coś jest chore... gdzie za mało z tego samego powodu...
...idąc dalej tą drogą będziesz mógł te procesy regulować...”
„Chwileczkę!” - przerwał mi - „... idąc dalej, idąc dalej... Zatrzymaj się! Spróbuj jakoś przybliżyć mi te dalsze kroki...”
„Spróbuję, chociaż jak już ci powiedziałem...
...to niesłychanie ważne...
...że właściwie są to sprawy bardzo indywidualne i najlepiej jest, jak znając kierunek... każdy sam wypracuje najwłaściwsze dla siebie techniki...
...ale...
...gdy już zobaczysz siebie...
...to staraj się o tym „sobie” coraz więcej się dowiadywać...
...na przykład postaraj się dokładniej obejrzeć...
...jakby na zasadzie filmowego zbliżenia...
... powiedzmy... swoją rękę...
...obejrzyj ją z bliska...
...a nawet jej szczegóły... na przykład palce... jej unerwienie... żyły...
...staraj się dowiedzieć... zobaczyć...
...jak to wszystko działa...
...a potem postaraj się coś z tą ręką zrobić!”
„Coś z tą ręką zrobić...”
Powtórzył jak echo moje słowa w najwyższym skupieniu.
„Na przykład co?”
„Na przykład wyłącz ją jakoby z całości!”
„Jak to?”
„Spróbuj doprowadzić do tego, by ta ręka przestała odczuwać na przykład dotyk...
...postaraj się usłyszeć jak gdyby płynącą w jej żyłach krew...
„To jest możliwe?”
Zapytał teraz z niedowierzaniem, ale w pytaniu tym więcej było ciekawości niż jakiegoś sprzeciwu.
„Oczywiście! Przecież już ci powiedziałem, że dla tej uruchamianej właśnie części mózgu wszystko jest możliwe.”
„No dobrze!” - zgodził się - „Co jeszcze można robić w tych próbach?”

Zastanawiało mnie w tych jego pytaniach to, że jakby bał się na razie samodzielnie dokonać nawet najdrobniejszy ruch. Tak, jakby kilkakrotnie już powtórzone przeze mnie sugestie na temat konieczności takiej samodzielności - wcale do niego nie dotarły. Podobnie jakby nie przyjmował do wiadomości, że „może wszystko”! Oczekiwał najwyraźniej, by go jaknajdłużej, jak dziecko prowadzić za rękę.
Była w tym wszystkim jakaś niesamowita szczerość i wręcz niczym nieograniczone zaufanie do mnie.
Te dwa elementy wróżyły mu dobrze na przyszłość, gdyż były czymś w rodzaju dowodu, że znikł w nim... że pokonał wszelki sceptycyzm wobec zagadnień o których mówiliśmy. To ważne!
Pozostałości takiego sceptycyzmu są w stanie znacznie opóźnić pierwsze sukcesy, pierwsze kontakty z rzeczywistością nieznaną - kontakty po których człowiek jest tak zafascynowany, że nie odchodzi już nigdy.
W tej sytuacji musiałem godzić się jeszcze jakiś czas na tą niewdzięczną i niewygodną rolę przewodnika po jego własnych możliwościach. Nie mogłem go w tej chwili pozostawić zupełnie samemu sobie, osierocić jakoby, bo rzeczywiście znalazł się w tematach, w których czuł się jak bezbronny, zagubiony brzdąc.
Proponowałem więc dalej podstawowe kroki.
„Możesz na przykład...
...próbować koncentrować się jedynie na sercu...
...starać się by usłyszeć jego pracę... jego bicie...
...a następnie wejść w to bicie tak, by wypełniło ci ono wszystko...
...by poza tym biciem właściwie... a raczej przecież pozornie...
... nie było nic...
...rozumiesz...?
Nie odpowiedział nawet skinieniem głowy, więc mówiłem dalej.
„To jest oczywiście pozorne wypełnienie, bo przecież to wszystko nadal i wszędzie istnieje...
...ale to twoja koncentracja wyłącza chwilowo tamte.... pozostałe elementy...
...to ty teraz decydujesz co jest ważne... co badasz...”
Postanowiłem teraz odejść już od przykładów koncentracji na szczegółach i zwrócić mu uwagę na możliwości poruszania się także w odwrotnym kierunku. Powiedziałem.
„Możesz też... porzuciwszy te szczegóły... zająć się szerokimi planami...
...jest to nieco trudniejsze... trudniej osiągalne...
...ale może nawet bardziej ciekawe...
...oczywiście jak dla kogo.
Widzisz siebie całego...
...spróbuj więc poznać w sobie twoje słabe punkty...
...dowiedzieć się gdzie one są...
...spróbuj poznać silne...
...dowiedzieć się na czym polega ta słabość jednych i siła drugich...
...z kolei możesz podejmować próby komunikowania ze sobą... tych miejsc słabych z silnymi...
...one i tak są ze sobą związane całością organizmu... i tak się jakoś tam komunikują...
...postaraj się poznać typ tej ich komunikacji... jak ona przebiega... kędy... czy jest częsta... czy jest intensywna czy też słaba...
...postaraj się w to zaingerować...
...tę komunikację na przykład wzmocnić... zintensyfikować...
...doprowadzić do wzajemnego zainteresowania się sobą... tych silnych i tych słabych.
Jeśli będziesz dużo pracował właśnie w tym kierunku, to osiągniesz wielkie rezultaty...
...rezultaty podobne do leczenia...
...mówię podobne, bo to będzie zgoła odmienne leczenie...

...takie naprawdę zasadnicze...
...nie lekarstwami, czy jakąś ingerencją z zewnątrz...
...to będzie jakoby uregulowanie...
...zharmonizowanie właśnie całego organizmu...
...likwidacja zatorów...
...zatorów nie fizjologicznych... jakichś złogów w żyłach... czy drożności innych przewodów koniecznych do fizjologicznego funkcjonowania tej maszyny, jaką jest ludzki organizm...
...doprowadzisz do likwidacji zaburzeń energetycznych...
...zaburzeń w harmonijnej komunikacji przynależnych wszystkiemu z natury... dawek... porcji energii.
Rozumiesz?”
„Może?” - odpowiedział cicho - „Ale opowiadaj dalej.”
Właściwie powinienem godzić się na jego prośby coraz mniej chętnie! Jednak nie wiedzieć dlaczego rozmowa ta zaczynała mnie wciągać.
„Bo...
...tak jak mówiłem ci przez cały czas... starałem się podkreślić to zawsze...
...podstawą wszystkiego jest harmonia... porządek... wszelkie zło wynika z jej zaburzeń...
...harmonia obejmuje wszystko... i wszystko jakoby stara się do niej zmierzać...
...doprowadzanie więc do niej jest czymś naturalnym... toteż wyniki w tym działaniu dadzą się stosunkowo łatwo osiągnąć...
...oczywiście w stanach, gdy zaburzenia tej harmonii nie zaszły za daleko... gdy jeszcze wyraźnie widać na czym ona polegała przed jej zaburzeniem...”
Postanowiłem teraz zwrócić mu uwagę na kolejny filar całej tej pracy.
„Posłuchaj...!
...jeżeli mówię o tym, że jakaś dysharmonia może być zbyt wielka...
...to wcale nie znaczy, że coś takiego w ogóle może istnieć...!
...bo właściwie nie może i nie istnieje...!
...tylko nasza wiedza o tej harmonii jest za mała... toteż może przekraczać nasze pojęcie o niej...
...a co za tym idzie sprawiać wrażenie bałaganu, którego nie możemy uprzątnąć.
W zasadzie uporządkować można wszystko!
Zależy to jedynie od stopnia poznania struktury tej harmonii i zasad rządzących nią...
...zasad rządzących porządkiem energetycznym całości istnienia.”
Przerwałem na chwilę. Mój Rozmówca wykorzystał tę pauzę i powiedział.
„No właśnie! Mówimy cały czas o jakichś wyprojektowanych obrazach, o ich badaniu i tak dalej...
Ale jak się dobrać do tej struktury?
Do tej energetycznej zasady istnienia?”
„Uspokój się!” - skarciłem go łagodnie - „To jest przecież droga! Jesteśmy na jej zupełnym początku! Wszystko będzie!”
Nie odezwał się! Widać zawstydziła go własna niecierpliwość.
A był rzeczywiście człowiekiem niecierpliwym!
Widać to było w każdej jego reakcji, gdy zajmowało go coś, co było dla niego ważne. W tej sprawie podejmował decyzje niemal natychmiast. Za ważne - uznawał coś z chwili na chwilę, z ułamka sekundy na ułamek sekundy. Rzucał się po prostu w te nowe tematy jak w głęboką wodę.
Nie była to w tym przypadku zaleta! Cecha taka grozi niesolidnością w poruszaniu się do przodu. Jej posiadanie wymaga od człowieka wielkiej i solidnie przestrzeganej samodyscypliny. Inaczej wszystko rozpadnie się w gruzy! Zadna praca nie zostanie doprowadzona do końca i pozostawi po sobie chaos, a w rezultacie zniechęcenie i zawód. Ale zawsze coś za coś! Bez aktywnego zaangażowania, postępy są również nie do pomyślenia.

W ogóle człowiek jest naturą trudną!
Gdy tak dobrze się nad tym zastanowić każda jego zaleta może w specyficznych warunkach okazać się wadą.
Bo człowiek jest naogół istotą niezharmonizowaną właśnie! Posiada wielkie, wręcz nieograniczone możliwości, które często chciałby wykorzystać odrazu, wszystkie naraz. Jest zachłanny!
A to przecież jest niemożliwe!
Możliwe jest natomiast wykorzystanie ich wszystkich po kolei! W drodze ku poznaniu wszystkie możliwości ludzkie mogą i powinny być wykorzystane! Ale właśnie po kolei - każda z nich w swoim czasie - wtedy, gdy będzie najpotrzebniejsza.
Droga ku poznaniu ma bowiem charakter niemal doskonale linearny. Jak droga przez las! Nie można iść kilkoma drogami w tym samym momencie. To pewne. Dlatego właśnie takie ważne jest zrozumieć cel do którego się zmierza. Własny cel! Cel przez siebie określony i według własnego, przemyślanego planu realizowany.
To nie jest łatwe!
Jest trudne, gdyż wymaga to rezygnacji z innych dróg, z innych celów, które przecież też mogą być osiągnięte. Ale trzeba wybrać! Taki właśnie wybór - jest pierwszym krokiem ku osiągnięciu w działaniu jakiejś podstawowej, koniecznej absolutnie -harmonii - do zharmonizowania siebie samego.
Czy chciałem teraz ostudzić jego niecierpliwość?
Chyba nie o to chodziło! Tego będzie musiał dokonywać sam, za każdym razem, gdy postanowi posunąć się o kolejny krok do przodu.
Zobowiązany byłem jednak do opowiedzenia dalszych trudności, a nawet niebezpieczeństw czyhających nań w pierwszym okresie pracy.
Przestróg nigdy za dużo! Tylko one mogą uchronić przed przestrachem, zaskoczeniem i zaniechaniem.
„Posłuchaj!
Nim przejdziemy do tych spraw najważniejszych - a mianowicie di sposobów wdzierania się w tą zasadniczą strukturę - muszę niestety polać trochę zimnej wody na ten twój wspaniały zapał.
W pierwszym okresie będą ci się pewnie zdarzały doznania mniej przyjemne, a na pewno zgoła nieinteresujące!
Musisz o tym wiedzieć!
Musisz o tym zawsze pamiętać, bo inaczej wypłoszą cię one z tej drogi.
A więc niewątpliwie w pewnym momencie...
...gdy poczujesz, że dzieje się z tobą coś odmiennego... innego niż poznałeś do tej pory...
...będzie to po prostu uczucie denerwujące...
Snię, do cholery, czy co? - pytałem siebie często, nim nie pojąłem na czym to polega.
Może to być uczucie nieprzyjemne...
...pamiętaj zawsze, że ruszasz czymś, co narazie do ruchu nie jest przyzwyczajone...
...to nawet może boleć...
...oczywiście nie głowa... ale w ogóle może nastąpić jakieś poczucie bólu...
...może ci się zdarzyć, że w trakcie skupienia niepotrzebnie... bezwiednie napniesz jakieś zespoły mięśni...
...dużo rzeczy jest możliwych...
...ale to tylko zasadnicza, początkowa niedoskonałość działania czysto technicznego.
Po jakimś czasie to mija!
Ale z kolei pojawiają się trudności nowe... czasem jeszcze bardziej nieprzyjemne...
...może to ciebie peszyć bardzo, gdyż te sprawy, o których powiem ci teraz - pojawiają się już po dłuższym czasie działania...
...wydawałoby się, że powinno być tego coraz mniej...
...a jednak jest wręcz odwrotnie...

do pewnego momentu kłopoty mogą się nasilać.
Może się mianowicie zdarzyć, że będziesz odczuwał coś podobnego do halucynacji...
...w zasięgu twego słuchu mogą pojawić się jakieś dziwaczne dźwięki... jakieś buczenia... jakby ze studni, czy z jakiejś tuby czy pudła...
...nie będziesz w stanie ich z niczym konkretnym związać...
...nieznane będzie ich pochodzenie... ich sens... i tak dalej.
Nie należy się tym przejmować! Powiem ci potem dlaczego!
Podobne dziwności może odbierać wzrok...
...dziś mnie to rozbawia jedynie... te wspomnienia...
...bo przecież każdy to na tej drodze przeżywa...
...jeden bardziej, drugi mniej... ale właściwie każdy musi przez to przejść...
...widzisz jakby duchy... postacie... jakieś niesamowite zwierzęta...
...dokładnie tak jak w jakimś złym śnie.
Bo to jest właśnie dokładnie mechanizm złego snu!
To są asocjacje mózgu...
...powstające przy szczególnym jego pobudzeniu...
...to są jakby śmieci odłożone w mózgowych komórkach...
...śmieci poruszone... które wysypują się teraz... jakoś tam się ze sobą łączą, asocjują i przybierają przedziwne formy obrazów na granicy znanego i nieznanego...
...rozumiesz...?
...granicy znanego i nieznanego...
...jakieś zapamiętane z życia...
...nawet z kina... z fantastycznych filmów wizje...
...które wryły się w mózg... ale nie dokładnie... w postaci jakichś resztek tego co widziałeś...
...są niekompletne, więc tym bardziej mogą być niesamowite...
...a dodatkowo...
...jako właśnie niekompletne poszukują swego jakoby dopełnienia pośród równie niedokończonych, czy wręcz pookaleczanych resztek...
Ale te przeżycia... te właśnie zjawiska ... chociaż mogą być dla kogoś denerwujące... męczące...
...dla ciebie powinny stanowić coś w rodzaju powodu do zadowolenia!
To jest bardzo ważny znak dla każdego, kto zdecydował się podążać tą drogą!
To znaczy, że jesteś już bardzo blisko pierwszego celu!
To znaczy, że już niedługo twoja odnaleziona, poznana, zaktywizowana wreszcie część mózgu zacznie działać...
...że będziesz jej mógł używać...
...używać zgodnie z własną wolą...
Gdy to się stanie - te wszystkie zjawy... głosy... dziwaczne jakieś zjawiska ustąpią... śmietnik jakby zostanie wypróżniony... albo zamknięty raz na zawsze.
Wiesz na czym to polega?”
Zapytałem, chcąc po jego reakcji zorientować się czy te przestrogi nie robią na nim zbyt dużego wrażenia. Czy nie straszą go.
„Skąd mogę wiedzieć?” - prychnął.
„Nie wiem! Może czytałeś kiedyś jakieś publikacje na temat snów... może na temat schizofrenii... jakichś innych stanów chorobowych połączonych z halucynacjami czy podobnymi zjawiskami? W niektórych takich książkach czy artykułach próbuje się czasem takie zjawiska wyjaśniać. Dawać jakieś odpowiedzi.”
„Nie wiem!” - odpowiedział - „Pewnie kiedyś coś takiego czytałem. Drukuje się tego teraz dość dużo. Ale trudno mi sobie cokolwiek z tego przypomnieć. Nie interesowałem się tym jakoś zbyt aktywnie.”
„A sam nigdy nie miałeś takich przeżyć?” - zapytałem.

„Bo ja wiem?”
Chwilę się zastanawiał.
„Chyba nie! Nie pamiętam.”
Po sekundzie dodał jeszcze.
„Oczywiście miewam sny! W tych snach czasami widzę jakieś dziwne rzeczy. Pewnie tak jak każdy człowiek.
Ale nie robi to na mnie większego wrażenia, poza gorszym odpoczynkiem w ciągu takiej nocy. Nie pamiętam też zwykle co mi się z tego typu obrazów śniło. Dziś nie potrafiłbym sobie przypomnieć żadnej z tych wizji.”
„W porządku!” - powiedziałem- „O.K! Tak powinno być.”
I dodałem już wracając do naszego tematu.
„Podobnie w naszych sprawach!
Mówiłem z naciskiem o tym, żeby starać się zapamiętywać miejsca, do których się na tej drodze poznania dochodzi! Pamiętasz! To bardzo ważne!
Ale oczywiście w żadnym razie nie chodzi o te zwidy!
Ich nie potrzeba wcale zapamiętywać! To jest śmietnik i tak go należy traktować!
Zapamiętywanie tego śmietnika jest dość nawet groźne. Może aktywizować mózg w tym kierunku i wciągać cię coraz głębiej w babranie się w tych śmieciach.
Są tacy magicy, którzy lubują się w takich wizjach!
Czasem potrzebny jest im psychiatra.
Nas chroni przed tym cel!
Cel do którego zmierzamy!
Wszystko co jest po drodze jest nieważne. Mijamy to jak drzewa w lesie, zatrzymując się tylko na najważniejszych sprawach.
Rozumiesz?”
„Rozumiem!” - odpowiedział krótko.
Popołudniowy upał stawał się nieznośny! Wcale nie zdziwiłbym się, gdyby teraz zaczęły nas nachodzić jakieś zwidy. Koszula lepiła mi się do pleców, po ramionach spływał pot.
Postanowiliśmy się ochłodzić, korzystając z usadowionej po środku ogrodu fontanny.
Mój Rozmówca zanurzył w wodzie koszulę, a następnie mokrą na powrót założył na siebie, obficie mocząc przedtem włosy. Wiedziałem, że nie na długo go to orzeźwi, chociaż efekt ochłodzenia następuje natychmiast. Więc zaproponowałem mój stary i pewny sposób.
Do wody zanurzyłem całe przedramiona z łokciami wraz z dłońmi i trzymałem je w wodzie przez dłuższy czas. Orzeźwiający efekt uzyskuje się również niemalże zaraz, ale trwa on długo, niekiedy nawet do kilku godzin.
Zgodził się skorzystać i z tej lekcji. Staliśmy więc pochyleni z rękami w wodzie gdy zapytał.
„Na czym to polega z tym moczeniem rąk? O nogach słyszałem, ale ręce...?
„Nogi to się w wodzie grzeje nie studzi!” - odpowiedziałem śmiejąc się - „Chyba, że po długim marszu, żeby odebrać ciepło samym stopom i zlikwidować ewentualny obrzęk. Zresztą mocząc nogi w zimnej wodzie narażasz się na zaziębienie. Nawet po marszu należy z tym uważać i nie oziębiać stóp za długo.
Natomiast z rękami jest inaczej. Wystudzasz po prostu ogromną ilość krwi, przepływającej tu niemalże pod samą skórą. Ponieważ jesteśmy istotami o stałej ciepłocie krwi - oziębiona krew stara się jaknajszybciej powrócić do swej temperatury, a więc oddaje zimno wszędzie gdzie tylko może - roznosząc je po całym ciele. Mimo upału, gdybyśmy tak trzymali te ręce zanużone długo, moglibyśmy nawet doprowadzić do tego, że zaczęlibyśmy całym ciałem odczuwać chłód. Ale jako że wszelka przesada szkodliwą bywa - co już przed dwoma tysiącami lat w przemądrej Grecji powiedziano expresis verbis - nie będziemy tego czynić. Powiem ci tylko jako zabawną ciekawostką, że tak właśnie przesadzając moglibyśmy sprowokować najpierw.... zaziębienie.... no...? jak myślisz... czego...?

„Nie wiem!”
Odpowiedział rozbawiony, opędzając się przed tym pytaniem jak przed muchą.
„Pewnie migdałków, albo gardła!”
„Fatalnie!” - roześmiałem się - „Logiczne, ale nietrafne!”
„No to reumatyzm!”
„Jeszcze gorzej! Reumatyzm prowokuje w ogóle wilgotne otoczenie stawów. Równie szkodliwa jest ciepła woda. Na przykład mokre spodnie.”
Ta chwila odprężenia była nam bardzo potrzebna. Chichotaliśmy, jak łaskotane podlotki.
„No powiedz wreszcie co to się zaziębi!”
„Już mówię! - już mówię. Tylko przyrzeknij, że nie wyśmiejesz tej starej skandynawskiej wiedzy medycznej!”
„Jak powiesz, że uszy, to nawet ze skandynawskiej, starej, wiekowej i ludowej wiedzy medycznej się będę śmiał!”
„No trudno - ty profanie - rzeczywistość jest może mniej śmieszna, ale za to jeszcze bardziej cię zaskoczy!
Zaziębiłbyś najpierw pęcherz!”
Zbaraniał!
„Tak, tak! Natura ludzka kryje w sobie sporo tajemnic i zaskakujących powiązań.”
Smiałem się teraz z jego reakcji.
„Widzisz, że ze starej, skandynawskiej medycyny ludowej śmiać się nie ma powodu!”
„No, no! Rzeczywiście mnie zaskoczyłeś.”
„A to proste jak świeczka! Pęcherz jest w ogóle najbardziej z wszystkich organów ciała podatny na zaziębienie. Wie o tym nawet włoski student nowoczesnej akademii.”
Odprężenie odprężeniem, ale pora było wracać do naszych spraw, bo czas leciał nam dziś jak woda.
A woda rzeczywiście ulżyła nam swym chłodem bardzo znacznie. Usadowiwszy się więc w najsoczystszym cieniu rozmawialiśmy dalej.
„Rwiesz się pewnie do tej struktury co?
Ciągnie cię do wnętrza tego modelu, który opisywaliśmy?”
Zapytałem jeszcze luźno, jakby dalej w nastroju niedawnej zabawy.
„Oczywiście!” - odpowiedział bez namysłu - „Jak już, to już! Łaps byka za rogi.”
„No tak! Jasne! Ale z naszym bykiem nie jest tak łatwo. On nie bardzo ma rogi, za które można by go „łaps”!”
Powoli przechodziłem do sedna sprawy.
„Dlaczego nie jest to takie proste?
Otóż opowiedziałem ci dwa, a może nawet trzy modele, nieprawda...”
Kiwnął głową.
„Teraz zaręczam ci, że gdybyśmy obaj mieli powiedzmy duże i bardzo podobne zdolności malarskie... i obaj namalowalibyśmy te modele na płutnie... to może z wyjątkiem tej sieci ze sznurków... bo to znane z naszego zmysłowego doświadczenia... może z tym jednym wyjątkiem...
...obrazy te bardzo by się od siebie różniły...
...byłoby w nich dużo elementów wspólnych... obgadaliśmy to przecież dość szczegółowo... ale mimo wszystko...
...różnice byłyby bardzo duże...
...
...bo to byłby przecież tylko model...
...a jeszcze ściślej...
...tylko obraz modelu.
Rozumiesz?”
Znowu nic nie odpowiedział. Nawet nie kiwnął głową.
„Wyobraźnie dwóch suwerennych... wolnych... osób...

...wyobraźnia dwóch mózgów...
...przy transformacji z opisu słownego na wizję...
...różni się... różni się znacznie...!
Słowa w tej wyobraźni tworzą zawsze nieco inne obrazy!
Bo to jest właśnie tylko wyobraźnia... nie wiedza...!
Wiedza jest rzeczą ścisłą! Jeśli dwóch ludzi coś wie naprawdę, to wiedzą oni zazwyczaj to samo! Gdyby tak nie było, to nie byłoby możliwe współdziałanie na podstawie wiedzy. Dwóch lekarzy nie mogłoby na przykład leczyć jednego pacjenta, bo nie mogliby porozumieć się co do jego stanu. Gdyby tylko wyobrażali sobie co z nim może być...
...tym właśnie różni się wyobraźnia od wiedzy!
Jedźmy dalej!
Ponieważ więc mamy tylko model... nie rzeczywistość - tylko jej model... obraz modelu...
...to teraz gdybyśmy zaczęli odrazu w to wchodzić... to wchodzilibyśmy nie w samą strukturę... ale w jej model jedynie... jedynie w jej obraz!
Rozumiesz to?"
„Rozumiem!" - odpowiedział spokojnie.
„No właśnie!
Nic by nam to nie dało! Tak można wejść swoją wyobraźnią w każdy obraz. W każdy obraz, który wisi w pierwszym lepszym muzeum. Wyobrażasz sobie, jak wielka to praca? Tak! To wymagałoby wielu dni, a może nawet tygodni żmudnych koncentracji... a efekt? Praktycznie żaden. Nic przez to się nie zyskuje!
Nam chodzi przecież o zupełnie co innego!
Chodzi nam o dotarcie tam naszym mózgiem!
...dotarcie... dowiedzenie się jak i co tam jest... nie w obrazie...
...w tej rzeczywistości tej energetycznej struktury!
My nie chcemy badać jakiegoś fascynująco namalowanego lasu!
My chcemy badać sam las!
Przez jego obraz tam nie dotrzemy!"
„Wiec co?" - zapytał.
„Wiec po pierwsze...!" - konstruowałem wyjaśnienie - „...idąc drogą, o której opowiadałem ci przedtem...
...zmierzamy właśnie w tym naszym zasadniczym kierunku...
...powiem ci więcej...
...my jesteśmy już w tej przestrzeni o jaką nam chodzi!
„Tak?"
Niemal wykrzyknąłem widząc jego bezmierne zdziwienie.
„Oczywiście!
...jesteśmy przecież nie w jakimś, namalowanym przez kogoś tam obrazie ciebie... my jesteśmy w tobie... badamy twoją rękę... twoje ciało...
...jesteśmy w rzeczywistości a nie w obrazie...
...w rzeczywistości...
...rozumiesz teraz tą różnicę?
...tą zasadniczą różnicę?"
„Tak!" - potwierdził z największym przekonaniem.
„Przez obraz nie wchodzi się w rzeczywistość...
...w rzeczywistość wchodzi się jedynie przez rzeczywistość...
...przez coś na wskroś realnego... konkretnego nawet...
I co więcej... co teraz najważniejsze...!
...myśmy tam nie weszli za pomocą wyobraźni... jakiejś imaginacji wynikłej z natężenia wyobraźni... nie...!
...myśmy się tam wdarli za pomocą pracującego mózgu ludzkiego...
...a więc jesteśmy w środku poznawanej rzeczywistości!"

„No dobrze! Ale gdzie teraz ta struktura?"
„Już będzie! Uważaj!"
Niekiedy, w trakcie opowiadania ogarniało mnie niesamowite zdziwienie!
Wynikało z tego, że wydawało mi się, że już kilkaset razy powiedziałem wszystko, że opowieść moja zaczyna być idiotyczna, co najmniej komiczna, bo kręci się cały czas wokół tego samego i od dawna nic nowego w niej niema.
Jest taki rodzaj komizmu, który wynika z bezustannych powtórzeń. Przypominam sobie z dzieciństwa taką piosenkę o psie, który wszedł do kuchni... śpiewało się ją w kółko, a gdy jej koniec stawał się po raz kolejny początkiem słuchacze wybuchali śmiechem - śmiechem narastającym z każdym nawrotem kolejnego - identycznego początku.
Miałem wrażenie, że za chwilę mój rozmówca wybuchnie śmiechem tak, jak tamci słuchacze piosenki!
Ale nic z tego nie następowało!
Zdałem sobie w tym momencie sprawę z tego - jak trudnym zagadnieniem dla niego, dla każdego przeciętnego człowieka dziś, jest ten temat. Uspokoiła mnie ta myśl! Doszedłem do wniosku że skoro tak jest - to pożytecznym może być kilkakrotne pokazanie poszczególnych elementów - byle w nowym kontekście - jakby z innej strony. Widocznie nie był to czas stracony, skoro jego pytania udowadniały, że jeszcze nie dokładnie rozumie to co mówię.
Musiałem jakby chwilę nabierać powietrza przed zasadniczym skokiem.
„Pamiętasz ten model z siecią?" - wróciłem do swej roli.
„Pamiętam."
„Jak myślisz? Gdzie w tak pomyślanej strukturze może znajdować się każdy z nas?"
„Bo ja wiem? Chyba wszędzie."
„Zgoda! Może znajdować się wszędzie!
Ale na pewno gdzieś w tej strukturze, a nie poza nią!
I teraz ponieważ patrzymy na siebie...
...nie jak na tego, którego odbija nam lustro...
...czyli na siebie zmysłowo odbieralnego... przebywającego w tej codziennej dymensji...
...tylko na siebie jako składnik tej wszechogarniającej energetycznej całości...
...widzimy siebie nie jako coś osobnego... tylko jako składnik tego układu...
...rozumiesz...?
...tym samym widzimy część tego układu...
...fragment, którym jesteśmy...
...ale to już jest ten układ...!
...rozumiesz...
...
...jak chcesz poznać na przykład wielki kontynent... Azję... i wylądowałeś na lotnisku w Singapurze na przykład... to jeszcze Azji nie znasz... widzisz tylko lotnisko, samoloty, budynki...
...ale to już jest Azja... już widzisz Azję... prawdziwą, konkretną... już jesteś w niej...
...jesteś w niej bardziej, niż byłbyś wyobraziwszy sobie stepy Kazachstanu, Himalaje, Bombaj - widział to wszystko oczyma wyobraźni...!
...choćbyś tysiąc obrazów Azji zobaczył i skontemplował...
...nie był byś w niej...
...teraz jesteś...
...i teraz już od ciebie zależy jak się będziesz po tym kontynencie poruszał i ile z niego się nauczysz... ile go poznasz!
...jest wielki, więc pewnie trudno będzie ci go poznać w całości...
...ale jak zrobisz sobie dobry plan postępowania... działania... poznawania...
...to możesz poznać bardzo wiele!"

Odczuwałem już silne zmęczenie, ale byłem zadowolony. Odnosiłem wrażenie, że udało mi się ująć najważniejsze rzeczy w sposób stosunkowo jasny i zrozumiały. Miałem nadzieję, że mój Rozmówca połapie się w tym wszystkim i nie pozostanie w bałaganie szczątkowych informacji.
Siedział bez ruchu na trawie oparty plecami o drzewo i milczał. Milczeliśmy razem.
Czy można opisać milczenie? Ten moment, gdy po silnym myślowym wysiłku mózg chwilowo odpoczywa! Gdy jak płatki śniegu na lekkim wietrze opadające z nieba na ziemię, tak pętają się po nim niezwiązane ze sobą pojęcia, słowa, obrazy, dźwięki, wrażenia, wspomnienia, przeczucia, radości, lęki i wszystko inne co jest udziałem człowieka na ziemi, tylko w jakiejś delikatnej, nieintensywnej, niewyraźnej formie, w postaci cieni zaledwie muskających o rzeczywistość jak motyl o kwiat.
Mój Rozmówca pierwszy odzyskiwał grunt pod nogami. Otrząsnąwszy się z pierwszego wrażenia postanowił pytać dalej.
„No dobrze!" - zaczął - „To rzeczywiście wspaniale logiczne i proste. Zawsze staję w osłupieniu, gdy dostrzegam prostotę rzeczy tajemniczych. Jeszcze przed chwilą plasujących się w mych wyobrażeniach na pograniczu strefy cudów i niesamowitości."
Ja z trudem wracałem do równowagi z tego chwilowego odpoczynku. On mówił dalej.
„Tak!"
Był zamyślony, ale i radosny. Zapytał.
„Jak teraz przejść z tego quasi lotniska w te góry, na te stepy tej Azji?"
Im bardziej zbliżałem się do końca mojej opowieści, im bliżej byłem celu, jakim było przecież powierzenie „zakopanego skarbu" drugiemu człowiekowi - tym bardziej stawałem się nerwowy - tym częściej ogarniał mnie strach - czy zdołam tego dzieła dokończyć.
Pytania trudne coraz bardziej mnie męczyły - a przecież było rzeczą zrozumiałą, że im bliżej końca mego opowiadania - im więcej wiedział na ten temat mój Rozmówca - tym trudniejsze będą jego pytania. Ostatnie zasmuciło mnie bardzo - tym bardziej, że teraz należało ujawnić przed nim moją zasadniczą jeszcze słabość i podstawową niewiedzę - bariery, których nigdy nie będę w stanie przekroczyć sam.
Nigdy przecież nie potrafię przy pomocy mych skromnych, osobistych środków badawczych - określić sposobów uniwersalizacji tej wiedzy! Stworzenia z niej narzędzia podobnego umiejętności prowadzenia samochodu - czego to można po prostu nauczyć każdego przeciętnego człowieka. Ogarnął mnie jakiś niezrozumiały smutek, toteż odpowiedziałem nie kryjąc zmartwienia.
„Tego nie wiem!" - odpowiedziałem szczerze - „W tej dymensji, o którą nam chodzi, jest troszkę trudniej niż w Singapurze. Niema przewodników, znaków mówiących o tym gdzie jest wejście czy wyjście, niema map, planów czy jasno wytyczonych dróg! Ale za to dzieje się tam coś innego, co umożliwia penetrację.
Jak już kręcisz się aktywnie po tym obszarze...
...jak mózg twój zaczyna się coraz bardziej rozkręcać...
...to przychodzi taki moment...
...przychodzi nagle... ni stąd ni zowąd... przychodzi na zasadzie jakby nagłego pęknięcia jakiejś gumowej kurtyny... błony zasłaniającej to pole...
...i nagle... w jednej chwili to wszystko ci się otwiera...
...nagle jakbyś został wpuszczony do środka...
...to mózg...
...to mózg w pewnym momencie uzyskuje już taką możliwość...
...jakby ostatnia, konieczna do tego komórka została otwarta... uruchomiona...
...i jesteś tam..."
Mój Rozmówca znowu milczał chwilę. Zapytał w końcu.
„To musi być wspaniałe, co?"
„Tak!" - odpowiedziałem - „To był najwspanialszy moment mojego życia."
Po chwili mówiłem dalej przebijając się z coraz większym trudem przez zmęczenie.

„A potem możesz już właściwie wszystko!"
Zdałem sobie sprawę z przesadnego znaczenia tych słów, więc poprawiłem się zaraz.
„To znaczy - mógłbyś pewnie wszystko, gdybyś do końca mógł zbadać to pole i jego zasady! Jeden człowiek tego oczywiście w żadnym wypadku dokonać nie może. Ale też jeden człowiek - jeśli nie jest szaleńcem - nie potrzebuje móc wszystkiego.
Poruszając się tam, penetrując te obszary odnajdujesz jednak, chociaż nie bez pewnego trudu, informacje i zasady dotyczące programu, który właśnie realizujesz.
Opowiem ci to tak...
...jeśli postanawiasz za pomocą również tej nowej części mózgu dokonać czegoś... na przykład łączyć się telepatycznie z innymi ludźmi... to wyprojektowawszy wszystko co jest z tym związane na terenie tego uzyskanego pola...
...i oczywiście doskonale zapamiętawszy to wszystko, czyli przeniósłszy do tej drugiej części swego jestestwa... wraz z energią towarzyszącą temu zadaniu...
...to w ramach naszej dymensji możesz to po prostu wykonać...
Można by leczyć choroby...
...leczyć całe społeczne zjawiska... narkomanię... agresję... rozwiązywać polityczne konflikty...
...dziś już niektórzy potrafią...
...choć jeszcze nadzwyczaj nieskutecznie i z dużym marginesem błędu...
...odkrywać podziemne źródła...
...zasoby mineralne ziemi i złoża cenne dla rozwoju ludzkości...
...można by wpływać na procesy wegetacji...
...poznać nieograniczone źródła wszelkiego typu energii...
...wykorzystywać ją...
...zmieniać oblicze ziemi...
Tego nie może dokonać pojedyńczy człowiek, chociażby najgłębiej wszedł w tę tajemnicę!
Ale nauka...
...nauka badająca metodycznie i całą swą siłą...
...
...zamiast wysyłać paranoiczne sygnały w kosmos...
...sygnały zrozumiałe przecież jedynie w naszej dymensji... bo z niej wynikłe...
...można by się porozumiewać ze wszystkim co jest we wszechświecie...
...wprost...
...trzeba tylko nauczyć się kontaktować z właśnie...
...innymi dymensjami...
...z innymi poziomami... czy formami istnienia...
...
...to co ja robię...
...
...gdyby zbadawszy mechanizm...
...robić to w skali naukowej...
...w skali dostępnej mechanizmom końca naszego wieku...
Przerwałem! Z trudem łapałem oddech! Nigdy jeszcze w życiu nie pozwoliłem sobie na tak wielkie i niczym nie hamowane puszczenie cugli marzeń! Marzeń w słowach! Marzeń wypowiadanych! Wypowiadanych wobec drugiego człowieka!
Moja próba języka przekroczyła nakreślone przeze mnie granice. Znowu opanował mnie lęk, czy taka otwartość, takie obnażenie wręcz - nie narazi mnie na śmieszność w oczach mego Rozmówcy.
Lęk ten kazał mi jeszcze na chwilę się zmobilizować i powiedzieć.
„...ale nam...
...ludziom samotnym... którzy mogą dokonywać tych odkryć jedynie na swą osobistą...
...a więc minimalną skalę...

jest do nich potrzebne...
...jeszcze jedno małe zasadnicze co nieco...!
Tylko, że ja już ci dzisiaj tego nie jestem w stanie opowiedzieć. Będzie to jutro tematem naszej rozmowy. Zgoda?"
„Zgoda!" - powiedział bez specjalnego zawodu i dokończył.
„Wiem o co to chodzi!"
Zaciekawiło mnie to, więc zapytałem.
„O co?"
„O te połączenia! O ich odnalezienie, uruchomienie i wyćwiczenie."
„Tak!" - potwierdziłem - „To chyba najważniejszy element całego tego zagadnienia!"
Był wyraźnie zadowolony z tego że trafił a ja cieszyłem się, że nie tylko nadążał za mymi informacjami, komentarzami, za treścią mego opowiadania, ale również rozumiał mnie dobrze, trafnie rozpoznając kierunki mych myśli i hierarchię ważności całego układu, który starałem mu się przedstawić.
Tego dnia nie robiliśmy już nic ciekawego.
Taksówka oddała nas miastu, a potem wziąwszy w hotelu krótki prysznic zrobiliśmy jeszcze mały spacer zakończony dobrą kolacją w winiarni w której rozmawialiśmy poprzedniego dnia i gdy tylko po zachodzie słońca temperatura powietrza pozwoliła na to, by udać się do łóżka - skorzystałem z tego i utonąłem w śnie do następnego ranka.
Mój Rozmówca postanowił jeszcze posmakować wieczornego nastroju światowej stolicy renesansu.

ROZDZIAŁ VIII - PODROZY DZEN OSTATNI
PORZEGNANIE NA MOSCIE.

W drogę powrotną do naszego miasta wyruszyliśmy koleją. Odległość nie była wielka, trasa wiodła poprzez wspaniałe góry, pociągi na tej trasie były wygodne i o tej porze dnia puste.
Zajęliśmy osobny przedział i mogliśmy spokojnie rozmawiać, mając dosyć czasu by temat dokończyć.
Pozostała do wyjaśnienia rzecz najważniejsza, a właściwie dwie rzeczy - i obie musiałem dokładnie memu Rozmówcy opowiedzieć. Gdybym tego nie zrobił, cała żmudnie budowana konstrukcja po krótkim czasie zawaliła by się mu jak domek z kart.
Przypominała bowiem na razie dom pozostawiony bez dachu, który przetrwa wprawdzie zimę, ale zalany parokrotnie jesiennymi deszczami, poddany zimą cierpliwym siłom rozpierającego wszystkie szczeliny lodu - wiosną nadaje się już tylko do rozbiórki.
Porównanie z niedokończonym domem podobało mi się. Moja konstrukcja przypominała go właśnie. W przyszłości, po dokończeniu solidną pracą, mogła stanowić schronienie, bezpieczny azyl i miejsce rozwoju swego posiadacza, ale póki co była jeszcze „budowlą w stanie surowym". Ten stan trzeba było teraz zabezpieczyć.
Miarowy stukot kół pociągu nadawał upływającemu czasowi jakiś rytm. Jest to także odczucie indywidualne - jednego to denerwuje, drugiego uspokaja - ale ja w takim otoczeniu dźwiękowym skupiam się doskonale. Uważam, że jakiś równy, rytmiczny akcent w ogóle pomaga w koncentracji. Wartość rytmu w egzystencji świata jest nie do przecenienia. Wszystko właściwie co żyje, co działa - żyje i działa rytmicznie. Rytm jest nieodzownym składnikiem harmonii. Jego nieuporządkowanie znamionuje zawsze coś niedobrego. Należy więc poszukiwać jaknajszybszego powrotu doń.
Oczywiście każde zdarzenie, każde działanie ma swój specyficzny rytm. Poprzez odnalezienie jego specyfiki zdarzenie staje się dla obserwatora bardziej zrozumiałe - działanie skuteczniejsze.
Toteż pozostawanie pod działaniem jakiegoś rytmicznego elementu jest niemal automatycznym poddaniem się jakiemuś porządkowi. Zewnętrznemu wprawdzie, ale

jednak! Mnie osobiście to pomaga. Miałem nadzieję, że z mym Rozmówcą jest podobnie. Pewnie tak było, bo gdy tylko zza okien przestało nas zaczepiać miasto i pociąg zanurzył się w otoczenie pól, lasów i malowniczych wiosek, które obsiadły doliny poprzez które wiódł nasz szlak - przywołał mnie do porządku mówiąc półżartem.
„A więc, proszę wycieczki, dziś będziemy mówić o połączeniach!”
„Tak! Właśnie.” - potwierdziłem z uśmiechem.
„Proszę więc o ciszę i skupienie!” - zakomenderował - „Pan kierownik ma głos!”
Zacząłem więc.
„Używamy w naszej rozmowie określenia - połączenia. Nie jest ono najlepsze dla zrozumienia tego o czym ma to informować. Trzeba będzie je jeszcze uzupełnić. Oczywiście - chodzi o jakiś rodzaj połączeń, które są podstawowe, ale to nie są połączenia stałe!
One są...
...ale można je uruchamiać i likwidować... jakby włączać i wyłączać!
Nam będzie chodziło właściwie nie tyle o te połączenia...
...one istnieją zawsze i bez względu na nasze działanie..
...nam będzie chodziło przede wszystkim o samą czynność przez nas podejmowaną...
...o to włączanie i wyłączanie... które może od nas zależeć.
Musimy się nauczyć to robić... musimy móc te kontakty uruchamiać zawsze wtedy, gdy chcemy z nich korzystać...”
„Jak zwykły kontakt elektryczny?”
„W ideale tak!”
Śmiałem się z tego porównania, ale wcale nie było ono pozbawione sensu.
„Gdybyśmy doprowadzili aż do takiej sprawności, to byłoby najlepiej. Tylko nie nazywajmy tego co włączamy i wyłączamy „elektrycznością”! To jest zasadnicze i zwodnicze uproszczenie! To są połączenia, które nazywamy „energetyczne” - ale nie chodzi tu o energię elektryczną tak jak to potocznie rozumiemy. Energia, o której mówimy jest innej natury.
Na niezrozumieniu tej różnicy polega wprowadzenie badań naukowych w absolutnie ślepą uliczkę.
W nielicznych instytutach, badających dziś te zjawiska, mierzy się pola magnetyczne, natężenie i napięcie mikro... czy bioprądów i tak dalej. To jest właściwie nieporozumienie! Bo w ramach energii, o której my tu mówimy, oczywiście występują i te właśnie elementy...
...ale mają one znaczenie właściwie marginalne...
...gdyż ta zasadnicza energia jest absolutnie innej natury!
To podstawowa sprawa!”
„A więc skąd ten błąd naukowców?” - zapytał.
„Błąd wynika z tego, że nauka nie chce nas słuchać! Obserwuje te zjawiska i wychwyciwszy w nich to co już zna - bada przede wszystkim te znane sobie elementy, uważając, że one są najważniejsze.
A tymczasem wcale tak nie jest.
Pycha i lenistwo nauki właśnie w tym się dziś przejawia.”
„Może nauka nie potrafi badać nic innego?”
Pytanie było trafne, toteż starałem się na nie odpowiedzieć dość obszernie.
„W zasadzie masz rację!
Pozostając na swym własnym terenie nauka musi tak postępować!
Cała sprawa jednak w tym, by zgodziła się ten teren opuścić - wejść na inny, proponowany przez ludzi, którzy już to zrobili...
...czasem przez przypadek... to prawda...
...ale znają już to pole...
...i chcą naukę na nie wprowadzić.
Wiem, że nie jest to łatwe...

...ale jest konieczne!”
„No dobrze!” - zgodził się - „Na razie wprowadź tam mnie!”
„No właśnie!”
Cieszyłem się, że nie opuszcza go dobry humor. Rozmowa w przyjemnej atmosferze bywa zwykle wiele skuteczniejsza.
„Wracamy do konkretu!
A więc gdzie w naszym modelu...
...tym sieciowym... bo on jest w tej chwili nam bardziej przydatny...
...gdzie są te przełączniki?
Powiedzmy sobie roboczo... że są one w tych węzełkach.
Widzisz już, że jest ich wiele... bardzo wiele...
...podobnie jest w naszym mózgu... ale o tym za chwilę.
Pomiędzy tymi węzełkami... poprzez nici pomiędzy nimi...
...przepływają informacje, które aby stworzyły jakiś byt...
...muszą się połączyć... trzeba otworzyć taki przełącznik aby te informacje mogły do siebie dotrzeć!
To co nazwałem przed chwilą „bytem”... to również wiedza...
...wiedza jest też postacią bytu...
...jest też pewnego rodzaju mutacją energii...
...połączeniem jej elementów...
...połączeniem iluś tam informacji by z kilku powstała nowa.
„No tak! To jest przecież klasyczny model dedukcji i indukcji w myśleniu człowieka...” - przerwał mi.
„Oczywiście!” - zgodziłem się. - „Problem polega jednak na tym, że nauka dzisiejsza rozumie taką indukcję i dedukcję na terenie tylko jednej dymensji...
...jednego poziomu istnienia... naszego zmysłowego poziomu...
...a tymczasem nam chodzi o to, by tej dedukcji i indukcji dokonywać w innych dymensjach... na innych poziomach...
...a przede wszystkim... między tymi poziomami!!
Czy mam to powtórzyć?”
„Nie potrzebujesz! Rozumiem to!” - potwierdził z uśmiechem.
„Zapamiętaj jeszcze, że tak naprawdę...
...to tylko ta nasza zmysłowa dymensja jest jakoś ograniczona...
...ma trudności w połączeniu z innymi!
Gdy się ją przekroczy, to znajdujemy się w obszarze, gdzie...
...takich granic niema!
Rozumiesz!
Tam wszystkie dymensje....
...jeśli w ogóle istnieją w postaci różniącej się od siebie...
...są w naturalny sposób połączone, a więc niema wcale problemu połączeń między nimi.
Pozostaje jedynie problem połączeń z naszą!”
Przerwałem na chwilę i zwiększyłem nawiew klimatyzatora, gdyż mój Rozmówca zapalił kolejnego papierosa. Mówiłem dalej.
„A więc najważniejszym okazuje się udrożnienie połączeń pomiędzy naszą, a pozostałymi dymensjami. Trzeba starać się poznać mechanizm tych przełączników!
Gdzie one są?
Na szczęście w naszym stałym posiadaniu!
One są w naszym mózgu!
A więc naprawdę jedynie od nas zależy czy będziemy ich używać czy też nie.
Teraz rzecz podstawowa...!
Gdy opowiadałem ci o tym momencie... tej chwili, gdy nagle znajdziesz się na tym nowym polu...

...to to jest właśnie taki moment połączenia...
...jakby właśnie włączenia odpowiedniego przełącznika!
Zrazu będzie to się działo bez twojej kontroli...
...tak, jakbyś nie wiedząc o tym... przez przypadek, w ciemności dotknął kontaktu, który zadziałał...
...ale z czasem poznasz gdzie ten kontakt jest i jak się go włącza!
Na tym właśnie polega posuwanie się na tej drodze...
...na odnajdywaniu i uruchamianiu tych przełączników!
Nauczysz się jak wchodzić w inną dymensję... a następnie jak w niej działać... jak tam dokonywać potrzebnych ci...
...wynikających z twego planu badawczego...
...połączeń!
To jest nasz główny cel."
Już nie żartował. Zamyślił się głęboko. Opowiadałem więc dalej.
„Oczywiście o wiele łatwiej się o tym mówi niż to robi! To chyba oczywiste?
Bo te włączniki ... a właściwie ich uruchamianie... nie jest takie zupełnie proste.
One są jakby nie tylko ukryte i trzeba popracować, by je odnaleźć...
...ale one są też jakby zardzewiałe...
...na początku nie chcą się dać tak łatwo używać...
...albo się same przełączają... albo stawiają opór...
... ale z czasem się to poprawia!
Najważniejsze jest, aby zapamiętać gdzie one są... to jest właśnie ta pamięć o której mówiliśmy... żeby zapamiętywać gdzie się na tej drodze doszło... nie zaczynać za każdym razem od początku!
Początek, to jakby chodzenie po nieznanych korytarzach w poszukiwaniu takiego przełącznika.
To poszukiwanie go wewnątrz własnego mózgu, jakby dotykanie wielu pozornych przełączników, czegoś co jest do niego podobne, co go udaje! W końcu trafiasz na niego i uruchamiasz go - potem on się ci poddaje.
Jaknajszybciej i jaknajkonsekwentniej do przełącznika!
Dlatego zaczynać tam, gdzie się poprzednim razem skończyło i szukać dalej. Potem, gdy go już znalazłeś - to nic nie jest ważne! Cwiczyć tylko jego sprawność. By w końcu móc go używać zawsze gdy chcesz!
Zresztą to wchodzenie w miejsce w którym się skończyło jest też używaniem właśnie jakichś mniej ważnych przełączników. Na tym właśnie to polega. Trenowanie więc każdej z tych czynności jest właściwie tym samym."
Byliśmy już głęboko w górach, gdy właściwie zakończyłem mą opowieść. Niebawem mieliśmy znowu wyjechać na równiny, pośród których leżało nasze miasto - koniec naszej siedmiodniowej wędrówki. Wędrówki w przestrzeni odbieranej przez ludzkie zmysły - i może też trochę w tej innej, zasadniczej - tej wszechprzestrzeni naszego istnienia.
Pozostawało mi jeszcze powtórzyć memu rozmówcy udzieloną już radę. Radę ważną! Bałem się bowiem, czy nie utonęła w ilości przekazywanych informacji. Chciałem ją teraz wyciągnąć jakoby spośród nich. Wyciągnąć na plam pierwszy jego pamięci, by mogła mu służyć zawsze, ilekroć spróbuje wyruszyć w drogę. By mogła mu pomóc i uchronić go przed zagubieniem.
„Pamiętasz... - zacząłem - „...jak wielką wagę przywiązywałem do sporządzenia jakiegoś konkretnego planu... przed wkroczeniem na tę drogę? Jak bardzo zwracałem ci uwagę na to, że tylko trzymanie się go może uchronić cię przed nieznośnym i bezsensownym błądzeniem?"
Wtedy wspomniałem tylko o tym z naciskiem! Teraz chcę, byś o tym zawsze pamiętał. Musisz - wchodząc na tę drogę - dokładnie wiedzieć do czego na niej chcesz dojść! Inaczej las ten wciągnie cię w bezdroża.

To oczywiście ważne na początku - ale też ważne na każdym etapie wgłębiania się. Zapamiętasz gdzieś doszedł poprzednim razem i nim podejmiesz kolejną próbę - przypomnij sobie to miejsce i wyznacz kierunek dalszego badania.
...
Jeśli oczywiście zdecydujesz się na tę drogę wejść!"
Zakończyłem!
Nie odpowiedział mi. Siedział spokojnie na swym miejscu w pędzącym teraz szybko pociągu i patrzył na mijamy pejzaż. Koła pociągu turkotały miarowo.

*   *   *

Po powrocie do domu zanotowałem przebieg naszej podróży! Opowieść o niej przeznaczona jest dla każdego, kto weźmie tę książkę do ręki, dla każdego, kto gotów jest uwierzyć, że może przekroczyć granice tego, co wielu jeszcze ludzi uważa za nieprzekraczylne.
Granicę lenistwa ludzkiego umysłu!
Jest przeznaczona dla każdego, kto zechce wykorzystać choćby część swoich przyrodzonych, a zapomnianych w ferworze codziennej bieganiny - ludzkich możliwości. Kto tego dokona - zrozumie, że wiele ze spraw którymi się zajmuje, które go męczą, jest bez znaczenia. Ze ciążą mu, bo kryje się w nich niepotrzebna tajemnica. Stresuje nas zazwyczaj to, czego nie znamy. To tylko stanowi zagrożenie dla naszej egzystencji. Dla naszego istnienia.
Jakże potężną rzeczą jest wiedza! Jak niesamowicie potrafi nas uwalniać! Jakże uciążliwy jest jej brak!

*   *   *

Z dworca na nasz most nie było daleko.
Wysiadłszy z pociągu szliśmy w jego kierunku nie rozmawiając.
Wczesna jesień odebrawszy naszemu miastu nadmiar ciepła upalnego lata, oszczędzała mu jeszcze słoty i chłodu. Swieciło słońce, popołudnie dostarczało radości barw. Spokojny jeszcze ruch uliczny, bo na kilka godzin przed tak zwanym szczytem, nie drażnił teraz. Miasto żyło, ale wewnątrz swych biur, fabryk i urzędów.
Stanęliśmy niemal dokładnie w tym samym miejscu, gdzie spotkaliśmy się pierwszy raz. Spokojny wiatr poruszał łagodnie zwisającą nad czoło czupryną mego Rozmówcy. Chwilę patrzyliśmy na siebie w milczeniu.
Oczywiście nie będziemy wymieniać żadnych adresów, czy telefonów. Gdy wejdzie w świat o którym mu opowiadałem odnajdzie mnie bez trudu, gdy tego nie zrobi nie będę mu do niczego potrzebny. Nie nadaję się wszak - jak zawsze to podkreślam - na nauczyciela.
Dokonaliśmy razem niezmiernie ważnej dla mnie próby języka - on poznał to, co za pomocą języka można drugiemu człowiekowi przekazać.
Reszta należała do każdego z nas z osobna. Po drodze, którą mu wskazałem, idzie się długo samemu. Początek jest w samotności.
A ja?
Czy starczy mi odwagi, by dokonaną próbę powtórzyć? Tym razem na papierze? By opisać me roszczenia w stosunku do nauki - i czy będą zrozumiałe?
Zobaczymy!
Podaliśmy sobie ręce.
Nie był to jakiś serdeczny, przedłużony uścisk, jakiś sentymentalny gest. Nie! Od zupełnie konwencjonalnego pożegnania, pozbawionego jakichkolwiek osobistych akcentów odróżniał to nasze - radosny, choć spokojny nastrój - widoczny w towarzyszącym naszym spojrzeniom, obustronnym serdecznym uśmiechu.

Zapytałem na koniec.
„Czemu potrzebowałeś tej podróży, tej rozmowy?”
Jego uśmiech jeszcze się poszerzył, gdy na pytanie odpowiedział pytaniem.
„Nie wiesz tego?”
„Nie wiem!”
Odpowiedziałem zgodnie z prawdą, bo w trakcie podróży to pytanie czasami przychodziło mi do głowy. I dokończyłem, chcąc jeszcze raz podkreślić mą lojalność wobec niego. Może wiedział, że byłem w stanie aż tak głęboko wejść w jego myśli?
„Nie jestem jakimś magiem czy jasnowidzem!
Ale nawet gdybym mógł się o tym dowiedzieć bez twojej odpowiedzi - nie zrobiłbym tego!”
„Dlaczego?” - zapytał zdziwiony.
„Bo nie ma między nami - w świecie w którym żyjemy - takiej umowy! Musiał bym ci powiedzieć przedtem, że penetruję twoje myśli!
To jest oczywiście możliwe, ale nie robi się tego bez uprzedzenia. Kwestia odpowiedzialności, uczciwości wobec drugiego człowieka!
I wiesz co ci jeszcze chciałem powiedzieć...
...właściwie nawet prosić o to?”
„Nie wiem!” - powiedział po prostu.
„Byś...
...jeśli wejdziesz na tę drogę... jeśli uzyskasz na niej sukces...
...i zdobędziesz już możliwości korzystania z tych umiejętności... z tej wiedzy...
...
...to niech cię to nie zmieni!
Nie korzystaj z tego nieodpowiedzialnie!”
Jego uśmiech nieco przygasł i stał się teraz spokojny i poważny, gdy odpowiedział.
„Bądź spokojny! Nie po to rozsądny człowiek zdobywa wiedzę.”
„Cieszę się, że to rozumiesz.”
Powiedziałem, ale jednak postanowiłem zaspokoić swą ciekawość.
„Ale jeszcze nie odpowiedziałeś na moje pytanie!”
„Ach.. tak! Rzeczywiście!” - jakbym go wyrwał ze snu, czy zamyślenia.
Po chwili powiedział.
„Jestem jednym z miliona tych ludzi, którzy szwendają się po tym świecie bez celu. Ale wiem, że tylko drugi człowiek może mi pomóc w wyrwaniu się z tego kręgu bezmyślności. Szukałem kogoś, kto też potrzebowałby rozmowy. Chyba się nie pomyliłem, co?”
„Nie pomyliłeś się! Chociaż...
...ale to już inny temat...
...może na następną opowieść...”
Odchodząc w kierunku śródmieścia obejrzałem się jeszcze za siebie.
Stał na moście przechylony przez balustradę ku wodzie, tak jak wtedy, gdy w świetle blednących o świcie latarni zobaczyłem go po raz pierwszy.